



**MIĘDZY
UDRĘKA MIŁOŚCI
A ROZKOSZĄ,
NIENAWIŚCI**

**Wojciech
Kulawski**

**KRYMINAŁY
WARSZAWSKIE**

LIND&CO

Wojciech
Kulawski

Nowy polski kryminał

**Między udręką miłości
a rozkoszą nienawiści**

LIND&CO

ROZDZIAŁ 1

Krzysztof Kortyński zaparkował audi na podziemnym parkingu Galerii Mokotów. Wyłączył silnik, sięgnął do schowka i wyciągnął telefon komórkowy. Spryskał się perfumami, wyszedł z pojazdu i ruszył w stronę windy z dziwnym uśmiezkiem wymalowanym na twarzy. Markową marynarkę od Ermenegildo Zegna założoną miał bezpośrednio na biały T-shirt. Przyprószone siwizną czarne włosy, ciemne oczy, nieco wystające policzki, wyraźna szczeka z dwudniowym zarostem, do tego garniturowe spodnie i buty lakierki dopełniały obrazu przystojnego czterdziestolatka. Odpowiedzialny, schludny, doświadczony, z nutką szaleństwa w oku, innymi słowy spełnienie marzeń każdej kobiety.

Po dotarciu do pasażu wyciągnął telefon i wybrał z książki adresowej pozycję „Stefan Brzydał”.

– Mrauu – usłyszał kobiecy głos w słuchawce.

– Gdzie moja kotka? – zapytał.

– Pamiętasz naszą fantazję? – powiedziała kobieta.

– Mhmmm – przytaknął, uśmiechając się do siebie.

– Jestem w H&M. Czekam – wysyczała tak namiętnie, że po ciele Krzysztofa przeszedł dreszcz pożądania.

Jagna Filiańska, piękna dwudziestosiedmiolatka, przechadzała się pomiędzy regałami, polując na promocje. Krótka zwiewna sukienka, czerwone buty na wysokim obcasie i zgrabne nogi przyciągały męskie spojrzenia. Nosila małą czarną torebkę, białą bluzkę z wydatnym dekoltem, a usta wymalowane miała czerwoną szminką. Stanęła obok półki z szortami i przyglądała im się chwilę, zastanawiając, czy będą na niej dobrze leżeć. Zdjęła z wieszaka egzemplarz w żółtym kolorze z napisem „touch me” i ruszyła między sklepowe półki.

Nagle, kątem oka, dostrzegła przystojnego mężczyznę stojącego za szybą wystawową i zajętego oglądaniem męskich garniturów wiszących na manekinach. Kobieta podeszła do wieszaków znajdujących się bliżej wyjścia, aby Kortyński nie stracił niczego z przedstawienia, które miało się za chwilę rozpocząć. Z jednego z nich zdjęła białą sukienkę z szerokim wycięciem na plecach, przyłożyła do ciała, po czym spojrzała na Krzysztofa. Grymas na twarzy mężczyzny sugerował, że ubiór nie przypadł mu do gustu. Filiańska, odkładając odzież na wieszak, niby przypadkiem, zahaczyła o spód sukienki, ukazując opalone udo i pośladek.

„Albo miała stringi, albo paradowała po galerii bez bielizny” – przeszło po głowie mężczyzny, który poczuł, że krew z mózgu przemieszcza się bezwiednie w dolne rejony ciała. Stał za szybą i ślinił się na widok teatryku kokieterii odgrywanego przez Filiańską. Ona tymczasem podeszła do półki ze stanikami i oglądała egzemplarze z miseczkami 80C. Wiedziała, jak bardzo Krzysztof lubi bawić się jej piersiami. Widząc, że mężczyzna jest już odpowiednio rozgrzany, zabrała garderobę i ruszyła w stronę przymierzalni. Wybrała ostatnie pomieszczenie, które dostarczało odrobiny intymności. Mężczyzna wbiegł do sklepu i sięgnął po pierwsze lepsze spodnie. Zupełnie nie przeszkadzał mu fakt, że wszystkie ubrania na piętrze przeznaczone były dla kobiet. Odwrócił się i niczym rasowy myśliwy ruszył tropem Jagny.

Odczekał chwilę, aż wszystkie kaszaloty, którym wydaje się, że po kupieniu nowego ciuszka zamieniają się w delikatne rybki, znajdą się w kabinach i wślizgnął się do środka. Zamknął skobel, odwrócił się i spojrzał Filiańskiej głęboko w dekolt. Kobieta stała w samych majtkach, próbując dopiąć stanik. Nie zdążyła tego zrobić, ponieważ Krzysztof ujął ją w pasie i przycisnął do siebie. Jego ręce osunęły się niżej, aby ostatecznie zakończyć podróż na pośladkach. I choć dziewczyna zdawała się krucha i niewinna, były to tylko pozory. Pod delikatną powierzchnością krył się diabeł.

Całowali się namiętnie przez kilkanaście sekund, pamiętając, że przed wścibskim wzrokiem gawiedzi, chroni ich tylko cienka ścianka przymierzalni. Krzysztof był tak podniecony, że momentami zapominał o otaczającym świecie. Zapach jej perfum połączonych z feromonami doprowadzał go do

szaleństwa. Łapczywie gładził jej piersi, całowały szyję i uszy. Czując, że jest już gotowa, zjechał palcem niżej. Zsunął Filiańskiej majtki i delikatnymi, okrężnymi ruchami zaczął ją pieścić. Lustra zawieszane na ścianach przymierzalni potęgowały efekt podniecenia. Kobieta wiała się w spazmach, starając nie wydawać żadnych odgłosów, które zdradziłyby, co dzieje się wewnątrz kabiny. Miała ochotę krzyknąć, kiedy strumienie gorąca zalewały podbrzusze. Po trzech minutach pieszczot poczuła, że we wnętrzu łona budzi się bestia, której nie będzie w stanie utrzymać dłużej w klatce. Musiała jak najszybciej wypuścić ją na zewnątrz. Wbiła zęby w marynarkę mężczyzny, czując, że narastająca rozkosz za chwilę rozerwie ją na strzępy. I wtedy nadszedł ten moment. Trwał dłużej niż zwykle, kilkanaście sekund. Zaciskała pięści na ramionach mężczyzny, czując, jak nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Trzy paroksyzmy wstrząsnęły ciałem. Wtuliła się w Krzysztofa, próbując złapać oddech. Wiedziała, że mają mało czasu. Może pięć minut, zanim ktoś zorientuje się w sytuacji i wyprosi ich z przymierzalni. Zsunęła dłoń niżej i wyczuła jego męskość, twardą i gotową na wszystko. Spojrzała prosto w zamglone oczy Krzysztofa. Rozsunęła rozporek i przykucnęła, aby teraz on mógł odpłynąć z falami rozkoszy do krainy orgazmu.

Kilka minut później Jagienka, jako pierwsza, opuściła przymierzalnię. Wysła ze sklepu i ruszyła korytarzem, oglądając sklepowe wystawy. Szeroki uśmiech nie pozostawiał wątpliwości, czy była szczęśliwa.

Krzysztof uchylił drzwi do przymierzalni dwie minuty później. Natychmiast został zgromiony wzrokiem przez tęgą babę, czekającą na koleżankę, próbującą w bólach wcisnąć sukienkę z promocji. Uśmiechnął się głupkowato i odpowiedział:

– Nie pasują – podnosząc w górę żółte damskie spodnie.

Kobieta nie odpowiedziała, widząc, że coś z chłopem najwyraźniej jest nie w porządku. Westchnęła, ubolewając w myślach nad kondycją męskiej populacji.

W tym momencie przed szybą wystawową sklepu, pomiędzy manekinami, Krzysztof dostrzegł człowieka robiącego zdjęcia telefonem komórkowym. Czarne myśli niczym lawina przetoczyły mu się po głowie. Wiedział, że musi

coś zrobić. Poczł, jak złość podnosi mu ciśnienie, wyostza wzrok. Wybiegł przed sklep na pasaż, gdzie dostrzegł męczyznę w czerwonym polarze. Uciekający, za wszelką cenę, próbował zgubić pościg, ponieważ ilekroć pojawiała się na jego drodze większa grupka ludzi, natychmiast w nią nurkował.

Krzysztof ruszył za męczyzną, starając się nie stracić go z oczu. Uciekinier wyszedł z galerii i ruszył na kładkę zawieszoną nad ulicą Wołoską. Kortyński wiedział, że jeśli pozwoli człowiekowi w polarze zejść po schodach i wbiec na chodnik, nie zdoła go już dopaść. Postanowił zaryzykować i ruszył przed siebie niczym rozjuszony słoń.

Dopał męczyznę tuż przed schodami. Zanim tamten zdążył zorientować się w sytuacji, Kortyński wyprowadził mocne uderzenie w brzuch, które zważyło przeciwnika na ziemię.

– Za co? – wykrzyczał męczyzna, wijąc się z bólu.

– Oddawaj telefon – rzucił Krzysztof.

– Nic nie zrobiłem – tłumaczył się. Był szczupły, na oko miał koło trzydziestki, rzadki zarost na twarzy zakrywał bruzdy po ospie wietrznej.

– Kim jesteś? Czy to ta kurwa cię nasłała?

– Nie wiem, o czym mówisz – tłumaczył, próbując stanąć na nogi.

Krzysztof nie wytrzymał, wzbierająca furia sprawiła, że wymierzył kolejny cios, tym razem w szczękę. Męczyzna znowu osunął się na ziemię. Tym razem jednak nawet nie spróbował się podnieść. Kortyński sięgnął do kieszeni polaru i wyciągnął z niej telefon komórkowy.

– Pozwę cię... za pobicie i kradzież – wymamrotał męczyzna.

– Powiedz swojej pracodawczyni, żeby sobie ze mną nie pogrywała.

Kortyński schował telefon do kieszeni i ruszył kładką w stronę Galerii Mokotów. Windą zjechał do podziemnego garażu, gdzie zaparkował samochód. Kipiała w nim wściekłość. Czł, że po powrocie do domu wydarzy się coś złego.

ROZDZIAŁ 2

Posiadłość Kortyńskich nie miała sobie równych w okolicy. Kuta brama zdobiona motywami roślinnymi łączyła się z marmurowym ogrodzeniem. Wysokie, idealnie przyszczone tuje tworzyły nieprzenikniony żywopłot, strzegący ogródu przed wścibskimi oczami sąsiadów. Nawet jak na ursynowskie warunki, kilkunastometrowy basen z jacuzzi i natryskami był nie lada luksusem. Rozłożysty parterowy dom z użytkowym poddaszem wykończony był najdroższymi materiałami. Kilka zdobionych antycznymi motywami kolumnienek upodabniało go do szlacheckiego dworku. Drewniane wstawki na elewacji nadawały dodatkowego smaczku, świadcząc o wyrafinowanym guście właścicieli.

Krzysztof postawił audi na podjeździe i wszedł do domu.

– Wiktoria! Jesteś? – krzyknął.

Zdjął buty, wszedł do kuchni i rozejrzał się.

Kilka sekund później po drewnianych schodach zeszła szesnastoletnia dziewczyna. Długie czarne kręcone włosy kontrastowały z niezwykle jasną cerą i podkrążonymi oczyma. Była chuda i koścista, a jej nos zdobiły piegi. Ubrana w rurki i T-shirt zupełnie nie przypominała ponętnych nastolatków dumnie prezentujących niedawno co nabyte atrybuty kobiecości. Jakby natura zapomniała o Wiktorii Kortyńskiej i rozdała krągłości komuś innemu.

– Czemu się wydzierasz? – bąknęła dziewczyna.

– Gdzie gosposia? – zapytał.

– Mama dała jej wolne. Jeśli potrzebujesz służącej, to źle trafiłeś – odpowiedziała opryskliwie.

– Jest mama? – zapytał Krzysztof.

– Chcesz się kłócić? – prowokowała dziewczyna.

– Nie prosiłem cię o komentarz – mruknął. Ruszył poirytowany w stronę lodówki, otworzył drzwiczki i wyciągnął puszkę piwa.

– Jeszcze nie wróciła z pracy – odpowiedziała Wiktorcia.

Krzysztof wypił kilka łyków, po czym rozsiadł się na kanapie. Nagle zadzwonił telefon. Kortyński machnął ręką na córkę, nakazując jej, aby zniknęła mu z oczu. Dziewczyna, długo się zastanawiając, wybiegła na poddasze, zostawiając ojca samego.

– Co? – rzucił do słuchawki telefonu.

– Mamy problem z przetargiem na ziemię pod Biskupicami.

– Co się dzieje?

– Albud dał niższą cenę.

– Kurwa mać! Niemożliwe, przecież ustalaliśmy.

– No wiem. Najwyraźniej nie dotrzyмали obietnicy – powiedział mężczyzna przyciszonym głosem.

– Daj mi parę minut. Oddzwonię – rzucił Kortyński, podnosząc się z kanapy.

Zakończył rozmowę, po czym wybrał kolejny numer.

– W chuja sobie lećcie? Nie tak się umawialiśmy – grzmiał do słuchawki.

Mężczyzna po drugiej stronie nie odpowiadał. Słysząc tylko krótkie westchnięcie.

– Głos ci odebrało? – zapytał Krzysztof.

– Potrzebuję dodatkowe trzydzieści tysięcy – padło wreszcie.

– Na co?

– Wójt Gminy postawił ultimatum. Zapewne po doniesieniu, wie pan kogo...

Krzysztof sięgnął po piwo i pociągnął łyk. Zastanawiał się przez chwilę, kalkulując coś w głowie. Wreszcie po chwili rzucił do słuchawki:

– Dobra, ale ziemia jest nasza – wymamrotał.

Po zakończeniu rozmowy wykonał jeszcze jeden telefon.

– Weź z sejfu trzydzieści tysięcy, wsadź w kopertę i daj tej gnidzie. Nie powinien robić więcej problemów – powiedział.

– Dzięki, szefie – w głosie pracownika słychać było wyraźną ulgę.

Mężczyzna rzucił telefon na stół i ponownie rozsiadł się na kanapie. Upił kilka łyków piwa, postawił puszkę na stole i ukrył twarz w rękach. Na każdym kroku życie rzucało pod nogi kolejne przeszkody. Jak cudownie byłoby przeżyć jeden dzień w spokoju, bez walki, wiecznej gonitwy, użerania się z rzeczywistością i przede wszystkim z ludźmi. Złymi, skorumpowanymi, zdeprawowanymi i dwulicowymi. Nawet rodzina była przeciwko niemu.

Na samą myśl, że za chwilę w drzwiach pojawi się Lucyna Kortyńska, robiło mu się niedobrze. Rozpocznie się pyskówka, która od kilku miesięcy zastępowała im małżeńską rozmowę.

Przetarł dłońmi po zaroście i sięgnął po puszkę z piwem. Patrząc na etykietę, próbował prześledzić w myślach dwadzieścia lat małżeństwa. Z zakamarków pamięci, jakby przez gęstą zawiesinę, wyciągał kolejne sceny, niczym kadry z biało-czarnego filmu. Poznali się jeszcze na studiach, na budownictwie. Wcześniej widywał ją na studenckich imprezach, ale nie przykuła jego uwagi. Spodobała mu się dopiero na trzecim roku, ubrana w obcisłe dzinsy, z włosami upiętymi w zalotny kucyk była połączeniem niewinności i pewności siebie. I ten tyłek, o idealnym, gruszkowatym kształcie, dla którego można się było pociąć. Jak to się stało, że przez te wszystkie lata tak bardzo się od siebie oddalili?

Próbował przypomnieć sobie jakieś przełomowe wydarzenia, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Nie potrafił. Nawet znajomy Krzysztofa podczas niedzielnego grilla powiedział, że czuje się u niego jak w luksusowej kostnicy. Z każdego rogu bije chłodem, aż w kościach strzyka.

W pierwszych latach małżeństwa Kortyński dałby się za żonę powiesić. Potem przysłała proza życia, gonitwa za lepszym bytem, kłopoty z zejściem w ciążę, budowa domu, choroba rodziców i cała masa innych mniejszych problemów. I jeszcze Wiktoria, której pojawienie się miało być lekarstwem na małżeńskie problemy. Wyszło odwrotnie.

Gdzieś po drodze zupełnie się z córką rozminęli. Może przeoczył jakiś istotny moment w jej życiu? Z pewnością w tym aspekcie można mu było wiele zarzucić. Obecnie porozumienie się z szesnastolatką zakrawało na cud.

Liczył jeszcze, że to tylko taki okres, czas buntu, z którego dziewczyna niedługo wyrośnie.

– Kurwa, jakie to wszystko popierdolone – rzucił sam do siebie, dopijając resztkę piwa.

Na podjazd przed domem zajechała czerwona toyota Lucyny Kortyńskiej. Dobrze ubrana czterdziestolatka, w czarnej spódnicy, wyszła z samochodu i ruszyła w stronę wejścia. Długie brązowe włosy spięte w kok, kilka zmarszczek pod oczyma, wygładzone najlepszej jakości pudrem, i czerwone usta pomalowane szminką tworzyły obraz niezależnej żony. Otworzyła drzwi, położyła torebkę na lustrze w przedpokoju, zdjęła buty i spojrzała na męża wzrokiem wyrażającym obojętność.

Mężczyzna wstał z kanapy i milcząc, czekał na dalszy rozwój sytuacji.

– Coś się stało? – zapytała.

– Szpiegujesz mnie? – rzucił wyzywająco.

– Myślisz, że nie wiem, że kurwisz się na lewo i prawo?

– Nie masz żadnych dowodów – powiedział Krzysztof.

– Nie muszę mieć dowodów. Nasze małżeństwo to fasada.

– Proszę bardzo, złoż wniosek rozwodowy.

– Gdyby nie Wiktoria, już dawno bym to zrobiła.

– Co cię wstrzymuje? Wiktoria jest już duża. Boisz się, że spadnie ci status materialny i społeczny?

– Wierz mi, że złożę wniosek – powiedziała.

Kobieta podeszła do barku i nalała sobie do szklanki whisky. Dorzuciła kilka kostek lodu z kostkarki. Wydęła usta i zmrużyła oczy, patrząc na męża ze wzgardą.

Krzysztof zacisnął zęby i poczuł jak fala negatywnych emocji zalewa mu skronie. Trudno jest kochać drugą osobę, jeśli przebywa się z nią codziennie przez dwadzieścia lat. Człowiek dostrzega wówczas, jak bardzo jesteście niedoskonalimi. Okazuje się, że ten zgrabny tyłek, który na początku tak fascynował, z czasem staje się nie tylko bardzo zwyczajny, ale wręcz odrażający. Dostrzega się zaokrąglenia i cellulit, którego z wiekiem tylko

przybywa. W pewnym momencie, widząc dwa pośladki, odwracasz wzrok, aby nie czuć obrzydzenia. Cudowna twarz, oczy i usta, które tak bardzo kochałeś całować, z czasem stają się zupełnie obojętne. Cechy charakteru, które ignorowałeś, bo wydawały ci się zupełnie nieistotne, teraz doprowadzają do szewskiej pasji. Jak można było nie dostrzec, że ta cudownie niewinna istotka, to egoistyczna, zapatrzona w siebie krowa, która potrzebuje cię tylko po to, abyś pomógł jej kochać samą siebie jeszcze bardziej? Najlepiej, gdybyś się do niej modlił i składał daniny z diamentów.

– Jesteś nikim – rzuciła kobieta. – Żałuję, że się z tobą związałam. Od samego początku nie rozumiałeś moich potrzeb, byłeś zajęty tylko sobą i tą głupią firmą. Ani ja, ani Wiktoria nie byłyśmy dla ciebie ważne.

– Gdybyś nie zaszła w ciążę, dawno temu bym cię zostawił – wysyczał Krzysztof.

– Jesteś prostakiem. Zrobiłam się nieatrakcyjna, bo przekroczyłam czterdziestkę. A ty jak pies rzuciłeś się na nową, świeżą cipę. Testosteron mózgu ci wypalił. To się nazywa choroba wieku średniego i niektórzy nawet to leczą.

Kortyński dopiero teraz uświadomił sobie, że od pewnego momentu z żoną zaczęło dziać się coś niedobrego. Coraz częściej chodziła zakryta, chociaż na początku małżeństwa paradowała nago niemal bez przerwy. Nie zwracał uwagi na takie szczegóły, aby nie stracić obrazu całości. Dopiero z upływem lat zdał sobie sprawę, że te drobiazgi stanowią treść życia. Był zajęty pilnowaniem wydmy, którą tymczasem zdradziecki wiatr rozkradał po jednym ziarenku piasku.

– Jesteś egoistyczną, zapatrzoną w siebie suką. Myślisz, że dla kogo harowałem po nocach? Brakowało wam czegoś?

– Rodziny, uczucia, miłości, męża, ojca. Mam wymieniać dalej? Jedno uderzenie młotkiem sprawi, że ta fasada runie niczym domek z kart. Nie zamierzam udawać przed światem, że ta tandetna filmowa sceneria, to nasze życie. – Kobieta wychynęła ze szklanki resztkę whisky, podeszła do barku i napełniła ją ponownie.

Krzysztof spojrzął na żonę i poczuł obrzydzenie. Seks od dawna przynosił przykre skojarzenia z łupaniem orzechów albo przybijaniem mostowych

gwoździ. Kiedy kochali się ostatni raz? Rok temu albo jeszcze dawniej. Jak ognia unikał kontaktu cielesnego z Lucyną. Albo zaspokajał się sam, albo rozglądał za okazją. Młode chętne cipki same wskakiwały mu do łóżka, wystarczyła krótka rozmowa. Czasami nawet i to nie było konieczne.

Zastanawiał się, co stało się z emocjami, które żywił niegdyś do małżonki? Wyszły jak woda z pustynnej studni? Wychodząc za Lucynę, wierzył, że będzie z nią do końca życia. Nierozzerwalne braterstwo dusz. I znowu, z perspektywy czasu dostrzegł tylko krople wody, które drążyły skałę, aż ta bezpowrotnie runęła w przepaść, aby zniknąć w morskich odmętach.

Osobowości dwójki osób prawie nigdy nie rozwijają się w ten sam sposób. A dwadzieścia lat to szmat czasu. Mózg przechodzi w tym czasie przynajmniej cztery gruntowne zmiany światopoglądu. Jakie jest prawdopodobieństwo, że małżonkowie przejdą przez rewolucję dokładnie w ten sam sposób? Przełomowe momenty to koniec studiów, pierwsza praca, nowi znajomi, awans zawodowy, dzieci, choroby czy śmierć bliskich. Spotyka się wokół siebie ludzi, którzy zaszczepiają światłe idee, unikatowe sposoby myślenia. Następuje proces sprawdzania, czy życiowy partner spełnia nowe kryteria. Jeśli załapał się na ten sam wózek i zdołaliście się razem rozwinąć, to jest szansa na małżeńską przyszłość. Jeśli nie, następuje deprivacja, poczucie marnowania się u boku osoby, która cię osłabia, jest kulą u nogi, ogranicza możliwości. Nie bez przyczyny rozwody wśród małych, zamkniętych społeczności to rzadkość. Prawdziwą zmorą trwałego małżeństwa jest współczesny styl życia, pełen możliwości, Internetu, promocji i braku barier w poznawaniu świata. Wszystko to sprawia, że przechodzi się zmianę światopoglądu jeszcze częściej niż pięćdziesiąt lat temu.

– Powiedz mi, że sama tej fasady nie podtrzymujesz. Jesteś najlepszym scenografem, jakiego w życiu spotkałem. Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę – powiedział Kortyński.

– Nie zamierzam się z tobą kłócić. Jutro składam wniosek o rozwód.

– Proszę bardzo, ale wiedz, że nie pójdzie ci tak łatwo – powiedział mężczyzna.

Wspólne emocje, pragnienia, cele zaczynają się stopniowo rozjeżdżać. Jeśli odpowiednio wcześniej nie wyłapie się tych ważnych życiowych momentów, wtedy zwykle jest już za późno. Trzeba nie lada wiedzy i samokontroli, aby zapanować nad tym długotrwałym procesem. Pielęgnacja wspólnych pasji, spędzanie razem czasu albo nawet wmawianie sobie, że twoja druga połówka jest najcudowniejszą osobą na świecie, choć w rzeczywistości wcale nie musi tak być. To wszystko wymaga wysiłku i pracy. Znacznie łatwiej na powrót zamienić się w singla, poczuć wiatr w żaglach, zakochać się i zachłysnąć efektem nowości.

Psychologowie twierdzą, że koniec końców istnieją tylko dwa rodzaje małżeństwa. Włoskie, w którym każdy najmniejszy nawet problem jest ogniskiem zapalnym do awantury. Ryzyko w tego typu przypadkach jest wysokie, ponieważ istnieje bardzo dużo okazji, aby para się rozstała. Drugi model to małżeństwo chłodne, gdzie tematy ważne zostają zwykle przemilczane. W końcu, jeśli się o czymś nie mówi, to problem przestaje istnieć. Kłopot jednak w tym, że wszystkie sprawy odłożone na potem, wracają po latach ze zdwojoną siłą i to najczęściej w kryzysowych sytuacjach. Rodzi się wtedy pretensja, zawiść, złość i frustracja. A te prowadzą do rozstania.

– Zniszczę cię. Puszczę z torbami. – Twarz kobiety wykrzywiła się w grymasie nienawiści.

– Grozisz mi? Wiesz, co mogę ci zrobić? Zabiorę ci wszystko. Suchoj nitki nie zostawię. Wylądujesz w rynsztoku pod mostem.

– Będziesz mnie błagał o marny ochłap. Zobaczysz, do czego jestem zdolna. Nienawidzę cię – wypaliła kobieta.

– Jesteś zwykłą szmatą – wrzasnął Kortyiński.

Zgodnie ze statystyką najczęstszymi przyczynami zachwiania więzi małżeńskiej są otyłość, pieniądze, nienormowany czas pracy jednego z małżonków, niedostateczna higiena osobista, konflikty w rodzinie, brak romantyczności i nadużywanie alkoholu. Nikt natomiast nie wspomina o czasie, który jest zimnym zabójcą uczuć. Patrzy bezdusznie na ludzkie przemijanie, nie komentuje, nie zadaje pytań.

Dwójka kłócących się małżonków dostrzegła w pewnym momencie Wiktorię. Błada jak mąka skóra na twarzy i szklące się oczy dziewczyny sprawiały, że wyglądała niczym widmo, które przyszło ich straszyć. Z prawego nadgarstka ciekła jej krew, kapiąc na parkiet i zostawiając na nim purpurowe ślady. Krzysztof początkowo nie wierzył własnym oczom. Natychmiast podbiegł do córki i złapał ją za ramiona. Spojrzał na ranę na nadgarstku i omal nie zemdleł.

– Coś ty zrobiła? – wymamrotał.

– Nienawidzę was! Jeśli się zabiję, będziecie mogli się spokojnie rozwieść. Nigdy mnie nie kochaliście – wykrzyczała i chwilę potem osunęła się na ziemię.

Małżonkowie spojrzeli na siebie obojętnym wzrokiem. Mężczyzna zabrał ze stołu telefon i wykręcił numer pogotowia. W kilku krótkich zdaniach wyjaśnił dyspozytorce zaistniałą sytuację. Lucyna dobiegła do córki i uklękła, nie bardzo wiedząc, co robić. W akcie desperacji złapała ją za nadgarstek i ucisnęła mocno, aby zatamować płynącą krew.

Krzysztof schował telefon do kieszeni i oznajmił beznamiętnym głosem:

– Wyprowadzam się. Nie mogę na ciebie patrzeć. Zniszczyłaś nie tylko mnie i nasze małżeństwo. Zniszczyłaś moją córkę, a tego nigdy ci nie wybaczę.

ROZDZIAŁ 3

Jagna Filiańska wyszła z Galerii Mokotów i udała się na parking znajdujący się nieopodal ulicy Wołoskiej. Wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku Nowego Świata. Bez większych problemów udało się jej dojechać do ronda ONZ, potem było już znacznie gorzej. Po wbiciu się w korek tamujący ulicę Świętokrzyską miała trochę czasu, aby pomyśleć o sytuacji związanej z Krzysztofem Kortyńskim. Zadręczała się również podejrzaną propozycją mężczyzny, który przedstawił się jako „dobroczyńca”.

Przez trzy lata pobytu w stolicy, zdołała zrealizować tylko niewielką część ambitnego planu, który założyła sobie, opuszczając Białystok. Pracowała dotychczas w biurze projektowym jako pani od wszystkiego. Odnosiła jednak wrażenie, że pełni w firmie przede wszystkim funkcje reprezentacyjne. Szef prostak chwalił się piękną asystentką na każdym kroku. Najgorsze jednak było to, że co chwilę składał jej niedwuznaczne propozycje. Odczepił się dopiero, kiedy dała mu do zrozumienia, że nie jest zainteresowana romanssem. Miał jednak sposoby, którymi wymuszał na dziewczynie noszenie kuszących i wyzywających strojów, co najwyraźniej poprawiało mu humor. Wystarczyło, że obniżał Jagience premię, kiedy zakładała spodnie i koszule z kołnierzykiem. Bystra kobieta w mig zrozumiała intencje napalonego samca i nosiła tak krótkie spódnice, że czasami miała wrażenie paradowania po biurze zupełnie nago.

Zarobki jak na warszawskie warunki miała niskie. Ledwie starczało, aby wraz z koleżanką Natalią opłacić odstępną i czynsz za mieszkanie. O luksusach nie było mowy.

Po zatrudnieniu w BudMecie dziewczyna poczuła, że wreszcie złapała byka za rogi. Krzysztof Kortyński podczas rozmowy kwalifikacyjnej od razu zwrócił uwagę na długonogą piękność i postanowił ją zatrudnić. To była zupełnie inna liga niż jej dotychczasowy szef. Przystojny, szarmancki, wykształcony

i inteligentny, a przede wszystkim bardzo bogaty. I co najważniejsze, rozpaczliwie poszukujący pocieszenia. Chodziły słuchy, że jego małżeństwo to zgłiszcza. Dziewczyna użyła wszystkich atrybutów, aby uderzyć w czułe podbrzusze zranionego samca. O dziwo, Krzysztof nad wyraz szybko złapał haczyk. Widać było, że po zaangażowaniu się w romans z Jagną odżył, niczym Feniks otrzępujący piórka z popiołu.

Zaparkowała pojazd na chodniku przy ulicy Emiliana Konopczyńskiego, wysiadła i ruszyła w stronę wejścia do czteropiętrowej kamienicy.

W bramie przywitał ją zapach kurzu i stęchlizny, co nie było niczym szczególnym w starym budownictwie. Jeszcze kilka tygodni i dostanie awans, potem podwyżkę. Przeprowadzi się z tej nory do czegoś lepszego. Może będzie ją nawet stać na małe mieszkanie na Mokotowie.

Zdawała sobie sprawę, że romans z Kortyńskim na długą metę nie ma szans. Nawet nie pytała Krzysztofa o przyszłość. Bo co niby miały zrobić? Rozstać się z żoną i związać z Jagną? Mężczyzna był od Filiańskiej prawie piętnaście lat starszy. I choć niezwykle pociągający, nie miała zamiaru, wiązać się z kimś, kto kopnie w kalendarz, zanim ona dobieje do pięćdziesiątki. Poza tym nie po to przyjechała do stolicy, aby szukać męża. Jeszcze nie teraz. Romans miał być tylko przyjemną trampoliną do kariery.

Zdawała sobie sprawę, że musi wykorzystać swoje pięć minut, dlatego niczym wąż wślizgnęła się do życiorysu Kortyńskiego. Wiedziała, że jak w każdym związku i w tym z czasem pojawi się znudzenie. Gdyby jednak przyszło Krzysztofowi do głowy, aby się Jagienki pozbyć, pozostawał jeszcze szantaż. Romans w obliczu małżeńskiego kryzysu jest najgłupszą rzeczą, w jaką angażują się mężczyźni. Zamiast zająć się żoną, oni skaczą z kwiatka na kwiatek, udowadniając swoją męskość. Życie jest brutalne, czasem trzeba się przedzierać łokciami, a czasem świecić nieogoloną cipą. Jagna wiedziała, że wcześniej, czy później trzeba będzie się z BudMetu ewakuować. Z tak złą reputacją daleko w tym miejscu nie zajdzie. Ludzie, wcześniej czy później, coś zwietrzą, zaczną plotkować, nawet jeśli nie przyłapią ich na bzykanku na tylnym siedzeniu samochodu.

Rok powinien Filiańskiej wystarczyć, aby nabrać doświadczenia, zrobić kilka uprawnień budowlanych na koszt szefa-kochanka. Potem powinno pójść już z górki. Inżynierowie budowlani z uprawnieniami pozostawali w Warszawie bez zatrudnienia może kilka godzin. Zaraz po tym jak zaktualizowali CV na portalu pracuj.pl, zgłaszała się do nich kolejka chętnych firm, prześcigających się w ofertach zatrudnienia.

Rozmyślając, dotarła do drzwi na czwartym piętrze. Druga lokatorka wracała z pracy koło osiemnastej, a zatem mieszkanie najprawdopodobniej było puste.

– Natalia, jesteś? – krzyknęła, aby się upewnić. W odpowiedzi usłyszała tylko ciszę. Sięgnęła do niewielkiej torebki i grzebała w niej chwilę w poszukiwaniu kluczy. I choć mieściło się w niej wszystko, co było kobiecie do życia potrzebne, to kłopot zaczynał się, kiedy trzeba było coś w niej odnaleźć. Wyciągnęła szminkę, puder i tusz do rzęs, potem portfel, jednak kluczy nadal nie było.

Nagle przeszło jej przez myśl, że to, co robi z Kortyńskim, jest niemoralne. Samotna matka starała się wychować ją na pobożną chrześcijankę. Z drugiej strony, w ciągu trzech lat spędzonych w Warszawie słyszała o dużo gorszych przypadkach. Te najbardziej wypaczone suki potrafiły po stosunku z facetem zamrozić jego plemniki w lodówce. Po osiągnięciu dni płodnych aplikowały je sobie, jakąś dziwną zakazaną metodą, aby zająć w ciążę. Złapany na haczyk bogacz miał przesrane. Zamieniał się w niewolnika-sponsora, aż do osiągnięcia przez dziecko pełnoletniości. W zależności od pomysłowości kobiety bulił albo jednorazowe honoraria-prezenty, albo zgodnie z prawem słone alimenty. Mały szantażyk, aby pomóc nieco karierze zawodowej, zdawał się Jagnie zaledwie niewinną igraszka.

Po kilkunastu sekundach udało się wreszcie znaleźć klucze, które jak na złość leżały sobie na samym dnie torebki.

Nagle, kątem oka, Jagna zobaczyła na schodach jakiś ruch. Wiedziała, że na piętrze mieszka tylko stara, zblazowana kociara. Może ktoś zablądził albo szukał adresu starego znajomego? Wychyliła się poza barierkę i spostrzegła poniżej jakiegoś człowieka. Ubrany był w szarą bluzę, dzinsy i głany.

Adrenalina uderzyła dziewczynie do głowy. Długo się nie zastanawiając, odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi.

Aby otworzyć zamek, należało złapać za klamkę i unieść skrzydło nieco do góry. Filiańska siłowała się przez chwilę, nie mogąc sobie poradzić. Mężczyzna zdołał w tym czasie wejść na piętro i znaleźć się zaledwie kilka kroków od niej.

– Może pomóc? – zapytał, zatrzymując się tuż obok Jagny.

Zdjął kaptur i spojrzał na sparaliżowaną strachem kobietę. Nie wiedziała, czy ma krzyczeć, uciekać, a może sięgnąć do torebki po gaz pieprzowy. W akcie desperacji odsunęła się tylko od drzwi.

Człowiek bez trudu przekręcił klucz w zamku i już po chwili wejście stanęło otworem. Ukłonił się i niczym dobry gospodarz, ruchem ręki zaprosił Jagnę do środka. Filiańska, widząc rękawiczki na dłoniach napastnika, o mało nie zemdląła.

– O co chodzi? – zapytała, jednak w odpowiedzi ponownie zobaczyła zapraszający do środka gest.

W tym momencie postanowiła skorzystać z okazji i przebiec obok napastnika, a następnie ruszyć schodami w dół. Zanim wykonała susa, poczuła, jakby wielkie imadło zaciskało się na jej dłoni. Mężczyzna złapał Filiańską za rękę i wykręcił, zmuszając dziewczynę do wejścia do wnętrza mieszkania.

Kobieta ruszyła posłusznie w stronę przedpokoju. Jej mózg pracował na najwyższych obrotach, próbując opracować plan ewakuacji. Pierwszy scenariusz zakładał użycie gazu pieprzowego. Jagna nie wiedziała, czy napastnik ma przy sobie jakąś broń. Jeśli nawet, to musiała być schowana pod bluzą. Drugi wariant był bardziej ryzykowny. Chciała pobiec do kuchni, złapać za nóż i zaatakować nim przeciwnika. Szansa na ucieczkę zdawała się minimalna. Nie wyskoczy przecież z czwartego piętra kamienicy wprost na ulicę.

Mężczyzna puścił rękę Jagienki, wiedząc, że teraz już nie ucieknie. Kobieta stanęła pośrodku salonu, rozglądając się niczym przerażone zwierzę.

Wnętrze urządzone było nad wyraz skromnie. Pod oknem stała rozkładana kanapa. Centralną część pomieszczenia zajmował stół i cztery krzesła. Stary telewizor kurzył się na szafce w rogu pokoju.

Filiańska postanowiła wykorzystać fakt, że napastnik zajęty był zamykaniem drzwi do mieszkania. Dzieląca ich odległość była stosunkowo duża i dawała szansę, aby spróbować wyciągnąć z torebki gaz pieprzowy. Niestety, nadzieja okazała się płonna. Zanim zdołała wyciągnąć niewielki spray, minęło kilka cennych sekund. Poczula nagle ogromny ból w boku. To napastnik wymierzył jej mocnego kopniaka. Ten, kto wymyślił glany, musiał zdawać sobie sprawę z tego, jak zabójczą bronią może być zwykły but.

Filiańska zwinęła się w kłębek, wypuszczając z rąk torebkę i gaz pieprzowy. Promieniujący ból rozsadzał wnętrzności. Wiedziała, że musi przeczekać, aż to minie. Po kilkunastu sekundach poczuła się odrobinę lepiej.

– Czego chcesz? – wymamrotała.

– To, co tak boli, to nerka. Bardzo czuły punkt – usłyszała w odpowiedzi.

– Zaraz wróci moja współlokatorka... wezwie policję.

– Głupota i pretensjonalność to największe grzechy ludzkości – odpowiedział napastnik, po czym wymierzył kolejnego kopniaka, tym razem w szczękę ofiary.

Siła uderzenia była tak ogromna, że kobietę wręcz odrzuciło. Na nieszczęście zawadziła jeszcze plecami o stół. Padła na ziemię i leżała bez ruchu. Krew płynąca z nosa zalała twarz i ściekała wąską stróżką na panele. Z trudem mogła złapać oddech i dopiero po kilku sekundach wydobyła z siebie dziwny skowyt.

– Musisz ponieść karę – powiedział napastnik, po czym udał się do kuchni. Odnalazł szufladę z nożami i wyciągnął z niej kilka sztuk. Były to zwykłe metalowe sztucce, jakich używa się do posiłków. Wrócił do salonu i spojrzał na Filiańską wijącą się z bólu niczym wąż wrzucony w rozżarzone węgle. Zakryła twarz rękami, próbując oszacować straty i powstrzymać krwawienie z nosa. Trwało pół minuty, zanim zdołała unieść się na kolana, a potem poderwać, aby usiąść na kanapie.

– Jaką karę? Co ty, kurwa... bredzisz? – zapytała. Przerażone oczy błagały o litość.

– Kortyński – powiedział napastnik.

Filiańska poczuła, że ból delikatnie zelżał. Wiedziała, że musi spróbować dopaść spray z gazem pieprzowym, który leżał metr od niej, zaledwie na wyciągnięcie ręki. Długo się nie zastanawiając, rzuciła się w jego kierunku, złapała za buteleczkę i przetoczyła się po ziemi. Nie wiedziała nawet, w którą stronę celować, bo krew i lzy zalewały jej twarz.

Stała, ledwie trzymając się na nogach i rozpylając żrący gaz, nie wiedząc nawet, gdzie znajduje się mężczyzna. Nagle poczuła, że traci grunt pod nogami. To próbujący uniknąć kontaktu z gazem napastnik, ją podciął. Filiańska runęła na ziemię, jednak buteleczki ze sprayem z rąk nie wypuściła. Odwróciła się w stronę napastnika i nacisnęła włącznik. Mężczyzna zawył niczym zarzynane zwierzę. Złapał się za oczy, wypuszczając z rąk noże kuchenne, które z hukiem rozsypały się po podłodze. Kobieta rzuciła się w stronę drzwi. Dopadła do klamki i szarpnęła mocno.

Poczuła euforię, kiedy do nosa doleciał zapach stęchłego powietrza z klatki schodowej. Nigdy nie podejrzewałaby, że może się ucieszyć z powodu smrodu, który od trzech lat przyprawiał ją o mdłości. Jeszcze kilka kroków i jej szanse na ucieczkę znacznie się zwiększą. Jeśli nawet napastnik ruszy w pogoń, Jagna dobiegnie do drugiego, może pierwszego piętra. Będzie krzyczeć i zaalarmuje sąsiadów.

Nagle Filiańska westchnęła cicho, nie za bardzo wiedząc, co się dzieje. Świat wokół zawirował. Poczuła przenikliwy ból w klatce piersiowej i runęła na ziemię. Zdołała unieść się na kolana, po czym upadła z hukiem, uderzając głową o podłogę.

Napastnik wycierał rękawem twarz. Lekko się chwiejąc, podszedł do Jagny i wciągnął jej ciało do mieszkania, po czym zatrzasnął drzwi. Stał nad nią, próbując dojść do siebie. Lśniącą rękojeść noża wystawała z jej pleców, tuż obok łopatki, na wysokości serca. Mężczyzna wrócił do pokoju, pozbiierał pozostałe noże z podłogi i ułożył je na stole. Nakrył kaptur i wyszedł z mieszkania.

ROZDZIAŁ 4

Wiktoria Kortyńska leżała w szpitalnej sali i wpatrywała się w dziewczynkę, którą przyjęto przed chwilą na oddział. W promieniach słońca padających na bladą twarz wyglądała jak widmo. Podniesiona górna warga upodabniała ją do psa, który szczyrzy zęby, ostrzegając intruza, aby nie zbliżał się do miski z jedzeniem. Jedną nogą była już na tamtym świecie, tylko druga, nie wiedząc czemu, utknęła gdzieś w rozpadlinie rzeczywistości i nie chciała dać się uwolnić. Zawieszona na stojaku kroplówka odmierzała czas.

Kortyńska zastanawiała się, z jakiego powodu pacjentka trafiła do szpitala? Może skoczyła z dachu albo połknęła truciznę?

Bandaż na lewym rękę dobitnie wskazywał na przyczyny jej obecności na oddziale. Dwa łóżka na sali stały jeszcze wolne, w oczekiwaniu na pacjentki, którym szczęście nie dopisze nawet w skutecznym targnięciu się na własne życie.

Do pokoju weszła pielęgniarka, poprawiła nieprzytomnej dziewczynie poduszkę i wyregulowała kroplomierz odmierzający dawkę medykamentu.

– Jak się pani czuje? – zapytała, zwracając się w stronę Kortyńskiej.

– Gdybym mogła zdjąć to badziewie, poczułabym się lepiej – powiedziała Wiktoria, wskazując na przegub prawej ręki, z której wystawał obwiązany bandażem wenflon.

– Niestety, nie możemy go zdjąć – urwała pielęgniarka. – Proszę odpoczywać, za dwie godziny dostanie pani kroplówkę z soli fizjologicznej – powiedziała, po czym opuściła szpitalną salę.

Wiktoria leżała nieruchomo przez kilkanaście minut. Wreszcie zwlekła się z łóżka i chwiejnym krokiem poczłapała na korytarz. Dotarła do toalety i spojrzała w lustro. Wyglądała jak chodząca śmierć. Wychudzona twarz i zaniedbane włosy nie robiły na niej żadnego wrażenia. Spuściła wzrok, aby dłużej na siebie nie patrzeć.

Wchodząc do sali, zobaczyła piękną kobietę siedzącą na krześle obok łóżka. Niewysoka blondynka z długimi włosami, delikatnym makijażem i wysoko zadartym podbródkiem wyglądała na zadowoloną z życia.

– Alicja Matel. Jestem szpitalnym psychologiem – powiedziała miłym, przyjemnym dla ucha tonem, wyciągając rękę w stronę Wiktorii.

– Jak ta firma od Barbie? – zapytała Kortyńska.

– Tak, tylko przez jedno t.

– Zostawcie mnie w spokoju – rzuciła Kortyńska, zwalając się na łóżko.

– Jestem tu, aby ci pomóc. Porozmawiaj ze mną przez chwilę.

Wiktorcia milczała, jednak blondynka nie dawała za wygraną.

– Proszę mi opowiedzieć, co się stało? Czy to przez problemy z rodzicami?

Kortyńska milczała, wpatrując się w dziewczynkę leżącą przy oknie. Słoneczne światło zmieniło kąt padania, sprawiając, że zdawała się jeszcze bledsza niż wcześniej, niemal przezroczysta. A może była już martwa? Nie musiałyby się przynajmniej męczyć, tkwiąc niczym skazaniec w pułapce rzeczywistości.

– Proszę odpowiedzieć – zagadnęła Alicja.

– Ma pani rodzinę? – zaczęła Wiktorcia.

– Mam – odpowiedziała Matel, zadowolona, że udało się z dziewczyną nawiązać chociaż wątłą nić porozumienia.

– To proszę o nią dbać.

– Rodzice o ciebie pytali. Martwią się.

– Nie chcę się z nikim widzieć.

– Leżenie tutaj beczynnie jest najgorszym rozwiązaniem. Proszę mi pozwolić sobie pomóc.

Wiktorcia czuła, jak narasta w niej agresja. Jakaś pierwotna energia musiała znaleźć ujście.

– To depresja. Doskonale rozumiem, co czujesz – ciągnęła Alicja.

– Chciałabym odpocząć. – Dziewczyna nakryła się kołdrą, próbując stłumić ból egzystencjalny rozsadzający czaszkę.

– Musisz podjąć terapię. Depresja to choroba, którą można leczyć. Musisz tylko chcieć – tłumaczyła kobieta stanowczym głosem. – Gdzieś tam na dnie głowy zawsze jest jakaś przyczyna. Są środki farmakologiczne, które mogą ci pomóc.

W tym momencie nastąpiła erupcja wulkanu, tłumione emocje wybuchły. Dziewczyna nagle usiadła i wykrzywiła twarz w spazmatycznym grymasie. Wyglądało to tak, jakby opętał ją demon, który za wszelką cenę próbuje opuścić ciało nosiciela.

– Zostaw mnie w spokoju! Nawet umrzeć mi nie dacie? – wykrzyczała.

Na twarzy Alicji pojawił się strach. Kobieta wstała, wycofała się na bezpieczną odległość, po czym bez słowa uciekła z sali.

Wiktoria mimo młodego wieku zdawała sobie sprawę, że cierpi na depresję. Nie miała jednak ani siły, ani ochoty przeciwstawić się chorobie. Tak bardzo zazdrościła ludziom wierzącym w Boga. Oni przynajmniej mogli usprawiedliwić swój marny żywot tajemniczym planem przygotowanym przez Stwórcę. Posiadanie wyższej instancji, do której można byłoby się zwrócić w razie potrzeby, byłoby prawdziwym luksusem.

Setki religii i tysiące bogów, z których każdy obiecywał wieczne szczęście, skutecznie zniechęcały do wiary. Co pozostawało w zamian? Bezsens ludzkiej egzystencji.

Wiktoria podświadomie czuła, że tak naprawdę, żaden Bóg nie istnieje. Jest tylko człowiek i jego potrzeby. Pierwotne zwierzę, osamotnione na niebieskiej planecie, gdzieś w bezkresnym wszechświecie.

Ludzki żywot nie miał dla Kortyńskiej żadnego sensu. Monotonia kolejnych dni, tygodni, miesięcy była nie do zniesienia, a perspektywa jałowych, bezcelowych lat prowadzących prosto do grobu nie mieściła się w głowie. Po co przedłużać mękę? Żeby skończyć jak rodzice? Na ciągłym użeraniu się z życiem i samą sobą. Czy nie lepiej unikać przyszłego cierpienia? Na końcu i tak wszyscy skończymy jako strawa dla robali.

Wiktoria bezskutecznie próbował odnaleźć w sobie siłę, która kazałaby jej wykonywać wszystkie te prozaiczne czynności jak jedzenie, spanie, mycie zębów, czy ubieranie się.

Leżała w łóżku i wpatrując się w sufit, trawiła własne negatywne emocje.

Przypomniała sobie słowa, które przez ostatnie miesiące przynosiły nieco ukojenia. Nie było to jakieś euforyczne uniesienie, ale dawało nadzieję, pozwalało znieść bezsensowną rzeczywistość.

Nakryła się kołdrą i sięgnęła do szafki po laptopa przyniesionego przez rodziców. Poczekala, aż załaduje się system operacyjny, po czym uruchomiła komunikator internetowy. Czekala chwilę, spoglądając w ekran z wyrazem pustki wymalowanym na twarzy. Tak bardzo zazdrościła dziewczynce leżącej pod oknem. Przez cały okres pobytu w szpitalu ani razu nie widziała jej świadomej. Może zapadła w śpiączkę?

Kliknęła listę znajomych, po czym wybrała pierwszą pozycję.

„Jesteś?” – wpisała i odczekała kilka sekund. Jednak nikt nie odpowiedział.

„Zrobiłam to i przepraszam” – dodała.

W oczekiwaniu na odpowiedź zabijała czas oglądaniem durnych filmików na YouTube. Potem włączyła jeszcze pudełka i demotywatory. Oglądała zdjęcia celebrytów, zastanawiając się, jak wiele osób pod fasadą pozornego szczęścia, ukrywa cierpienie. My, ludzie, jesteśmy tak bardzo dwulicowi. Na twarzy mamy wymalowany zachwyty, szczęście i dumę, a w duszy krwawiące rany nienawiści, smutku i żalu. Pod obrazkami uśmiechniętych osób widniał napis: „Nie ważne ile dni jest w twoim życiu, ważne ile życia jest w twoich dniach”.

Mimo szesnastu lat Wiktoria doskonale wyczuwała fałsz papierowego życia bijącego z reklam, książek i filmów. Zdawała sobie sprawę z maski, którą przywdziewa aktor, aby omamić widownię. Co dostalibyśmy w zamian, gdyby zedrzeć efektowny makijaż? Monotonię życia przerywaną krótkimi chwilami pozornego szczęścia. I nawet gdyby przyjrzeć się tym niby radosnym momentom, to wypadają błado w porównaniu z kolorytami świata bijącego z neonów popkultury.

Zniecierpliwiona trzasnęła pokrywą od laptopa i odłożyła go na szafkę obok łóżka. Sięgnęła do szuflady po odtwarzacz plików mp3, włożyła słuchawki do uszu i nacisnęła klawisz odtwarzania. Z głośników popłynęły

dźwięki death metalowej muzyki, które sprawiły, że na twarzy dziewczynki pojawił się uśmiech.

Nieoczekiwanie do pokoju zajrzała znajoma pani psycholog.

– Dzień dobry. Jak się pan czuje? – Alicja przywdziała kolejną maskę i wyszczerzyła piękne białe zęby w wyreżyserowanym uśmiechu.

Wiktoria ignorowała kobietę, cały czas słuchając muzyki. Dopiero kiedy Matel usiadła na łóżku Kortyńskiej, dziewczyna wyciągnęła z uszu słuchawki.

– Chcę tylko umrzeć. Czy to tak wiele? – powiedziała.

– Proszę zobaczyć, kto do pani przyszedł.

W drzwiach pokoju pojawiły się osoby, których Wiktoria zupełnie nie miała ochoty oglądać. Rodzice ogłosili zapewne zawieszenie broni. A wszystko w imię wyższego celu – pomóc córce wyjść z depresji. Podeszli bliżej i stanęli nad Kortyńską. Patrzyli na nią jak na malutkie dziecko w kołysce, które dopiero co się urodziło. Brakowało, tylko aby zaczęli cmokać i mówić pieszczotliwym głosem.

Wiktoria czuła, jak narasta w niej agresja. Wiedziała, że nie zdoła opanować emocji kotłujących się w głowie. Nie zamierzała nawet z nimi walczyć.

Rodzice i psycholog, widząc, jak mięśnie rąk dziewczyny napinają się, a twarz nabiera złowrogiego wyglądu, postanowili usunąć się w cień.

– Co wy, kurwa, o mnie wiecie? – wymamrotała. – Różnijcie się dalej po kątach z kim popadnie. Tylko do tego jesteście zdolni – dodała. – Dzieci ma się z miłości, a nie z egoizmu.

Rodzice próbowali z córką rozmawiać, tłumacząc, że źle ich rozumie. Przepraszali za dotychczasowe klótnie, obiecywali poprawę. Na nic się to zdało. Wiktoria nawet nie chciała słyszeć o terapii rodzinnej czy leczeniu depresji. Po trzydziestu minutach bezowocnego przekonywania, rodzice wraz z Alicją opuścili szpitalny pokój.

– Proszę naprawić naszą córkę – powiedział poirytowany Krzysztof Kortyński, spoglądając z pretensją na Alicję Matel.

– Pan chyba niczego nie rozumie – odpowiedziała kobieta. Zatrzymała się i spoglądała mężczyźnie prosto w oczy. – Państwa córka nie jest rzeczą, która się zepsuła. Ona ma poważne problemy. Neurotyczną osobowość leczy się latami.

– Proszę jej pomóc – włączyła się Lucyna Kortyńska. – Możemy zapłacić.

– To od państwa należałoby zacząć terapię – tłumaczyła Alicja. – To państwo potrzebują pomocy. Stan państwa córki jest tylko odzwierciedleniem waszych problemów. Nie mam czarodziejskiej różdżki, która naprawi państwa rodzinę. Bardzo mi przykro.

To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku windy. Oślupiali Kortyńscy stali na korytarzu jeszcze przez kilkanaście sekund.

– Co to za psycholog? – parsknął Krzysztof. – Zapłacimy innemu, który zajmie się Wiktorią.

– Ty zapłacisz – stwierdziła Lucyna i ruszyła korytarzem w stronę wyjścia.

Wiktorcia sięgnęła po butelkę stojącą na szafce i napiła się wody. Nie czuła głodu, choć ze śniadania ledwie ugryzła dwa razy kromkę chleba z masłem. Koło południa z nudów włączyła laptopa i uruchomiła ogłupiającą grę, w której strzelała z pistoletu w spadające z dachu Święte Mikołaje. Czerwony dziadek za każdym razem rozpadał się, zachlapując ekran wirtualną krwią i wnętrznościami. Zajęcie pozwalało choć na chwilę oderwać umysł od okropnej rzeczywistości.

W międzyczasie do pokoju przysła pielęgniarka z plastikową butelką medykamentu. Rozkazała dziewczynie odłożyć laptop na szafkę i położyć się. Przesunęła stojak w pobliże łóżka i podpięła plastikowy wężyk do wenflonu dziewczyny.

– Mogę o coś prosić?

– Oczywiście – uśmiechnęła się pielęgniarka.

Kobieta przy kości, o siwiejących blond włosach upiętych w kucyk, przynosiła ciepłe skojarzenia z opiekuńczą matką. Trzydzieści lat temu musiały być całkiem ładną kobietą.

– Proszę zadzwonić do mojej niani, podam pani numer. Chciałabym się z nią zobaczyć – wymamrotała dziewczyna.

- Nie jesteś za duża na nianię? – zapytała pielęgniarka.
- Proszę – powtórzyła Wiktoria.
- Dobrze, zadzwonię do niej.

ROZDZIAŁ 5

Starszy aspirant Tymon Foltyński wszedł do bramy kamienicy przy ulicy Emiliana Konopczyńskiego. Ostrzyżone na jeża brązowe włosy, podłużna twarz i wydatne policzki kontrastowały z głęboko osadzonymi oczyma i krzaczastymi brwiami policjanta. Zatrzymał się i wciągnął w nozdrza woń stęchlizny i kurzu. Przetarł butem po starych, brudnych płytkach, po czym wrzucił do ust trzy tik-taki. Wiedział, że za chwilę przyjdzie mu oglądać trupa. Na szczęście małe miętowe cukierki skutecznie niwelowały zapach rozkładu. Zwłoki liczyły sobie, co prawda, nie więcej niż trzy godziny, nikt jednak nie mógł przewidzieć, czy martwe ciało nie pozbyło się w międzyczasie zawartości żołądka lub fekaliiów.

Kilka minut później pod kamienicę zajechał samochód Rafała Trygara. Komisarz wyglądał na zmarnowanego, jakby przed chwilą zaliczył czołowe zderzenie z walcem drogowym. Szara skóra twarzy, podkrążone oczy i głębokie zmarszczki na czole tworzyły charakterystyczny obraz stróża prawa na służbie. Dodatkowo zapuścił ostatnio brodę, co upodabniało go do bezdomnego lumpa.

Wszedł do bramy, stanął obok Foltyńskiego i zapytał:

– Co mamy?

– Rafał – wycodził Tymon przez zęby. – Walisz wodą.

– Serio? – zapytał zdziwiony Trygar. Chciał dopowiedzieć, że to tylko woda po goleniu, ale ugryzł się w język. Foltyński znał go zbyt dobrze, żeby można mu było wcisnąć ciemnotę.

– Zaraz pojawi się Suski. Wiesz, jak reaguje na alkohol – dodał Tymon.

– Wczoraj wieczorem odwiedził mnie kolega ze szkoły – tłumaczył się komisarz. – Nie masz może gmy do żucia?

– Zjedz to. – Foltyński wręczył Trygarowi całą garść tik-taków. – Trzymaj się z tyłu. Ja będę rozmawiał z Marianem.

– Dzięki – odparł Trygar, wrzucając cukierki do ust.

Dwójka policjantów ruszyła schodami na czwarte piętro. Trygar był zbyt skacowany, aby zwracać uwagę na otoczenie. Jego głównym celem było – przetrwanie. Foltynski przystawał na każdym piętrze, oglądając odrapane ściany kamienicy i drzwi do mieszkań.

– Malowanie było tu pewnie w zeszłym tysiącleciu – stwierdził Tymon, obserwując wydrapany na tynku napis – „Tu byłem, pradziadek Tony Halika”.

– Kiedyś wszyscy mieli tabliczki z nazwiskiem na drzwiach. A teraz? – mruknął Trygar.

– Paranoja związana z ustawą o danych osobowych – odpowiedział Foltynski.

Na czwartym piętrze funkcjonariusze zastali krzątających się techników z laboratorium kryminalistyki zabezpieczających ślady.

– Zebraliście wszystko? – zapytał Tymon. – Możemy się rozejrzeć?

– Rozgoście się. Tylko ostrożnie – odpowiedział technik, wręczając policjantom gumowe rękawiczki.

– Traseologiczne też zebraliście? – zapytał Foltynski, zaglądając przez drzwi do wnętrza mieszkania.

– Tak, ale idźcie naokoło. Na środku salonu są odciski po butach – dodał technik.

Trygar wszedł do mieszkania, w ślad za nim ruszył Tymon, który obawiał się tego, co miało za chwilę nastąpić. Zgodnie z sugestią technika, obeszlą pokój i zatrzymali się dopiero nad ciałem dziewczyny.

Denatka leżała na brzuchu z przekrzywioną głową. Widoczny policzek naznaczony był sinymi śladami po uderzeniu. Z nosa prowadziła zakrzepnięta stróżka krwi, która stworzyła wokół ciała niewielką brunatną kałużę. Pod stołem ujrzeli małą czarną torebkę.

Foltynski z radością skonstatował, że ciało dziewczyny wygląda nadzwyczaj dobrze. Ostatni przypadek, jaki miał nieprzyjemność widzieć, wyglądał tragicznie. Ciało po porachunkach rodzinnych przy użyciu ostrych

narzędzi – tasaka i siekiery, wyglądały niczym mielone przepuszczone przez zepsutą maszynkę do mięsa.

– Plamy opadowe za uszami jeszcze się nie utrwały – stwierdził Tymon.

Policjanci przyglądali się zmarłej, kiedy w progu mieszkania pojawił się prokurator Marian Suski. Razem z nim był również policjant, który przybył na miejsce zdarzenia jako pierwszy, i do tej pory czekał w radiowozie pod kamienicą.

Marian ubrany był w staromodny garnitur, który sugerował, że prokurator wyciągnięty został wprost z sali sądowej.

– Chodźcie dookoła, żeby nie zatrzeć śladów – powiedział Foltyński, częstując Trygara resztką tik-taków z pudełka.

Prokurator, po przywitaniu się z policjantami, otworzył teczkę, którą przyniósł ze sobą i wyjął z niej kilka kartek wydrukowanych z komputera.

– Jagna Filiańska, zameldowana na stałe w Białymstoku – odczytał. – Przez dwa i pół roku pobytu w Warszawie pracowała w Instalkorpie. Od sześciu miesięcy w BudMecie. Panna, nienotowana. Dwa mandaty, trzynaście punktów karnych.

– I tyle? – zapytał Foltyński. Dopiero teraz zauważył, że noże kuchenne ułożone na stole tworzą jakiś znak.

– Tyle – odpowiedział Suski, wzruszając ramionami. Schował kartki do teczki i przykucnął nad ciałem denatki. Jego twarz była szara, podkrążone smutne oczy i opadające policzki sprawiały, że przypominał nieco owczarka kaukaskiego. Przerzedzone siwe kręcone włosy sprawiały wrażenie chaosu, choć ich właściciel zaczesywał je sumiennie do góry, próbując opanować nieporządek.

– Kto ją znalazł? – zapytał Trygar.

Policjant, który przyszedł wraz z Marianem na czwarte piętro kamienicy, poczuł, że wywołano go do odpowiedzi. Niczym wzorowy protokolant rozpoczął tyradę krótkich zdań.

– Współlokatorka, niejaka Karolina Rychter. Mieszkały razem od roku. Jagna Filiańska wracała z pracy chwilę po szesnastej, koło godziny osiemnastej pojawiała się ta druga kobieta.

– Gdzie jest ta Rychter? – zapytał Suski.

– Siedzi w radiowozie. Ciężko z niej coś wyciągnąć – odpowiedział policjant.

– Porozmawiamy z nią, jak się nieco uspokoi – powiedział Tymon.

Suski skrzyżował ręce na piersi i rozglądał się chwilę po salonie. Trygar wyszedł do przodu, przeczuwając, że zaraz padnie fundamentalne pytanie:

– Co o tym sądzicie?

– Nic nie skradziono? – odpowiedział pytaniem Trygar.

– Nic – wymamrotał policjant. – Przynajmniej tak nam się wydaje. Sprawdzimy to dokładnie, jak ta Rychter dojdzie do siebie.

– Ładna kobieta – zamyślił się Tymon. Krótka sukienka odsłaniała uda denatki. A patrząc pod odpowiednim kątem, można było dostrzec dużo więcej.

– Nie o to pytałem – urwał prokurator.

– Brak domofonu w kamienicy. Nic nie wskazuje na włamanie. Dziewczyna musiała zabójcy otworzyć drzwi.

– Albo napastnik wszedł z nią do środka – dodał Suski.

– Spójrzcie na to – zagadnął Foltiński, wskazując na stół, na którym ułożone były kuchenne noże.

Foltiński, ganiony przez Trygara za wymądrzanie się, starał się zwykle nie wychylać. Tym razem jednak czuł, że ma od przełożonego upoważnienie, aby przejąć pałeczkę pierwszeństwa.

– Co to takiego? – zapytał Suski, przekrzywiając głowę niczym gołąb.

– To *V jak Vendetta* – odrzekł Tymon.

Na twarzy Mariana odmalowało się zdziwienie.

– Był kiedyś taki komiks o bohaterze nazywającym się V. Mścił się na władzy, reprezentując uciemiężony lud. Coś jak Zorro, tylko ubrany był w maskę Guya Fawkesa.

– Kogo? – zapytał Suski.

– To żołnierz, który miał dokonać zamachu na króla Jakuba I Stuarta. Zabijając władcę, chciano przywrócić katolicyzm w Anglii. W piwnicach budynku parlamentu zgromadzono mnóstwo prochu, który miał posłużyć do

wysadzenia budowli wraz z królem. Fawkes miał się poświęcić i zdetonować bombę. Niestety, spisek został zdemaskowany, a Guya skazano na tortury i śmierć w mękach. Miał zostać powieszony i poćwiartowany.

– I jak zginął? – wtrącił się Trygar.

– Uniknął tortur. Skoczył z szubienicy, na której miał zawisnąć i złamał kark.

– Nie rozumiem analogii do morderstwa Filiańskiej – zastanawiał się Marian.

– Sądę, że tu nie chodzi o Guya Fawkesa, tylko o V, bohatera komiksu i filmu – tłumaczył aspirant. – W dystopicznym świecie przyszłości, gdzie Anglia po nuklearnej wojnie została państwem totalitarnym, V walczył z ustrojem. Jednocześnie prowadził prywatną wendettę.

– Czy to nie ten film braci Wachowskich od Matrixa? – wtrącił się policjant.

– Ten sam. Choć teraz to siostry Wachowskie – uciął Foltłyński.

Suski uniósł brwi.

– No co? – Tymon wzruszył ramionami.

– Polityczny mściciel? – zastanawiał się Marian. – Jeszcze mi powiedzcie, że przedstawiciel opozycji biega po Warszawie i morduje. To się kupy nie trzyma.

Trójka policjantów i prokurator patrzyli przez chwilę na znak V ułożony na stole. Lekarz medycyny sądowej stał nieco z boku i robił jakieś notatki. Suski postanowił wykorzystać sytuację i zwrócił się w stronę medyka.

– Czy to rana po nożu była przyczyną śmierci?

– Sekcja pokaże, ale obstawiam, że tak. Nóż najprawdopodobniej uszkodził mięsień sercowy. Pobicie jest dotkliwe, ale nie było przyczyną zgonu – tłumaczył lekarz.

– V w filmie i komiksie posługiwał się sześcioma sztyletami – dodał Foltłyński, zastanawiając się, czy może to mieć jakieś znaczenie. – Może morderca chciał, abyśmy wzięli to pod uwagę.

– Są ślady gwałtu? – zapytał Marian.

– Raczej nie, choć to również wykaże obdukcja – odpowiedział lekarz.

Foltyński przeszedł kilka kroków i zajrzał przez drzwi prowadzące do dalszej części mieszkania. Mała klitka, w której mieściła się lodówka, kuchenka gazowa i kilka szafek z trudem zasługiwała na miano kuchni. Jedna z szuflad była otwarta. Tymon opuścił zebranych i wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Wewnątrz regału zobaczył kuchenne sztućce, dokładnie takie same jak te, ułożone na stole.

– Spójrzcie tutaj – zawołał.

– Jeśli morderca planuje zabicie ofiary, zwykle przynosi narzędzie zbrodni ze sobą. On użył tego, co zastał na miejscu. Jakby improwizował – stwierdził Marian.

– Może ją wcześniej bił i torturował, jak tego Guya Fawkesa? – zapytał Foltyński. – Zabił ją dopiero wtedy, kiedy dowiedział się tego, czego chciał.

– Niewykluczone – mruknął Trygar, który czuł, że męczący kac odchodzi w zapomnienie, a w zamian nadchodzi ogromne pragnienie.

– Chodźmy rozmówić się z tą kobietą na dole – powiedział Suski, po czym dodał Trygarowi na ucho: – Musisz zmienić płyn po goleniu.

Mężczyźni zeszli na dół po schodach. Gdy wychodzili z kamienicy, ktoś nagle do nich doskoczył.

– Dominika Figiel, „Gazeta Warszawska”. Proszę nam powiedzieć kilka słów o śmierci tej młodej kobiety mieszkającej na czwartym piętrze kamienicy. – Wystrzyżone na krótko blond włosy, agresywny makijaż i postura sportsmenki wskazywały dobitnie, że jest to typ hyeny medialnej.

Marian Suski wyszedł do przodu, jakby chciał zasłonić policjantów własną pierśią.

– Proszę stąd odejść, nie udzielamy żadnych komentarzy.

– Proszę mi tylko odpowiedzieć na jedno pytanie – nie ustępowała kobieta.

– Powiedziałem, nie udzielamy żadnych komentarzy. Jeśli będzie pani nadal przeszkadzać w prowadzeniu śledztwa, poproszę policjanta, aby zatrzymał panią na dwadzieścia cztery godziny.

Dopiero te słowa podziały na napastliwą kobietę na tyle, że wyszła poza strefę oddzieloną taśmą ochronną. Tam rozpytywała przypadkowych gapiów, nagrywając ich na dyktafon.

Funkcjonariusze i prokurator podeszli do policyjnej furgonetki, w której siedziała pod opieką lekarza Karolina Rychter. Nawet przez szybę widać było, że kobieta jest roztrzęsiona i bliska hysterii.

– Kto z nią porozmawia? – zapytał Suski.

– Musimy być delikatni – stwierdził Tymon. – Najlepiej takie sprawy załatwiała Marzena Gibała.

– A gdzie ona w ogóle jest? – zapytał Marian, który dopiero teraz zorientował się, że wśród policjantów nie ma maskotki wydziału kryminalnego.

– Jutro wraca z urlopu – podsumował Trygar.

– Ja pójdę – zaproponował Tymon. Odsunął drzwi od furgonetki i usiadł obok uszkodzonej.

– Czy jest pani w stanie udzielić mi odpowiedzi na kilka pytań? – zaczął Tymon.

– Chyba tak... – odpowiedziała kobieta, próbując powstrzymać wybuch płaczu.

– Dostała środki uspokajające – powiedział lekarz siedzący obok. – Powinny już działać.

Fołyński poczuł się dowartościowany. Najwyraźniej nie tylko Marzena Gibała potrafiła rozmawiać z roztrzęsionymi kobietami. Również starszy aspirant miał w sobie nieodkryte jeszcze pokłady empatii.

– Proszę mi dokładnie opowiedzieć – zaczął Tymon z nadzieją w głosie – co się wydarzyło, po tym, jak przyszła pani z pracy.

Ledwie skończył zadawanie pytania, na twarzy Rychter pojawił się grymas bólu. Kobieta zaczęła szlochać i na tym pytania się zakończyły.

ROZDZIAŁ 6

Lucyna Kortyńska nie powiedziała mężowi, że bierze w pracy wolne. Zresztą, po ostatniej kłótni, nigdy więcej nie zamierzała go o niczym informować. Wkroczyli na wojenną ścieżkę, z której nie było już odwrotu. Od dzisiaj należało spodziewać się tylko krwi i ofiar. Postawiła samochód na chodniku, ignorując parkometr, i ruszyła w kierunku ulicy Raszyńskiej, gdzie znajdowały się kancelarie prawnicze.

Mecenas Ignacy Lewartowski był mężczyzną koło siedemdziesiątki, który dawno temu powinien już przejść na emeryturę. Stary adwokat wychował na swojej piersi wielu młodych prawników. Sam obnosił się z faktem, że praktykował w zawodzie już ponad czterdzieści lat. Żaden szanujący się warszawski prawnik, nie mógł powiedzieć, że nie zna mecenasa Lewartowskiego. Lata świetności staruszek miał już co prawda dawno za sobą, niemniej jednak stawki za jego usługi pozostały jak za najlepszych czasów.

Sekretarka, widząc Lucynę Kortyńską, natychmiast ją zaanonsowała. Wiedziała doskonale, że jest to jeden z najlepszych, a na pewno najbogatszych klientów mecenasa. Prawnik wyskoczył z gabinetu zaledwie kilka sekund później. Pojedyncze siwe włosy sterczące z łysiny nosił chyba tylko po to, aby nie zapomnieć, że kiedyś posiadał czuprynę. Okulary spuszczone nisko na nos i pucułowate policzki dopełniały obrazu prawnika.

– Dzień dobry – wyciągnął rękę na przywitanie.

– Witam mojego najdroższego mecenasa – odpowiedziała kobieta uszczypliwie. – Usiądźmy gdzieś, chciałabym przedyskutować kilka kwestii.

Po zamknięciu drzwi gabinetu Lucyna niemal od razu wyskoczyła z tyradą pretensji:

– Ten prywatny detektyw, którego mi pan polecił, to jakiś kompletny amator. Miał zebrać dowody, a tymczasem dał się przyłapać. Mąż zrobił mi awanturę. Miarka się przebrała. Nie zamierzam tego dłużej tolerować.

- Dostał od pani męża porządne lanie – przyznał Ignacy.
 - Krzysztof go pobił? – zapytała nieco zaskoczona Lucyna.
- Lewartowski mruknął.

– Dobrze mu tak. Obwoła się taki prywatnym detektywem i nie potrafi prostej sprawy załatwić – narzekała Kortyńska.

– Moglibyśmy mężowi wytoczyć sprawę o pobicie i kradzież – tłumaczył Ignacy. – To by mu nieco nadszarpięło reputację.

– To jeszcze coś ukradł? – zapytała Lucyna.

– Telefon komórkowy, na którym były zdjęcia pani męża i tej kobiety.

– Nie zajmujmy się drobiazgami. Chciałabym, aby napisał pan wniosek rozwodowy – powiedziała Lucyna. – Najlepszy w swej karierze – dodała po chwili.

Mecenas pogładził się po łysinie, zaczesując kilka włosów, które widniały na czubku głowy.

– Podział majątku też robimy, czy na razie tylko rozwód? – zapytał po chwili.

– Podział majątku przede wszystkim. Potrzebujemy jednak zdobyć twarde dowody przeciwko mojemu mężowi. Chciałabym, aby udowodnił pan w sądzie, że cała wina za rozwód leży po jego stronie.

– Możemy powołać prywatnego detektywa na świadka. Zezna, co widział. To powinno pomóc udowodnić mężowi winę. Można też wezwać na świadków pracowników BudMetu, może waszych znajomych. Ktoś powinien powiedzieć coś obciążającego. W dzisiejszych czasach ciężko ukryć romans.

Mecenas wstał, wyszedł z pokoju i krzyknął w stronę sekretariatu.

– Pani Kasiu, dwie kawy proszę – wrócił do klientki i kontynuował wywód.

– Muszę panią zmartwić – kontynuował. – Udowodnienie winy któremuś z małżonków jest bardzo trudne. Kilkanaście lat temu prowadziłem sprawę rozwodową. Mąż przebywał w Niemczech w pracy, żona zajmowała się dzieckiem. Niemal codziennie po odprowadzeniu dziecka do szkoły przyjmowała adoratorów, z którymi chędożyła się, aż w całym bloku huczało. Po kilku latach mąż złożył wniosek rozwodowy.

– Co robiła? – zapytała Lucyna.

– No chędożyła, ryćkała, stukala. Nie wiem, jak się to teraz nazywa. Za moich czasów się chędożyło.

Lucyna zatrzepotała rżęsami ze zrozumieniem, wydeła wargi i zapytała:

– I co?

– Nic. Rozwód za porozumieniem stron, bez orzekania o winie. Sam fakt, że małżonkowie mieli razem dziecko, był wystarczającym powodem, aby nie tylko nie obarczać winą jednej ze stron, ale również podzielić majątek dokładnie na pół. To nic, że ona była w tym związku przede wszystkim kosztem. Wkład emocjonalny do małżeństwa jest nie do przecenienia.

– To bez sensu – parsknęła Kortyińska.

– Tak orzekają sądy w sprawach rozwodowych. Mąż musiałby panią bić albo molestować seksualnie. Rozwód musi formalizować przede wszystkim trzy kwestie. Alimenty dla dziecka, widzenia rodziców z dzieckiem i miejsce pobytu dziecka. Orzeczenie o winie jest w tej kwestii drugorzędne, i tak naprawdę mało istotne.

Lucyna zamyśliła się, analizując wypowiedź mecenasa Lewartowskiego.

– To logiczne, że Wiktoria zostanie przy mnie – stwierdziła po chwili. – Bardziej interesuje mnie podział majątku.

– Oczywiście można te dwie kwestie przeprowadzić w trakcie jednej rozprawy rozwodowej. Sędzia w pierwszej kolejności będzie proponował negocjacje i podział majątku na drodze porozumienia stron.

– A co jeśli strony się nie porozumieją? – zapytała Kortyińska.

– Wyznacza się rzeczoznawców i biegłych rewidentów, którzy szacują stan majątku stron i dzielą go równo na pół.

Lucyna patrzyła w sufit, potem na regały z segregatorami stojące za Ignacym. Widać było, że próbuje coś powiedzieć, nie wiedziała jednak, jak ma to zrobić.

– Proszę pani, adwokat jest jak ksiądz – zachęcał mecenas, widząc wahanie kobiety. – Można mu wyznać wszystkie grzechy, nawet te najgorsze.

– Będę z panem szczerą. Nie interesuje mnie równy podział majątku. Chciałabym tego człowieka zniszczyć, pogrzebać na wieki. Żeby moja osoba śniła mu się w najgorszych koszmarach – rzuciła Kortyńska z nienawiścią wymalowaną na twarzy. – Ten człowiek zniszczył mi życie, choć oddałam mu najpiękniejsze lata. Teraz przyszedł czas zemsty.

Ignacy Lewartowski podrapał się po głowie, potem po brodzie, jakby teraz to on miał problem z wysłowieniem się.

– Oczywiście da się to zrobić – zaczął. – Przy czym, to będzie długotrwały i zapewne bardzo kosztowny proces – dodał.

– Chciałabym, aby zajął się pan moją sprawą na pełny etat. Jeśli trzeba, opłacę wszystkich prawników w tej kancelarii. Niech nie robią nic innego, tylko szukają haków, aby zaszkodzić temu człowiekowi. Dam panu połowę tego, co uda się uzyskać z majątku Krzysztofa.

Lewartowski, słysząc słowa Lucyny, o mało nie zemdlął. Doskonale zdawał sobie sprawę, jakim bogactwem dysponuje Kortyński. Z takimi pieniędzmi będzie mógł wreszcie przejść na zasłużoną emeryturę.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedział ze stoickim spokojem. – Muszę się zastanowić nad strategią i podejściem do sprawy. Trzeba będzie balansować na granicy prawa.

– Sam mi pan kiedyś powiedział, że w sądzie liczy się cała prawda, tyż prawda i gówno prawda – urwała Lucyna.

Mecenas skwitował wypowiedź klientki delikatnym uśmiechem.

ROZDZIAŁ 7

Policjanci wraz z prokuratorem siedzieli w sali konferencyjnej komendy wojewódzkiej i dyskutowali o przebiegu śledztwa. Na spotkaniu pojawiła się również Marzena Gibała, policjantka pracująca z Foltińskim i Trygarem prawie od roku. Była młoda, piękna i miała wredny charakter, ale też fory u komisarza. Może starszy funkcjonariusz był w kobiecie zauroczony albo przypominała mu córkę, której nigdy nie miał? Zupełnie inny stosunek do Gibały miał Foltiński. Irytowała go niemilosiernie. Jeśli nie nosiła krótkich wyzywających spódnic i bluzek z głębokim dekoltem, to zachowywała się prowokująco. Nie ulegało wątpliwości, że wykorzystywanie seksualności dla własnych potrzeb miała opanowane do perfekcji.

Siedziała w niebieskiej służbowej spódnicy przed kolano, nachylając się prowokacyjnie i prezentując Suskiemu pokaźny dekolt. Czarne, długie włosy spięte w kucyk tworzyły przestrzeń dla wyobraźni. Kobieta przynajmniej raz dziennie rozpuszczała je z pełnym namaszczeniem, urządzając mini przedstawienie dla męskiej części publiczności.

Prokurator, zgodnie ze swoim zwyczajem, przemierzał salę od jednego krańca do drugiego. Podczas jednej takiej sesji potrafił przejść nawet kilometr. Trzymał w ręku raporty z sekcji zwłok, analizy medyków i techników z biura kryminalistycznego oraz protokoły przesłuchania świadków.

– Dowiedziałeś się coś od Karoliny Rychter, współlokatorki Jagny Filiańskiej? – zaczął Suski, zwracając się w stronę Foltińskiego.

– To była trudna rozmowa. Musieliśmy robić chyba ze cztery przerwy – stwierdził Tymon. – Od czasu, kiedy zamordowana dziewczyna zatrudniła się w BudMecie, sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej. Jakby pozbyła się jakiegoś ciężaru z serca. Rychter twierdzi, że to z powodu jej poprzedniego szefa, który był idiotą i mobbingował dziewczynę. Przez trzy lata pobytu w Warszawie miała trzech, może czterech chłopaków, z żadnym nie spotykała

się dłużej niż trzy miesiące. Zresztą, niewiele się od niej dowiedziałem – zawiesił głos Tymon. – Lepiej powiedz Rafałowi i Marzenie o telefonach komórkowych – dodał Fołtyński, który zdążył się wcześniej zapoznać z aktami dotyczącymi przeszukania mieszkania i rzeczy osobistych Jagny Filiańskiej.

– A co z nimi? – zainteresowała się policjantka, zwracając się w stronę prokuratora.

– W mieszkaniu Filiańskiej znaleźliśmy dwa telefony komórkowe. Jeden służbowy, drugi prywatny.

– Czy coś w nich było? – zapytał Trygar. Poprawił się na krześle, dopił kawę, wytarł brodę i wydmął usta.

Choć minęły już dwa miesiące, odkąd zmienił image, nadal trudno mu było przyzwyczać się do resztek picia i jedzenia wplątujących się w zarost. Jednak dodatkowe minuty snu, jakie zyskał, rezygnując z golenia, rekompensowały mu wszystkie straty.

– Telefony służyły Filiańskiej do kontaktów z niejakim Krzysztofem Kortyńskim. To prezes prężnie działającej firmy deweloperskiej.

– Romans? – zapytała Marzena, uśmiechając się szeroko, jakby temat wzbudził w niej żywe zainteresowanie.

– Na to wygląda – przyznał Suski. – Filiańska pracowała w firmie Kortyńskiego jako asystentka. Z bilingu rozmów telefonu służbowego wynika, że rozmawiali ze sobą kilka razy w tygodniu. Lista rozmów prywatnych przedstawia się zupełnie inaczej.

– Kilka razy dziennie? – zgadywała Gibała.

– Dwie, czasem nawet trzy pogadanki dziennie.

– Czy prezes Kortyński ma żonę? – zapytał Rafał.

– Tak. To Lucyna Kortyńska, są małżeństwem od dwudziestu lat. Mają jedno dziecko.

– No to sprawa nabiera rozmachu – w kącikach ust Trygara pojawił się uśmiech. – Mamy trop prowadzący do świata biznesu i wielkich pieniędzy.

– Kolejna lista szczęściu? – zapytała policjantka, wspominając wydarzenia sprzed roku, które wstrząsnęły całą Polską.

– Czy ta współlokatorka nie widziała nigdy Filiańskiej z Kortyńskim? Może słyszała, jak rozmawiają przez telefon? – zapytał Rafał.

– Pytałem ją o to telefonicznie. Rychter nigdy nie słyszała o Kortyńskim. Dziwiła się nawet, że przez ostatnie pół roku Filiańska nie miała chłopaka. Zapewne para kochanków była ostrożna. Zależało im, aby romans nie wyszedł na światło dzienne – stwierdził Tymon.

– A kim jest żona Kortyńskiego? – zapytał Trygar.

Suski odłożył na stół kartki, które trzymał w dłoni i wyjął z teczki leżącą na stole kolejny plik.

– Poznali się z Kortyńskim na politechnice. Studiowali budownictwo. Krzysztof został w zawodzie, żona zatrudniła się w firmie farmaceutycznej. Dziś jest dyrektorem – czytał Marian.

– Czyli głodem nie przymiera – stwierdził Tymon. – Sądzą, że nakryła męża na romansie? Zabiła kochankę, aby się zemścić?

– Trzeba będzie sprawdzić ten trop – powiedział Suski, który sadził długie kroki wzdłuż sali konferencyjnej, wczytując się w akta. W pewnym momencie zatrzymał się.

– To jest dobre – wymamrotał.

Ciekawość policjantów została połączona. Rozsiedli się wygodnie w fotelach i popijając kawę, słuchali monologu prokuratora Suskiego.

– Mamy obdukcję ciała Jagienki Filiańskiej, daktyloskopię, ślady traseologiczne i mikroślady pozostawione na jej ubraniu. Pierwsza ważna sprawa. Odciski palców na nożach należą do lokatorek, a zatem sprawca musiał używać rękawiczek. Druga rzecz to brak śladów włamania. Albo ofiara musiała mordercę znać, albo sprawca wszedł do mieszkania, używając podstęp. Zresztą, niczego nie skradziono. Kolejna sprawa to odciski butów pozostawione na panelach w salonie. To duże obuwie przypominające glany albo trampki. Na sukience ofiary, jak i na szczęce, znaleziono mikrocząstki pochodzące z tej samej podeszwy. Z zeznań Rychter wynika, że nie miały takiego obuwia, również nikt z ich znajomych takich nie nosił.

– Kopał ją? – zapytał Trygar.

– Na to wygląda – potwierdził Suski, zagryzając wargę. – Ślady pozostawione w mieszkaniu wskazują, że kobieta walczyła z napastnikiem. Użyła gazu pieprzowego.

– Niezły zwyrodnialec – stwierdziła Marzena.

– Czy ślad buta gdzieś nas prowadzi? – zapytał Rafał.

– Producentów podobnego obuwia jest w Polsce na pęczki. Jeszcze więcej sprowadza się tego z Chin. Jeśli odnajdziemy właściciela tych butów, porównanie mikrośladów będzie istotnym dowodem. Choć żaden sąd nie skáže nikogo tylko na podstawie śladów traseologicznych.

– Jedyne, co dają nam ślady butów, to przypuszczenie, że sprawca jest krępkim mężczyzną – podsumował prokurator.

– Mamy coś jeszcze? – dopytywał Fołtyński, pociągając z kubka łyk kawy.

– Tak. Otóż ofiara nie zginęła na skutek pobicia, śmierć zadano kuchennym nożem. Analiza rany wlotowej na ciele wskazuje, że cios zadano z ogromną siłą. Tępy przedmiot przebił serce niemal na wylot.

– Co to oznacza? – zapytał Fołtyński.

– Technik twierdzi, że nóż mógł być rzucony w ofiarę z bliskiej odległości – powiedział prokurator.

Na twarzach policjantów odmalowało się zdziwienie. Marzena obciągnęła spódnicę i poprawiła się na fotelu.

– Nożownik? – wymamrotał Trygar.

Suski wzruszył ramionami.

– Czy da się rzucić niewyważonym kuchennym nożem w taki sposób, aby trafić w serce? – zastanawiał się Fołtyński.

– Sądzę, że da się coś takiego wyćwiczyć, jednak wymaga to lat pracy. Z drugiej strony, może morderca po prostu miał szczęście. Może zabrał z kuchni kilkanaście noży na wypadek, gdyby pierwszym nie trafił do celu? Dopiero kiedy zabił Filiańską, ułożył z pozostałych sztuczków znak V – powiedział Trygar.

– Wiemy, że morderca używał rękawiczek. Nie zostawił żadnych śladów z wyjątkiem odcisków buta. Może to zawodowiec? – zaproponował Suski.

– Płatny zabójca? – zapytał Trygar.

– Patrząc na sprawę z innej strony, zabójca zachował się mało profesjonalnie. Nie zabrał na miejsce zbrodni żadnej broni, zostawił odciski butów i znak V ułożony z noży, sugerujący motyw zemsty. Zawodowcy działają po cichu i wystrzegają się zostawiania jakichkolwiek śladów. Dodatkowo widać, że ofiara walczyła. Napastnik trochę się namęczył, zanim ją zabił – powiedział Tymon.

– Może celowo zostawił znak V, aby wprowadzić nas w błąd? Może to tylko zmyła, abyśmy zabrnęli w ślepy zaułek? – zastanawiała się Marzena.

Suski ruszył wzdłuż sali konferencyjnej. Zrobił kilkanaście kroków i zatrzymał się dopiero pod ścianą.

– Powinniśmy poprosić profilera o portret psychologiczny mordercy. Może coś nam umknęło. I przede wszystkim, musimy przycisnąć tego Kortyńskiego – powiedział, nie odwracając się. – A i jeszcze jedno.

Policjanci byli przyzwyczajeni, że prokurator lubił dawkować emocje i najciekawsze fakty zostawiał zwykle na koniec.

– W portfelu Kortyńskiej znaleźliśmy kartę magnetyczną do skrytki bankowej – wypalił Marian.

– Sądysz, że znajdziemy w niej coś ciekawego? – zapytał Tymon.

– Wystawię wam nakaz. Odwiedźcie żonę Kortyńskiego, a potem idźcie do banku. Ja rozmówię się z Kortyńskim – zawyrokował.

Foltyński wyciągnął z kieszeni tik-taki i wrzucił do ust pastylkę, po czym poczęstował Trygara.

– Mogę pójść z tobą do tego Kortyńskiego? – zapytała Marzena, która poczuła się pominięta.

Suski odwrócił się i zmierzył kobietę marsowym spojrzeniem.

– Skoro lubi młode kobiety, może przy mnie będzie bardziej skory do zwierzeń. Mam taką jedną obcisłą niebieską spódnice.

Marian uśmiechnął się i dodał:

– Dobrze, chodźmy.

ROZDZIAŁ 8

Lucyna Kortyńska przysłała do pracy jak zawsze o godzinie ósmej. Zostawiła samochód na podziemnym parkingu i ruszyła do windy. Wjechała na górę i udała się do przeszklonego gabinetu mieszczącego się na dziesiątym piętrze wysokościowca.

– Zrób mi kawę – warknęła w stronę sekretarki, poprawiającej makijaż. Weszła do gabinetu i włączyła służbowego laptopa. Ledwie usiadła w fotelu, usłyszała pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołała.

Pojawił się mężczyzna koło pięćdziesiątki. Wyglądem przypominał psa, który czeka, aż właściciel wymierzy mu karę.

– Czy można? – zapytał, kuląc się uniżenie. – Chciałem prosić... o trzy dni urlopu, moja żona zachorowała – jękał się. – Muszę zostać z bliźniakami. Są wcześniakami, więc mamy z nimi trochę problemów.

Lucyna zastanawiała się przez chwilę, marszcząc brwi. Wreszcie odpowiedziała:

– Załatw sobie niańkę albo niech z babcią zostaną. Płacę wam pieniądze za to, abyście byli dyspozycyjni. Chyba że chciałbyś zmienić stanowisko na gorzej płatne i stacjonarne. – Ledwie dyrektorka wypowiedziała te słowa, od razu poczuła się lepiej. Zastanawiała się nawet przez chwilę, czy nie odziedziczyła dyrektorskich genów po rodzicach.

Mężczyzna, który już wcześniej wyglądał jak siedem nieszczęść, teraz o mało się nie rozpląkał. Spuścił głowę i wyszedł z pokoju. W międzyczasie asystentka przyniosła Kortyńskiej kawę, po czym uciekła, nie chcąc narażać się na kolejne niemożliwe do zrealizowania polecenia. Lucyna usiadła w fotelu i uruchomiła przeglądarkę internetową, po czym załadowała stronę z prywatną pocztą elektroniczną. Nie chciała używać programu firmowego, bo jakiś nadgorliwy informatyk mógłby coś zwęszyć. W skrzynce odbiorczej były tylko

dwa e-maile. Kliknęła nagłówek pierwszego i otworzyła załącznik. Był to pozew rozwodowy przygotowany przez mecenasa Lewartowskiego. Już po kilkunastu sekundach lektury doszła do wniosku, że staruszek stanął na wysokości zadania. Pozoznaczała kilka fragmentów, które wymagały jeszcze korekty.

Prawnik napisał, aby żądania finansowe wnioskodawczyni zaspokojone zostały między innymi z majątku firmy BudMet. Był to naprawdę odważny postulat, ponieważ nadwyręzał płynność finansową dewelopera, który większość inwestycji finansował kredytem. Po wycofaniu części płynnych aktywów z BudMetu banki natychmiast zażądają dodatkowych zabezpieczeń, których Krzysztof nie będzie w stanie przedstawić. W konsekwencji cofną finansowanie i katastrofa gotowa. Dłużnicy, chcąc zaspokoić żądania, zajmą majątek prywatny właściciela firmy. Komornicy zrobią resztę i pociągną Krzysztofa na samo dno.

W mailu z biura adwokackiego było jeszcze kilka pomysłów, które jednak nie nadawały się do umieszczenia w oficjalnym piśmie sądowym. Nasłanie na BudMet kilku opłaconych kontroli skarbowych, które zajmą rachunki firmy, było jednym z ciekawszych konceptów na liście. Lucyna uśmiechnęła się, oczyma wyobraźni wybiegając w przyszłość.

Mąż wynajmie zapewne sztab prawników, którzy za wszelką cenę będą chcieli zabezpieczyć firmę przed upadkiem. Na szczęście strona atakująca zawsze jest krok przed obroną.

Fragment związany z nieletnią Wiktorią, Lucyna przeczytała tylko pobieżnie. Było dla niej oczywiste, że córka pozostanie pod jej opieką. Dom zapewne również przypadnie jej. Zapobiegliwi rodzice w przeddzień ślubu przepisali na nią dwadzieścia siedem arów, na których firma męża miała w przyszłości rozpocząć budowę. Sprytni staruszkowie, dobrze znający życie, najwyraźniej przeczuwali, że coś się może wydarzyć.

Gospościa, która pracowała u nich w domu od niepamiętnych czasów, również powinna zostać. Kortyńska nie zamierzała przecież zajmować się domem i dzieckiem. Nadzieja zrosła się z rodziną tak bardzo, że tworzyła z nią nierozzerwalną całość. Jednak przede wszystkim Wiktoria ją ubóstwiała. Starsza

kobieta pracowałaby w domu Kortyńskich, nawet gdyby nie dostawała za to żadnej zapłaty. Ukrainka była prostą kobietą, czasem irytującą, z drugiej jednak strony, czy można było oczekiwać od niej wyrafinowanego zachowania. Całe życie dbała tylko o posesję i rodzinę Kortyńskich.

„Zemsta jest ambrozją bogów” – pomyślała Lucyna. Oczyma wyobraźni widziała siebie w glorii. Rozdepcze tę szumowinę jak karalucha. Były mąż przyjdzie jeszcze żebrać o marne ochłapy, a ona, w akcie łaski, pozwoli mu zjeść okruszki ze stołu.

Kliknęła drugą wiadomość i otworzyła e-maila. Uśmiech rozpromienił oblicze kobiety, kiedy przeczytała sprośny wierszyk. Mężczyzna, który go napisał, działał na nią niczym narkotyk. Niemal czuła się od niego fizycznie uzależniona. Uruchoмиła komunikator internetowy i wysłała emotikona z uśmiechem. Chwilę potem pojawił się tekst: „Schrupałbym cię jak świeżą bagietkę”.

Kobieta odwzajemniła się wysłaniem jeszcze jednego emotikona. Uruchoмиła program pocztowy i zagłębiła się w treść służbowych maili, których do przeczytania miała dobrze ponad setkę.

ROZDZIAŁ 9

Wiktoria Kertyńska wracała do zdrowia. Zgodnie z obietnicami lekarzy miała nazajutrz wyjść ze szpitala. Była na sali zupełnie sama. Dziewczynkę leżącą na łóżku obok gdzieś w nocy zabrali. Ciekawe, czy jeszcze żyła? Może odeszła do krainy ciszy i wiecznego spokoju? Wiktoria zabijała czas, grając na laptopie i słuchając metalowej muzyki. Dwa razy dziennie odwiedzała ją pani psycholog o dziwnym nazwisku przypominającym firmę produkującą zabawki. Ostatecznie, bardziej dla świętego spokoju niż z przekonania, zgodziła się, że zaraz po wyjściu ze szpitala rozpocznie sesję terapeutyczną. Jako niepełnoletnia nie miała wiele do gadania, a decyzję i tak podjęli za nią rodzice.

W drzwiach pokoju Kertyńska dostrzegła nagle jakiś ruch. Ledwie spojrzała, a jej twarz rozpromieniła się.

Widok Nadzieży Konsiel był niczym balsam dla chorej, umęczonej duszy. Starsza kobieta wślizgnęła się do pokoju, zamknęła drzwi i usiadła na łóżku dziewczyny.

Patrzyły sobie przez chwilę w oczy. Wreszcie nie wytrzymały i przytuliły się.

– Tęskniłam – wymamrotała Wiktoria, czując łyzy nabiegające do oczu.

– Państwo nie pozwolili mi się z tobą zobaczyć. Opuścili dopiero, jak ty postawiłaś im warunek.

– Dobrze, że jesteś. Tylko tobie mogę ufać – powiedziała Kertyńska.

– Co słychać? Wszystko dobrze? – zapytała Nadieżda z lekkim ukraińskim akcentem. Puściła dziewczynę i wbiła w nią matczyne spojrzenie. Wiktoria wyglądała jak półtora nieszczęścia, podkrążone oczy, blade lico i zapadnięte policzki budziły u korpulentnej kobiety macierzyńskie instynkty.

– Jest mi smutno i źle. Chciałabym umrzeć – powiedziała dziewczynka, wycierając łyzy płynące po policzkach. Widać było, że dotychczas trzymała fason, dopiero przy Ukraince rozkleiła się, niczym rozgotowane kluski śląskie.

– Nie mów tak. Jesteś jeszcze młoda. Całe życie przed tobą – powiedziała gospośnia, zupełnie nie wierząc we własne słowa. Zdawała sobie sprawę, że młodych ludzi karmi się bredniami, aby nie nadwątlić ich wiary i nadziei w życie. Co można powiedzieć o skomplikowanej ludzkiej naturze, mając naście lat? Dopiero czas, kolejne rozczarowania i negatywne doświadczenia rzeźbią w człowieku charakter. Gdyby młodzieniec, wchodzący w dorosłość, zamieniłby się na chwilę świadomością z dziewięćdziesięciolatkiem, niemal natychmiast popełniłby samobójstwo, dostrzegając, jak wiele bólu i cierpienia należy znieść, aby przeżyć życie. Na szczęście młody nie wie, co spotka go po drodze i to jest dla niego błogosławieństwem. Wchodzi w dorosłość z optymistycznym lub czasem nawet euforycznym nastawieniem. Wyobraża sobie, jak wielkich czynów dokona, jak bardzo usprawni świat. Z upływem lat pogodne nastawienie zmienia się w pragmatyzm, potem w zrezygnowanie i zgorzknienie. Napotyka się ludzką nienawiść, układy, kolesiostwo oraz całą gamę negatywnych emocji i cech. I bardzo rzadko, jakby na potwierdzenie reguły, pojawia się ktoś dobry, czysty i bezinteresowny, będący niczym szklanka wody na pustyni. Potem przyjdzie jeszcze walka z ciałem, ułomnościami, którą trzeba będzie na końcu przegrać. Ostatecznie zostanie tylko duma i śmiech przez łzy.

Ludzka psychika z biegiem lat oswaja się z rozczarowaniami, każde negatywne zjawisko przyjmuje na chłodno, traktując jako naturalną kolej rzeczy. Kłopot jednak w tym, że moment ten następuje stosunkowo późno. Jakby podświadomość cały czas wierzyła, że dobro, to wrodzony stan ludzkiej duszy i za nic nie chciała przyjąć do wiadomości innej możliwości.

Do tego wszystkiego dochodzi nieformalny spisek dorosłych, który ma na celu ochronę młodych ludzi przed złem świata. Wmawia się dzieciom, że życie jest piękne, bo tylko w ten sposób da się pociechy uchronić przed przedwczesnym upadkiem. Co ciekawe, niektórzy młodzi wyrastają dzięki temu na osoby tak mocno wierzące we własne możliwości, że czasem udaje im się coś zmienić, czegoś dokonać. Gdyby na samym początku tej drogi, ktoś nie ściągnął im psychicznego balastu wiedzy z ramion, nie osiągnęliby sukcesu

i nie usprawnili świata. Nieświadomość to bardzo dobra motywacja do działania.

– Życie jest trudne, ale warto je przeżyć, choćby tylko po to, aby zobaczyć, co będzie dalej. Dla tych szczęśliwych chwil, których jeszcze doświadczysz. No i jest jeszcze Stwórca, który ma dla nas plan. Warto żyć dla Boga, idei, pasji – tłumaczyła Nadieżda, zgodnie z niepisanym spiskiem starszego pokolenia. Bo niby co miałyby powiedzieć młodej dziewczynie wstępującej w życie? Współczuję ci tych wszystkich mąk i cierpień, których jeszcze doświadczysz.

– Jaki plan? – zapytała dziewczynka.

– Nie wiem. Nikt nie wie, ale Stwórca na pewno ma jakiś plan.

– Uwielbiam tę twoją naiwność. I trochę ci zazdroszczę, bo dzięki Bogu jest ci dużo łatwiej, niż mnie – powiedziała dziewczyna. – Uwierz mi, że wiem coś o życiu. Jestem młoda, ale nie głupia.

Nadieżda westchnęła. Zdawała sobie sprawę, że wciskanie banałów już Wiktorii nie wystarczy. Należało zagrać na nieco inną nutę, przekazać odrobinę prawdy. Jednak tylko tyle, aby młody umysł zrationalizował sobie otaczającą rzeczywistość i przekonał samego siebie.

– Mam ci powiedzieć prawdę o życiu? – rzuciła Ukrainka.

Wiktoria skinęła głową.

– Dzięki rodzicom i ich pieniądзом będzie ci łatwiej. Nie będziesz musiała znosić upokorzeń. Nawet nie wiesz, do czego może zmusić bieda. Chowa się dumę, godność, a nawet człowieczeństwo, aby w zamian wykarmić siebie i rodzinę. Ty nie zaznasz podobnego uczucia, a uwierz mi, że to naprawdę wiele. Możesz realizować marzenia, zobaczyć świat, ludzi, zdobyć wykształcenie. Wiele osób nie ma takiego luksusu. Doceń to.

– Pieniądze to zło, nie są mi potrzebne – powiedziała dziewczynka.

– Teraz tak mówisz, ale kiedyś wspomnisz moje słowa. Życie jest długie, a do garnka codziennie trzeba coś włożyć. Brzuchowi nie odmówisz. Ludzkie lata to ciągła tułaczka, huśtawka od jednego dołka do drugiego. Będąc na górze, jest cudownie, ale na dole też trzeba jakoś funkcjonować. W najlepszym razie wykonywać po prostu te wszystkie proste czynności, które sprawiają, że

ciało nie umiera. W gorszym wypadku być odpowiedzialnym za dom i rodzinę. Nie powiesz dziecku, że nie masz na zupeł, bo zabrakło ci pieniędzy. Nie wytłumaczysz, że jesteś w kiepskiej formie psychicznej i zamiast iść na plac zabaw, wolałabyś się powiesić. Jak powiedzieć dziecku, że czytając bajkę o dobrej księżniczce i smoku, drżysz w środku o przyszłość. Zastanawiasz się, czy nie przyjdzie ci jutro żebrać na ulicy o jedzenie albo chodzić po śmietnikach. I choć w głębi serca miałabyś ochotę palnąć sobie w łeb, nadal się uśmiechasz i mówisz dziecku, jaki ten świat dookoła jest piękny. To bardzo smutne. Życie jest dużo trudniejsze niż śmierć. Ale ty, Wiktorio, dzięki pieniądzom, będziesz mogła je godnie znieść. Wyjść na końcu z podniesioną głową.

– Co mi z pieniędzy, kiedy ja po prostu nie widzę sensu. Moi znajomi cieszą się bzdurami jak telefony czy gry komputerowe. Mnie to wszystko wydaje się takie nudne i nijakie – tłumaczyła Kertyńska. – Marzę o czymś wielkim, chciałabym czegoś więcej niż tylko zaspokajania bieżących potrzeb.

– Zaufaj mi. – Nadieżda przycisnęła dziewczynę do piersi. – Najważniejsze, abys dała sobie szansę.

– A będziesz przy mnie? – zapytała Wiktorio.

– Będę – odpowiedziała Nadieżda.

ROZDZIAŁ 10

Umiejscowiona na parterze dziesięciopiętrowego biurowca siedziba firmy BudMet robiła pozytywne wrażenie, choć do przepychu było jej daleko. Prześliczna sekretarka o wydatnym biuście przywitała prokuratora Suskiego i Marzenę, po czym skierowała ich wprost do biura prezesa Kortyńskiego. Przeszli obok open space'ów, gdzie niczym w mrowisku pracownicy BudMetu załatwiali setki, jeśli nie tysiące, spraw związanych zakupem ziemi, sprzedażą mieszkań i domów, formalnościami urzędowymi, pozwoleniami i papierologią, o której istnieniu nikt o zdrowym rozsądku nie chciałby nigdy wiedzieć. Podążając za sekretarką, udali się wprost do gabinetu prezesa, który przywitał ich nad wyraz wylewnie. Widać było, że umiejętności społeczne i interpersonalne opanowane miał do perfekcji. Mimika twarzy i gra ciała idealnie ze sobą współgrały. Ubrany w czarny markowy garnitur wyglądał bardzo zamożnie, ale i naturalnie. Niejednej kobiecie na widok takiego mężczyzny zmiękłyby nogi. Jednak nie Marzenie.

– Wie pan, dlaczego tu jesteśmy? – zaczął Suski.

– Nie trudno się domyślić. Ta tragedia wszystkich nas przybiła – twarz Krzysztofa nagle posmutniała. Mężczyzna wyglądał dość dziwnie, mówił wolno i ociężale, jakby nafaszerowany był środkami na uspokojenie.

– Właśnie widzę. Zdążył pan już przyjąć nową asystentkę – rzuciła Marzena, przechadzając się po gabinecie prezesa. Stanęła naprzeciwko dyplomu zaświadczonego, że Kortyński zdobył uprawnienia budowlane o dziwnym numerze, który absolutnie nic Marzenie nie mówił. Ubrana w skąpą spódniczkę mogła bez większego problemu konkurować z długonogą sekretarką. Celowo także rozpuściła włosy.

Krzysztof nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko, zdając sobie sprawę, że policjantka próbuje go sprowokować. W tego typu sytuacjach najlepszą bronią była uprzejmość i szeroki uśmiech.

– Proszę mi opowiedzieć o Jagience Filiańskiej – powiedział prokurator.

Kortyński spojrział na Marzenę stojącą pod dyplomem, potem na Mariana siedzącego przed biurkiem.

– Pracowała u nas zaledwie kilka miesięcy, ale była cennym pracownikiem. Byłem wstrząśnięty, jak tylko dowiedziałem się o jej śmierci. Kto mógł jej to zrobić? Wiecie może coś? – zapytał Kortyński.

– Chciałam pana zapytać dokładnie o to samo – stwierdziła Marzena, odwracając się w stronę prezesa. Wydęła usta, poprawiła włosy i rozejrzała się po gabinecie. Urządzony był skromnie, choć gustownie. Widać w nim było kobiecą rękę. We flakonach stały cięte kwiaty, a na półce obok segregatorów Gibała dostrzegła podstawkę pod kadełko. Jej uwadze nie uszedł również specyficzny zapach sandałowca unoszący się w powietrzu.

– Nie wiem, czy miała jakichś wrogów. Mieszkała ze współlokatorką. Przyjechała do Warszawy z Białegostoku. Skończyła tam budownictwo na Politechnice – wymieniał Kortyński. Jego rozbiegane oczy wskazywały, że musiał przyjąć jakieś środki na uspokojenie. A może brał narkotyki?

Gibała przemierzyła kilka kroków po gabinecie prezesa, podeszła do okna i spojrzała na zatłoczoną ulicę Warszawy.

– Odnoszę wrażenie, że się państwo znali i to całkiem dobrze – rzuciła, patrząc w okno.

Suski o mało nie parsknął śmiechem, widząc, jak Marzena Gibała parodiuje jego zachowanie.

– Dzwoniliście do siebie wielokrotnie w ciągu dnia. Również przy użyciu prywatnego telefonu – powiedziała policjantka, odwracając się do Krzysztofa.

Kortyński odchrząknął, jednak nie dał po sobie poznać, że pytanie go zaskoczyło.

– Obawialiśmy się, że służbowe telefony są na podsłuchu – odpowiedział.

– Kogo się obawialiście? – zapytał Suski, włączając się do rozmowy.

– Piotra Wędzikowskiego z Dabagu – wypalił Kortyński.

Marzena i Marian poczuli się wyraźnie zainteresowani. Czekali w milczeniu na dalsze słowa prezesa.

– Od kilku lat prowadzimy coś w rodzaju utajonej wojny – zaczął Krzysztof. – Nie muszę mówić, że większość firm budowlanych, choć jest dla siebie konkurencją, stara się chronić rynek przed nowymi graczami. Dabag jednak się na nas uwziął. Chcą za wszelką cenę nam zaszkodzić.

– Czy z właścicielem Dabagu, Piotrem Wędzikowskim, ma pan jakieś prywatne porachunki? – zapytał Suski.

– Nie będę ukrywał, że się nie lubimy – powiedział Kortiński krótko.

– Co było powodem niesnasek? – zapytała Marzena. Wyciągnęła z torebki błyszczki i zwilżyła usta, co ewidentnie rozproszyło prezesa Kortińskiego.

– W zamierzczłej przeszłości startowaliśmy kilka razy w przetargach jako konsorcjum firm. Chodziło o spełnienie oczekiwania dotyczącego zasobów i wadium, które to w przypadku dużych projektów jest ogromne. Jedna firma mogłaby mieć problemy z udźwignięciem takiej kwoty – tłumaczył prezes. Założył nogę na nogę i rozsiadł się wygodnie w fotelu, udając rozluźnionego. Co chwilę jednak spoglądał w kierunku Gibały, która pilnowała, aby prezes Kortiński cały czas dobrze ją widział.

– Rozumiem, że nie doszliście do porozumienia? – zapytał Marian.

– Wędzikowski twierdził, że go oszukaliśmy. Podał nas nawet do sądu, jednak wyrok był dla BudMetu niewinniający. Od tamtego czasu mamy z Dabagiem wendettę.

Suski zmarszczył czoło, słysząc ostatnie słowo wypowiedziane przez Kortińskiego.

– Rozumiem. Proszę mówić dalej – zachęcał.

– Nasze zatargi miały spore przełożenie na kondycję obu firm. Nie widzę sensu, aby sobie dopiekać, a w szczególności w biznesie. Piotr jednak czeka na byle okazję, aby się odgryźć. Trwa to już od lat i przyznam, że zatruwa mi życie.

– Czy Wędzikowski mógł zabić Filiańską? – zapytała Marzena.

– To możliwe – przyznał prezes, mrużąc oczy. Starał się odwracać wzrok od opiętej spódnicy Gibały. Jednak nieposłuszne oczy cały czas wracały na z góry upatrzoną pozycję.

– Jaki miałyby powód? Przecież pozbycie się sekretarki nie zaszkodzi firmie budowlanej – zastanawiał się Suski.

– Jego motywacje są nieprzewidywalne – powiedział Kertyński. – Ten człowiek jest chory psychicznie. Zresztą proponuję z nim porozmawiać, sami się państwo przekonają.

– Czy miał pan romans z Jagną Filiańską? – zapytała nieoczekiwanie Marzena.

Prokurator starał się obserwować każdy najmniejszy nawet gest mimiki twarzy Kertyńskiego.

– Nie miałem z nią romansu. Była tylko moją asystentką – odpowiedział stanowczo. Zamknął oczy i nie otwierał ich przez kilkanaście sekund.

– Jak układa się panu związek małżeński? – drążyła Gibała.

Kertyński zdziwił się pytaniem, jednak nie wzbraniał się długo przed odpowiedzią.

– Rozwodzimy się – powiedział prezes, nadal nie otwierając oczu.

– Z jakiego powodu?

– Różnice charakteru.

– Mam wrażenie, że pańska małżonka ma w tej kwestii inne zdanie. Za składanie fałszywych zeznań może pan mieć problemy. Jeśli udowodnimy panu romans z Filiańską, będzie pan pierwszym podejrzanym – powiedziała policjantka.

– Żona też się na mnie uwzięła. Oskarża mnie o romans – przyznał Kertyński. – Nasłała na mnie prawników, prywatnych detektywów. Proszę ją w pierwszej kolejności zapytać, czy nie zabiła Filiańskiej. Jest do tego zdolna – tłumaczył Krzysztof. Coraz trudniej było mu powstrzymać emocje na uwięzi. Pokerowa maska stopniowo zamieniła się w twarz człowieka z problemami.

– Oczywiście, nie omieszkamy zapytać o to pańskiej małżonki – powiedział Suski z dziwnym uśmiechem wymalowanym na twarzy. – A tak przy okazji. Gdzie urzęduje Piotr Wędzikowski? Jemu również chcielibyśmy złożyć wizytę – dodał.

Kortyński otworzył szufladę i szukał w niej czegoś przez chwilę. Znalazł wizytówkę i wręczył ją Suskiemu. Na twarzy prezesa pojawił się dziwny wyraz melancholii. Odprowadził prokuratora i policjantkę do wyjścia, po czym się pożegnał.

– Liczę, że znajdziecie mordercę Jagienki Filiańskiej – powiedział.

Suski Machnął ręką na Gibałę i razem wyszli z biura do samochodu stojącego na parkingu.

Kortyński przetarł rękami po twarzy, próbując uporać się z dokuczliwym bólem głowy i sennością.

ROZDZIAŁ 11

Komisarz Trygar i starszy aspirant Foltyński odwiedzili w domu Lucynę Kortyńską.

Po zaparkowaniu pojazdu udali się w kierunku kutej bramy zdobionej motywami roślinnymi. Okolica była spokojna, pojedyncze domy bogatych mieszkańców Warszawy poprzecinane były niewielkimi uliczkami oświetlanymi przez latarnie. Tymon nacisnął klawisz domofonu.

– Słucham? – usłyszeli głos starszej kobiety.

– Dzień dobry, policja kryminalna do pani Lucyny Kortyńskiej – powiedział Foltyński łagodnym głosem, uśmiechając się do kamery.

– Proszę – usłyszeli.

Po wejściu do środka ujrzeli posesję, jakiej nie powstydziliby się prezydent Ugandy. Trygar stanął naprzeciwko krzewu tui wystrzyżonego w spiralę i przyglądał mu się przez chwilę.

– Może sprzedają już takie – powiedział Foltyński, który przez całe życie mieszkał w bloku i zupełnie nie znał się na ogrodnictwie.

W salonie przywitała ich tęga kobieta. Skłoniła się, po czym, nie wypowiadając ani jednego słowa, wskazała ręką w stronę salonu, z którego prowadziło wyjście na taras. Policjanci rozglądali się, podziwiając gustowny wystrój wnętrza. Kobieta, widząc wahanie funkcjonariuszy, odchrząknęła, po czym poprowadziła ich wprost do ogrodu. Przy basenie na leżaku ujrzeli Lucynę Kortyńską. Sączyła ze szklanki brązowawy płyn. Nieopodal w jaccuzzi odpoczywała szczupła dziewczyna o długich kręconych włosach spływających na ramiona. Ich czerń kontrastowała z bielą skóry, przez co miało się wrażenie dziwnego dysonansu.

Lucyna, widząc policjantów, wskazała na krzesła ogrodowe stojące obok basenu.

- Czego się panowie napiją? – zapytała Kortyńska.
 - Może kawy, jeśli można – stwierdził Trygar.
 - Nadzieja, dwie kawy proszę, i nalej mi jeszcze – poprosiła Lucyna.
- Gospościa oddaliła się w stronę kuchni.

– W czym mogę państwu pomóc? – zapytała kobieta. Podciągnęła oparcie leżaka do pozycji, w której bez przeszkód mogła rozmawiać z funkcjonariuszami. Miała jasną cerę i figurę, jakiej nie powstydziliby się niejedna trzydziestolatka, a na jej nosie tkwiły przeciwsłoneczne okulary. Na stoliku obok stała nieopróżniona jeszcze szklaneczka whisky.

– Przyszliśmy tu w delikatnej sprawie – zaczął Foltiński, który kątem oka obserwował Wiktorię leżącą w jacuzzi. – Czy znała pani Jagienkę Filiańską?

Kobieta wyprostowała się i zmarszczyła czoło.

– Czy to ta wywłoka z pracy od Krzysztofa? – zapytała wreszcie, pociągając łyżek ze szklanki.

– Została zamordowana – powiedział Trygar.

W kącikach ust Lucyny pojawił się delikatny uśmiech.

– To straszne – stwierdziła wreszcie z udawanym smutkiem. Ściągnęła okulary i pokazała oczy. Trygar od razu zauważył, że kobieta nie była trzeźwa. Zbyt wiele razy widział już podobne oczy. Również swoje. – Nie sądzą panowie chyba, że to zrobiłam?

– Miała pani motyw – odrzekł Rafał. – Czy Krzysztof panią zdradzał?

– Od kilku lat na pewno, wcześniej nie wiem. Zresztą, teraz niewiele mnie to obchodzi, wniosłam sprawę rozwodową – tłumaczyła.

Na werandzie pojawiła się gospościa z kawą. Pulchna kobieta ubrana w czarny strój z dostojeństwem i gracją dawnych kelnerów zdejmowała filiżanki z tacy i kładła je na ogrodowym stoliku z wikliny. Wręczyła Kortyńskiej kolejną szklaneczkę whisky. Po obsłużeniu gości udała się w stronę Wiktorii. Stała nad nią i mówiła coś przez chwilę.

– Kto mógł zabić Jagienkę Filiańską? – Trygar upił łyk kawy i rozejrzał się po okolicy. Wszędzie dookoła rozciągał się wysoki żywopłot i mur okalający posesję.

Lucyna dopiła złoty trunek i zamoczyła usta w kawie.

– Mąż ma wielu wrogów. Jednak od kilku lat jego największym utrapieniem jest Piotr Wędzikowski z firmy Dabag. Mają ze sobą prywatne porachunki.

– O co poszło? – zapytał Tymon.

– A o co mogło pójść? O kobietę.

Policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Proszę mówić dalej – zachęcał komisarz.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Nie wiem nawet, co to była za kobieta. Dowiedziałam się przypadkiem, kilka lat temu, kiedy jeszcze spotykaliśmy się z Wędzikowskim.

– Bywał u was? – zapytał Tymon.

– Czasami zapraszaliśmy go na grilla.

– Jaki motyw mógł mieć Wędzikowski, aby zabić Filiańską? – zapytał Foltiński.

– A jaki mógł mieć motyw? Zemsta. Chciał się zrewanżować za to, że mój mąż zabrał Piotrowi kobietę. Zranieni mężczyźni, podobnie jak kobiety, nie zapominają. Zadra zostaje w nas do końca życia. Być może Wędzikowski dowiedział się jakoś o Filiańskiej i zabił ją, żeby Krzysztof poczuł stratę.

Kątem oka Foltiński dostrzegł, że Wiktoria wychodzi z jacuzzi. Była tak chuda, że Tymon aż odwrócił głowę. Nadziezda wręczyła dziewczynie szlafrok i odprowadziła ją do domu.

– Czy córka na coś choruje? – zapytał starszy aspirant.

– Nie. Dlaczego? – poirytowała się Lucyna.

– W sumie to... – zawahał się Tymon – nieważne.

– Nadziezda jest u nas od zawsze, traktuję ją jak członka rodziny. A z Wiktorią mamy problemy wychowawcze. Jeśli ten temat nie jest związany ze śledztwem, to wołałabym o nim nie mówić – stwierdziła kobieta.

Policjanci po wyczerpaniu listy pytań pożegnali się z kobietą i ruszyli w kierunku wyjścia. Zastanawiali się, czy Gibale i Suskiemu udało się czegoś dowiedzieć podczas wizyty u Krzysztofa Kortyńskiego.

ROZDZIAŁ 12

Zanim policjanci wrócili do prokuratury, odwiedzili jeszcze oddział TrofeaBanku, do którego prowadził trop związany z kartą magnetyczną do skrytki bankowej znalezionej w rzeczach Jagny Filiańskiej.

Trygar wylegitymował się policyjną odznaką i zapytał kasjerkę, gdzie może znaleźć dyrektora placówki. Po chwili zjawiała się kobieta koło czterdziestki, ubrana w niebieski żakiet i buty na szerokim obcasie.

– Dzień dobry. Mamy prokuratorski nakaz, aby otworzyć skrytkę bankową, do której prowadzi ta karta magnetyczna – powiedział Trygar, wręczając kobiecie urzędowe pismo i kawałek plastiku.

Zdziwiona dyrektorka zaprosiła policjantów do niewielkiego pomieszczenia na zapleczu. Wczytała się w prokuratorski nakaz, jakby chciała w nim odnaleźć jakieś uchybienia, które pozwoliłyby odesłać funkcjonariuszy z kwitkiem. Potem wykonała telefon i rozmawiała z kimś przez chwilę. Po minucie zrobiła krótką przerwę, aby przesłać dokument od Trygara faksem do centrali. Potem wróciła do rozmowy. Po dziesięciu minutach, kiedy policjanci czuli się już nieco poirytowani, dyrektorka odłożyła słuchawkę i spojrzała podejrzliwie na Trygara. Najwyraźniej brodaty funkcjonariusz nie wzbudził jej zaufania.

– Chcielibyśmy również wiedzieć, kto założył skrytkę – dodał Rafał, mrużąc oczy i próbując wytrzymać napastliwy wzrok kobiety.

Dyrektorka wzięła kartę magnetyczną, którą wręczył jej komisarz i zweryfikowała ją w komputerze.

– Mateusz Biernacki, zamieszkały na warszawskim Wawrze – wymamrotała, kręcąc głową. – Opłacił skrytkę na dziesięć lat z góry.

– Kiedy skrytka została założona? – zapytał Foltyński.

– Pięć lat temu – odpowiedziała. – Przy czym... – zawahała się – to skrytka dwukartowa.

– Co to oznacza? – zapytał Tymon.

– Wydane zostały dwie równoważne karty – tłumaczyła kobieta. – Czasem tak się robi, jeśli właściciel chce wymieniać z kimś jakieś cenne przedmioty. Wystarczy, że wręczy kartę drugiej osobie i poda pin. Nic więcej nie trzeba, aby zobaczyć albo podjąć zawartość skrytki.

– A czy to są karty imienne? Wiadomo, kto je posiada? – zapytał Tymon.

– Nie. Obydwie dostaje założyciel skrytki. To on decyduje, komu da kartę. Tego typu usługa jest u nas ekstraklatna i klienci rzadko z niej korzystają – tłumaczyła dyrektorka.

– A co, jeśli ktoś handluje narkotykami albo bronią przy pomocy skrytki bankowej? – zapytał Trygar.

– W regulaminie zapisane jest, że klient nie może przechowywać w skrytce materiałów niebezpiecznych, jak broń czy właśnie narkotyki, oraz produktów, które mogą się popsuć, jak żywność.

– I co? Klienci się stosują? – zapytał Tymon.

– Zazwyczaj tak. Nie możemy jednak sprawdzać, co jest w skrytkach. Klient ma zagwarantowaną intymność i anonimowość. Nawet zawartość skrytki przegląda się w specjalnym pokoju bez kamer.

– Proszę nam wydrukować adres tego Biernackiego – poprosił Foltyński.

Trygar mruknął, gładząc się po brodzie.

Kobieta wykonała polecenie policjanta. Wręczyła wydruk Tymonowi i wskazała ręką na drzwi.

– Proszę tędy. Pokażę państwu skrytkę.

Cała trójka udała się do specjalnego pomieszczenia w piwnicy, gdzie znajdowały się sejfy bankowe. Przed wejściem stał strażnik, który wylegitymował zarówno policjantów, jak i szefową oddziału TrofeaBanku.

– Aby otworzyć sejf, należy użyć dwóch kart magnetycznych. Jedną posiada pracownik banku, drugą klient. Dodatkowo należy wprowadzić pin, którego rozumiem, panowie nie posiadają – tłumaczyła kobieta.

– Ale rozumiem, że pani go posiada – stwierdził Trygar.

– Nie, ale mam możliwość, aby go zresetować i wygenerować nowy pin, co zresztą już uczyniłam.

Kobieta wprowadziła kod na klawiaturze znajdującej się obok szafki, po czym odwróciła się w stronę policjantów.

– Pracownicy banku, zgodnie z regulaminem, nie mogą oglądać zawartości skrytek bankowych.

– Niech pani zostanie – powiedział Foltyński.

Trygar założył rękawiczki i otworzył drzwiczki do sejfu. Sięgnął do wnętrza i wyciągnął jedyny przedmiot, który się w niej znajdował – białą kopertę. W środku odnalazł spory plik banknotów.

– To wszystko? – zapytał rozczarowany Tymon.

– Najwyraźniej – odpowiedział Rafał, wkładając kopertę do plastikowej torby.

Dwójka policjantów zastanawiała się przez chwilę, co powinni zrobić. Pierwszy odezwał się Tymon.

– Idziemy do tego Biernackiego?

Rafał tylko wzruszył ramionami, po czym zgodził się na propozycję Foltyńskiego. Policjanci podziękowali dyrektorce TrofeaBanku za współpracę, po czym udali się pod wskazany przez nią adres.

Osiedle na warszawskim Wawrze straszło wyglądem. Czteropiętrowe bloki z odrapanymi ścianami i odpadającą elewacją pamiętały zapewne czasy Edwarda Gierka a może nawet Władysława Gomułki. Zamiast matek z dziećmi i kolorowych placów zabaw na ławkach siedzieli dresiarze albo menele opróżniający podłe trunki, które owinięte były w plastikowe torby.

Trygar z Foltyńskim postanowili zastosować mały fortel. Weszli do klatki wraz z przypadkowym mieszkańcem, po czym ruszyli schodami pod wskazany przez dyrektorkę TrofeaBanku adres.

Rafał stanął przed drzwiami i zastanawiał się, co zrobić. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Tymon zapukał do drzwi.

– Kto tam? – usłyszeli w odpowiedzi szorstki męski głos.

– Weryfikacja przewodów wentylacyjnych. – Tymon podszedł do judasza na tyle blisko, że w zasadzie widać było tylko nos i oczy.

W szparze po uchylonych drzwiach pojawił się chudzielec w starych majtkach i naciągniętej koszulce. Mężczyzna, widząc dwójkę policjantów, zareagował natychmiast, próbując zamknąć skrzydło. Foltiński wsadził buta w otwór między drzwiami. Trygar wyciągnął służbowego glocka i stanął szeroko na nogach, ubezpieczając Foltińskiego. Tymon szarpnął za klamkę i wejście stało się otworem.

Starszy aspirant również wyciągnął broń i ruszył w pogoń za uciekającym.

– Nie daj mu zwiąć – krzyknął Trygar i pobiegł za Foltińskim.

Wnętrze mieszkania było zapuszczone, śmierzdziało brudem i potem. Na podłodze walały się puszki po piwie, pety i butelki po wódce. W pewnym momencie funkcjonariusze usłyszeli trzask zamykających się drzwi. Foltiński i Trygar od razu ruszyli w tym kierunku. Próby otworzenia łazienki spełzyły jednak na niczym, ponieważ mężczyzna zdążył zamknąć się od środka.

– Jeśli pozbywasz się narkotyków albo jakiegoś innego towaru, to nie musisz tego robić. Przyszliśmy zapytać o zupełnie inną sprawę – rzucił Foltiński, dochodząc do wniosku, że zdanie, które przed chwilą wypowiedział, w zasadzie nigdy nie powinno paść z ust policjanta.

Zgodnie z oczekiwaniem nie usłyszeli żadnej odpowiedzi. Z wnętrza łazienki dochodziły tylko odgłosy kroków, szeleścił plastikowy worek, spadały na ziemię jakieś przedmioty.

Trygar wymienił z Tymonem porozumiewawcze spojrzenia, a następnie wymierzył kopniaka, który otworzył drzwi.

– Policja, nie ruszaj się.

We wnętrzu zastali mężczyznę z plastikowym workiem w dłoni. Widać było, że zamierza wrzucić zawartość do ubikacji. Widząc funkcjonariuszy z bronią, ostatecznie skapitulował. Uniósł ręce nad głowę i dał się Foltińskiemu skuć.

Policjanci uprzątnęli nieco salon, postawili krzesło pośrodku i posadzili na nim mężczyznę.

– A teraz odpowiesz na moje pytania – zaczął Trygar, nie odkładając glocka do kabury. – Nazywasz się Mateusz Biernacki?

– Tak – skinął mężczyzna.

– Handlujesz prochami – ciągnął Trygar.

Mateusz tylko wzruszył ramionami. Tymon uniósł do góry plastikowy worek odebrany mężczyźnie, próbując ocenić jego zawartość.

– Amfetamina, extazy, chyba nawet gandzia – wymieniał Tymon. – Jesteś już na świeczniku i nadal popełniasz kardynalne błędy. Otwierać policji, kiedy w łazience ma się tyle prochów. Albo jesteś bardzo pewny siebie, albo bardzo głupi.

– Raczej to drugie – dodał Trygar. – Za handel narkotykami możesz dostać do dziesięciu lat. Mamy znajomego prokuratora, który postara się o maksymalny wyrok dla ciebie. Jeśli go ładnie poprosimy, na pewno zrobi to dla nas. Nie będziemy ci żałować, w końcu zasłużyłeś na najwyższą nagrodę.

– To na własne potrzeby – tłumaczył Biernacki.

– Jeśli nawet nie udowodnimy ci handlu substancjami psychotropowymi, za posiadanie takiej ilości narkotyków dostaniesz osiem lat. Jeśli wolisz tak, to nie ma sprawy – przekomarzał się Foltiński.

Mateusz westchnął.

– A jeśli odpowiem na wasze pytania? – zapytał.

– To może znacznie poprawić nasze samopoczucie – stwierdził Rafał.

– Darujecie mi? – zapytał Mateusz.

– Może – mruknął Tymon.

– Pięć lat temu założyłeś skrytkę bankową w oddziale TrofeaBanku na ulicy Moniuszki – zaczął Trygar.

Na wychudzonej twarzy mężczyzny pojawiło się zdziwienie. Miał nie więcej niż czterdzieści lat, gęste brwi i ciemnobrązowe kręcone włosy, które spływały mu na oczy. Widać było, że nie mył się chyba od kilku dni, bo śmierdziało od niego rzygowinami i moczem. Po śladach na przegubach łokciowych można było poznać, że etap łykania tabletek extazy i palenia

marihuany ma już dawno za sobą. Musiał używać towaru dużo cięższego kalibru i to od dawna.

– Coś sobie przypominam – wymamrotał. – Chodziłem wtedy na dworzec centralny za robotą najemną. Kiepsko było z kasą – tłumaczył.

– Potem zająłeś się dilerką i ci się poprawiło? – zapytał Foltyński.

– Podjechał jakiś kolo w czarnym samochodzie i dał mi zlecenie.

– Zlecenie? – zapytał Trygar. Dopiero teraz schował glocka do kabury, jednak cały czas zachowywał czujność.

– Zaprosił mnie do środka samochodu i dał kasę za założenie skrytki w banku. Miałem opłacić ją na dziesięć lat z góry.

– I to wszystko? – zapytał Trygar.

– Tak. Płacił za tę usługę pięć stów. W tamtym czasie to był dla mnie majątek.

– Ty miałeś mu tylko sprzedać swoje dane osobowe.

– No... jakoś tak – przytaknął Biernacki.

– Dlaczego ten człowiek nie chciał założyć skrzynki na siebie? – zapytał komisarz.

– Nie wiem – odpowiedział Mateusz.

– Nie obawiałeś się, że przy pomocy sejfu będzie załatwiał jakieś szwindle? – dopytywał Foltyński.

– Wtedy nawet o tym nie myślałem. Byłem na głodzie. Za działkę mógłbym sprzedać własną matkę. Potem, wraz z upływem czasu, zapomniałem o tym.

– Dopiero myśmy ci przypomnieli – stwierdził Tymon.

– Zapamiętałeś coś istotnego? Kim był ten facet w samochodzie, który dał ci zlecenie? – dopytywał Trygar.

Biernacki wahał się przez chwilę.

– Czy ten facet zrobił coś złego? Wykorzystał skrzynkę założoną na moje nazwisko do jakiegoś przekrętu?

– Można tak powiedzieć. Co gorsze, ten sejf bankowy obciąża twoje konto – tłumaczył starszy aspirant.

– Czy jeśli wam pomogę, to mnie wypuscicie? – zapytał Biernacki, chcąc się upewnić.

– I obiecasz, że nie będziesz już dilował? – zapytał Trygar, robiąc minę, jakby stał nad łóżeczkiem oseska i próbował go uspokoić.

– Obiecuję, że skończę z dilerką – powiedział Mateusz.

– Właśnie przyznałeś się, że handlujesz – dodał Tymon. – Oj niedobrze, pogrążasz się.

– Pamiętam brodatego faceta w garniturze, był tam też kierowca.

– Czy mógłbyś go opisać? – rzucił Rafał.

– Miał taki haczykowaty nos – mężczyzna odkurzał zakamarki pamięci, próbując przypomnieć sobie coś istotnego.

– Czy zauważyłeś może gdzieś nazwę firmy? Może był w samochodzie jakiś długopis firmowy albo leżały wizytówki? – dopytywał Trygar.

– O ile kojarzę, ten facet reprezentował jakąś firmę budowlaną. Czasami brał chłopaków na budowę, jak brakowało mu rąk do pracy.

– BudMet? – zapytał Trygar.

– Nie. Ta nazwa była jakaś inna – tłumaczył Mateusz.

– Dabag – wymieniał Tymon.

– O, to było coś takiego – dopowiedział Biernacki.

W tym momencie do mieszkania ktoś zapukał. Foltiński podszedł do drzwi i spojrzał w judasza. Otworzył i wpuścił do środka dwóch mundurowych.

– Aresztujcie tę świnię. Ma tu tyle prochów, że pół Warszawy można byłoby wykarmić.

Policjanci dali się Mateuszowi ubrać, po czym odprowadzili go do pojazdu stojącego pod blokiem.

– Obiecaliście – rzucił Biernacki na odchodne.

– Żartowaliśmy – odpowiedział Foltiński, uśmiechając się.

ROZDZIAŁ 13

Wysoki dobrze zbudowany chłopak siedział w ciasnej ziemiance, w której ledwie był w stanie się obrócić. Kilka otworów wywierconych w stalowym wieku przepuszczało tylko tyle powietrza, aby się nie udusić. Wszędzie dookoła panowała ciemność.

Chciało mu się pić i spać, jednak przede wszystkim wypełniała go nienawiść. Do świata, ojca i marnego żywota, który musiał znosić. Próba przypomnienia sobie, z jakiego powodu trafił do ciasnego dołu, na niewiele się zdała. Nie pamiętał niczego, oprócz faktu, że to ojciec tak go karał, od wielu zresztą lat. A wszystkiemu winna była choroba.

Nagle w głowie pojawiły się słowa.

„Takoż i ty cały; nie masz żadnego prawa poza czynieniem swej woli. Czyń tak, a nikt nie powie nie. Albowiem czysta woła, nieukojoną celem, wolna od żądzy wyniku, jest na każdy sposób doskonała”.

Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je usłyszał.

Nagle dobiegły go jakieś odgłosy, jakby skrzypienie drzwi. Ktoś się przez chwilę krzątał, wreszcie po kilkunastu sekundach otworzył klapę.

– Wyłaż – rzucił barczysty mężczyzna w białym podkoszulku. Jego ramię zdobił tatuaż z orłem. Doskonale wystrzyżona kozia bródka dziwnie kontrastowała z głęboko osadzonymi oczyma. Chłopak z trudem wydostał się z dołu i ruszył wąskim korytarzem wykopanym w ziemi w stronę światła. Po chwili weszli do pomieszczenia, które przypominało stajnię albo zagrodę. Chłopak stanął na baczność. Na twarzy mężczyzny odmalował się szelmowski uśmiech triumfu.

– Tyle razy ci powtarzałem, że przetrwa tylko najsilniejszy. Nie ma czasu na sentymenty. Rozklejasz się, robisz zbyt miękkki. Wojna nie znosi słabych.

– Tak jest! – odpowiedział chłopak, salutując.

– A teraz idź poćwiczyć. Potem nakarm Kunegundę i obierz ziemniaki na obiad – rozkazał mężczyzna.

Chłopak spuścił głowę i odmaszerował w stronę wyjścia.

ROZDZIAŁ 14

Marzena Gibała, inaczej niż zwykle, ubrała się nad wyraz skromnie. Jej niebieska sukienka wyjątkowo sięgała niemal do kostek. Zarówno policjanci, jak i prokurator wiedzieli, że może to oznaczać tylko jedno. Dziewczyna miała zły humor i w związku z tym będzie opryskliwa i nieuprzejma.

– Ustalmy, co mamy – zaczął Suski. Tym razem inaczej niż zwykle usiadł w fotelu i wpatrywał się w akwarium, które komendant kazał zamontować, aby pomóc policjantom rozładować stres.

– Sprawdziliśmy wątek związany z kartą magnetyczną. Prowadziła do skrytki bankowej, w której znaleźliśmy kopertę ze sporą sumką pieniędzy. Jak dla mnie, znacznie istotniejszy jednak jest fakt, że do sejfu wydano dwie bezimienne karty magnetyczne. Jedną miała Filiańska – zaczął Foltłyński.

– A kto miał drugą? – zapytał Suski.

– Tego nie wiadomo, bo jak powiedziałem, karty zostały wystawiane na założyciela skrytki.

– A na kogo założono sejf? – zapytał Marian.

– Na Mateusza Biernackiego – zaczął Foltłyński. – To drobny diler narkotykowy, który od dawna figurował w naszych aktach.

– Co diler miał wspólnego z Filiańską? – zdziwiła się Marzena, krzyżując ręce na piersi.

– Daj dokończyć – zgnił ją komisarz. – Poszliśmy po nitce i zgadnij, co znaleźliśmy przy kłębku?

– Kortyńskiego? – zapytała Marzena.

– Nieee. Biernacki dostał zlecenie od właściciela Dabagu, Piotra Wędzikowskiego.

Suski siedział zgarbiony, zastanawiając się nad słowami Rafała.

– Pomyślmy. Wędzikowski dał Filiańskiej kartę magnetyczną do skrytki bankowej, w której umieścił dla niej pieniądze. Może chciał tę dziewczynę po prostu kupić albo wynająć? – zastanawiał się prokurator.

– Wędzikowski chciał zaszkodzić Kortyńskiemu. Może poprosił Filiańską, aby go szpiegowała? – zapytała Marzena.

– Niewykluczone – podsumował Marian. – Wędzikowski dowiedział się, że Jagienka ma romans z Kortyńskim i postanowił skorzystać z sytuacji. Złożył jej propozycję, zostawiając pieniądze w skrytce bankowej. Filiańska zginęła, zanim zdążyła podjąć pieniądze – zastanawiał się Marian.

– To, kto zabił? Kortyński czy Wędzikowski? – dopytywał Foltyński.

– Podczas naszej wizyty u Kortyńskiego jego zachowanie było dość podejrzane. Wyglądało tak, jakby mocno przeżył śmierć kochanki – tłumaczyła Marzena. Wyciągnęła z torebki krem nawilżający i wtarła w ręce.

– Kortyński zaprzeczył, że miał z Filiańską romans. Jego żona natomiast twierdzi coś zupełnie przeciwnego – dodał Marian. – Na plan pierwszy wyłania się osoba Piotra Wędzikowskiego – prokurator zrobił krótką pauzę, po czym kontynuował wypowiedź. – Czy zabicie człowieka, aby dopiec wrogowi, jest wystarczającym motywem zbrodni?

– A jak ślady daktyloskopijne? Czy na tej kopercie w skrytce w TrofeaBanku nie było żadnych mikrośladów, może odciski palców na pieniądzach? – dopytywał Suski. Nie wytrzymał, wstał z fotela i ruszył żwawym krokiem wzdłuż sali konferencyjnej.

– Koperta była czysta, a banknoty to używki – odpowiedział Foltyński.

– Istotny moim zdaniem jest fakt, o którym dowiedzieliśmy się od żony Kortyńskiego, Lucyny – zaczął Trygar. – Wędzikowski i Kortyński pokłócili się o kobietę. Może warto byłoby podjąć ten wątek? Może ta kobieta nadal odgrywa w ich życiu jakąś rolę?

– Tego typu konflikty zawsze są najgorsze. Zawiść i chęć zemsty pozostaje w człowieku na długo – podsumowała Marzena, która w samczym towarzystwie odgrywała rolę eksperta od uczuć. Zmarszczyła brwi, pokazując swoje niezadowolenie. Ewidentnie dawała wszystkim do zrozumienia, że jest zdenerwowana i należy trzymać się od niej z daleka.

- Czyli trop znowu prowadzi do Wędzikowskiego – zauważył Trygar.
- W takim razie trzeba złożyć temu panu wizytę – zawyrokował Suski.

ROZDZIAŁ 15

Lucyna Kortyńska mimo późnej godziny siedziała w biurze. Czerwona tarcza słońca chowała się za horyzont, kiedy kobieta zamknęła służbowego laptopa i ruszyła w stronę drzwi. Nawet najbardziej gorliwi pracownicy opuścili już swoje stanowiska i udali się na zasłużony odpoczynek. W drodze do windy pani dyrektor spotkała sprzątaczkę. Zmierzyła kobiecie pretensjonalnym spojrzeniem i rzuciła:

– W moim biurze jest brudno. Proszę się bardziej postarać, bo w przeciwnym wypadku...

– Dobrze, proszę pani – odpowiedziała sprzątaczką, nie dając Lucynie dokończyć zdania.

Kortyńska przywołała windę i zjechała na podziemny parking. Wyjechała samochodem na ulicę i ruszyła w stronę Żoliborza. Na szczęście do tej pory największe korki zdążyły się już rozładować. Włączyła w odtwarzaczu operę *Traviata* Giuseppe Verdiego i zagłębiła się w dźwięki muzyki, próbując wprowadzić się w romantyczny nastrój. Po kilkunastu minutach zobaczyła znak „Legionowo”. Skręciła samochód w boczną uliczkę i ruszyła w stronę niewielkiego hoteliku majaczącego pomiędzy drzewami. Zaparkowała pojazd na miejscu dla VIP-ów i ruszyła do wejścia. Przywitała się z recepcjonistą i odebrała klucz do pokoju, a następnie udała się po schodach na drugie piętro wprost do apartamentu małżeńskiego. Weszła do środka i uśmiechnęła się, rozpoznając znajome wnętrze, z którym wiązała tak wiele miłych wspomnień. Rozebrała się i weszła do łazienki, z myślą o odświeżeniu się po całym dniu pracy. Ledwie skończyła brać prysznic, usłyszała pukanie do drzwi. Był to umówiony wcześniej sygnał, na którego dźwięk na twarzy kobiety zawitał uśmiech. Poczwała przyjemne ukłucie podniecenia rozplývające się w okolicach podbrzusza.

Założyła szlafrok i otworzyła drzwi. W progu ujrzała wysokiego bruneta z delikatnym zarostem zdobiącym twarz. Ubrany był w czarny markowy garnitur i czerwony krawat w paski. Ciemne oczy świdrowały kobietę, pobudzając żądze i podkreślając erotyczne napięcie. Mężczyzna wszedł do środka, stanął obok Lucyny i rozchylił szlafrok. Woń jego perfum sprawiła, że zakręciło jej się w głowie, niczym po kieliszku mocnego wina. Rozwarła delikatnie usta w oczekiwaniu na pocałunek. Mężczyzna wpił się w nią namiętnie. Waldemar Komar był od niej dużo młodszy, ale takich właśnie mężczyzn lubiła. Staruch oprócz pieniędzy, prestiżu i zmarszczek, nie miał jej nic do zaoferowania.

Młodszy facet był pełen wigoru, namiętności i przede wszystkim mógł jej dać nieujarzmiony i nieskrępowany niczym seks, o którym marzyła od dawna. Krzysztof Kortynski robił to mechanicznie, a w ostatnim czasie w ogóle. Waldek natomiast był prawdziwym fachowcem. Znał arkana masażu tantrycznego i doskonale orientował się w ciele Lucyny. Drugim aspektem, który tak bardzo kobietę podniecał, był efekt nowości. Jeśli człowiek choć raz w życiu zazna czegoś lepszego, trudno jest wrócić do starych przyzwyczajień. To jakby zamienić dopiero co kupione wygodne buty na stare schodzone meszty.

W tego typu sytuacjach wierność małżeńska zawsze wystawiona jest na ciężką próbę. A nie ma co ukrywać, że to właśnie seks i intymność są tymi elementami, które spajają mężczyznę i kobietę najbardziej. Gdyby wyeliminować tę sferę z ludzkiego życia, statystyki rozwodów byłyby zatrważające. Pytanie, czy w ogóle ktokolwiek by się zenił?

Lucyna odpływała, poddając się pieszczotom Waldka. Przyszłość jawiła jej się jako pasmo nieustającego szczęścia. Nareszcie będzie mogła pozbyć się balastu w postaci męża i córki. W pewnym momencie naszły ją wyrzuty sumienia.

„Czy myśli związane z pozbyciem się rodziny sprawiają, że jest wyrodną matką i żoną? Przecież mąż ją zdradza, a zresztą nigdy go nie kochała. Choć może kiedyś, na początku?”

Lucyna nie wiedziała dlaczego, ale również z Wiktorią nie czuła żadnej więzi. Jeśli ktoś dałby jej do wyboru spotkanie z kochankiem albo własnym dzieckiem, bez wahania wybrałaby mężczyznę i seks. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego przebywanie z córką nie sprawia jej przyjemności. Odczuwała niechęć za każdym razem, kiedy miała się do Wiktorii tylko zbliżyć. A ostatnimi czasy zawsze kończyło się to niechcianymi spojrzeciami i kłótnią. Z drugiej jednak strony Kortyńska na swój sposób kochała swoje dziecko.

Na szczęście za niecałe dwa lata Wiktoria kończyła osiemnaście lat. Jeśli tylko pojawi się jakiś wartościowy mężczyzna na horyzoncie, Lucyna nie będzie miała żadnych oporów, aby wydać córkę za mąż. O pieniądze nie będą się musieli martwić. Kortyńska uposaży ich odpowiednio, aby oboje mogli prowadzić godne życie.

Lucyna pragnęła zacząć wszystko od początku jako wyzwolona kobieta. Przysięgła sobie, że już nigdy nie da się zniewolić małżeństwem. A za pieniądze Krzysztofa będzie mogła przejść na wcześniejszą emeryturę i zająć się czerpaniem z życia tego, co najlepsze.

Przecież była jeszcze taka młoda.

ROZDZIAŁ 16

Suski, Gibała i Foltyński postanowili złożyć wizytę Piotrowi Wędzikowskiemu. Rafał Trygar, na własne zresztą życzenie, został na komisariacie. Tymon doskonale zdawał sobie sprawę, dlaczego komisarza z nimi nie było.

– Rafał nie chciał pójść z nami? – zapytał Suski, kiedy dojeżdżali do osiedla domków jednorodzinnych Jazdów mieszczących się na tyłach Parku Ujazdowskiego.

– Mówił, że chce sprawdzić jeden trop. Poza tym stwierdził, że jeśli do Wędzikowskiego zwali się tłum policjantów, to na pewno niczego się nie dowiemy.

– Może i racja – przyznał Marian.

Dom Wędzikowskiego był skromny, choć gustowny. Trójspadowy dach, dwustanowiskowy garaż, wykończenie w drewnianej elewacji i ogromny taras z ogrodem zaplanowanym w najdrobniejszych szczegółach robiły wrażenie.

Gospodarz przywitał prokuratora i policjantów w salonie. Żona wraz z dwójką nastoletnich dzieci krzątała się po kuchni, przygotowując wspólnie posiłek.

– Co panów sprowadza? – zapytał Wędzikowski.

Suski usiadł na skórzanej kanapie w salonie i spojrzął na ogromny telewizor oraz kino domowe, zastanawiając się, czy sklepy RTV mają już podobne w swojej ofercie.

– Słyszał pan o śmierci Jagny Filiańskiej, asystentki Krzysztofa Kortyńskiego? – zapytał Tymon, przechadzając się po salonie w poszukiwaniu szczegółów, które pomogłyby mu ustalić profil psychologiczny właściciela. Każdy drobiazg mógł mieć znaczenie.

Marzena stanęła na środku salonu, wyciągnęła z torebki pilnik i rozpoczęła szlifowanie pazurków, jakby chciała w ten sposób pokazać, co zrobi Wędzikowskiemu, jeśli ten nie będzie współpracował. Gdyby Suski nie znał policjantki, pomyślałby zapewne, że ta pusta lafirynda ma pstro w głowie. Dla niej była to jednak pierwszorzędna metoda dochodzeniowa. Zazwyczaj piekielnie skuteczna.

– Tak. Doszły mnie słuchy o jej śmierci – odpowiedział oschle Piotr, nie za bardzo wiedząc, na kogo powinien patrzeć.

– Wiemy, że nie darzy pan Kortyńskiego sympatią – rzucił prokurator.

Wędzikowski zachnął się, powstrzymując wybuch śmiechu. Założył nogę na nogę i spojrzał na Marzenę lisim wzrokiem. Po błysku w źrenicach widać było, że policjantka wpadła mu w oko. Zawsze lubił długonogie brunetki. A władczy charakter związany z pracą w policji dodatkowo działał na wyobraźnię.

– Będę z państwem szczerzy – zaczął Wędzikowski nieoczekiwanie. – Nienawidzę Kortyńskiego. To babiarz i dziwkarz, żadnej nie przepuści. Z tymi swoimi ślicznymi ślepkami, każdej zawróci w głowie.

– Słyszałem, że zwadziliście się o kobietę – zaczął Tymon.

– Dobrze panowie słyszeli.

– Zapytam wprost – Suski wyprostował się i spojrzał na Wędzikowskiego. – Czy miał pan coś wspólnego ze śmiercią Filiańskiej?

Mężczyzna wyczuł, że prokurator celowo zadał otwarte pytanie. Najwyraźniej miał coś w zanadru, co sprawiało, że czuł się bardzo pewnie, stawiając niemal jawne oskarżenie.

– Odpowiem wprost. – Piotr wytrzymał spojrzenie prokuratora. – Nie miałem z jej zabójstwem nic wspólnego. Jeśli mają mi państwo coś do zarzucenia, to proszę powiedzieć to bez tego niepotrzebnego wstępu.

– Dobrze – odpowiedział Suski. – Pięć lat temu wynajął pan Mateusza Biernackiego, aby założył sejf w jednym z oddziałów TrofeaBanku.

Wędzikowski zmarszczył czoło zdziwiony, jednak nie odezwał się ani słowem.

– W sejfie były pieniądze a karta magnetyczna do skrytki jakimś dziwnym trafem została odnaleziona u Jagny Filiańskiej w mieszkaniu.

Piotr odchrząknął.

– Nie mam nic do ukrycia. Po tym, jak dowiedziałem się, że Filiańska pracuje w BudMecie, zaproponowałem jej pieniądze w zamian za dzieła autorskie. O ile wiem, nie jest to jeszcze przestępstwo. Zresztą, możecie zapytać innych pracowników BudMetu, którym płacę za ich dzieła.

– A jakiego to rodzaju dzieła? – zapytał Folyński, przechadzając się wzdłuż regału z książkami.

– Różne rzeczy, wiersze, opowiadania albo monodramy – powiedział Wędzikowski, uśmiechając się.

– A na jakiej podstawie pan im płaci? – wtrąciła się Marzena.

– Podpisuję z nimi umowę o dzieło autorskie – wypalił Piotr.

– I co się w tych utworach znajduje?

– Już mówiłem, wysokiej jakości sztuka.

– Moglibyśmy obejrzeć jedno takie opowiadanie? – zapytał Folyński.

– Niestety nie, to moja własność.

Suski poczuł się zbity z tropu. Takiej odpowiedzi zupełnie się nie spodziewał. Ten mężczyzna tak bardzo nienawidził Kortyńskiego, że skłonny był nawet zbankrutować, aby doprowadzić swojego największego wroga do ruiny.

– Czy przychodzi panu do głowy ktoś, kto mógłby chcieć śmierci Jagny Filiańskiej? – zapytała Gibała bardziej, aby przerwać krępującą ciszę, niż aby się czegokolwiek dowiedzieć.

– A kto najbardziej mógłby chcieć śmierci kochanki męża? – odpowiedział pytaniem Piotr.

W pewnym momencie Folyński wykonał gwałtowny zwrot, odwracając się tyłem do regałów z książkami. Po rysach jego twarzy widać było, że coś odkrył. Trawił przez chwilę własne myśli, wreszcie na powrót odwrócił się do regału z książkami i wyciągnął kilka egzemplarzy komiksu *V jak Vendetta*.

– Co to jest? – zapytał, unosząc je w górę.

– Komiksy – zdziwił się Wędzikowski. – Od zawsze je lubiłem, a ten to klasyka, kupiłem go za sporą kasę od antykwariusza.

– Rozumiem – odpowiedział Foltyński, chowając komiksy na półkę.

Prokurator i policjanci pożegnali się z Wędzikowskim i ruszyli w stronę samochodu.

– I co o tym sądzicie? – zapytał Suski.

– Cholera wie. Ta sprawa robi się coraz bardziej zagmatwana – stwierdził Tymon.

ROZDZIAŁ 17

Wiktoria Kortyńska siedziała w fotelu i patrzyła beznamiętnie na Alicję Matel.

Pani psycholog, wyczuwając pacjenta, na którym można trochę zarobić, natychmiast zaproponowała prywatne sesje terapeutyczne. Pensja szpitalnej psycholog wystarczała ledwie na waciki.

– Wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Przyszedł tu tylko dlatego, że musiałś – zaczęła Matel. Z doświadczenia wiedziała, że szczerłość w rozmowach z nieletnimi okazywała się najskuteczniejszą metodą.

– Jeszcze trochę ponad rok i nie będę musiała nikogo o nic pytać. Będę pełnoletnia – odpowiedziała Wiktoria. Podkurczyła nogi w fotelu i zwinęła się w kłębek niczym przestraszony szczeniak.

Ściany gabinetu pomalowane zostały na kolor niebieski, co miało zapewne pomagać rozluźnić się przebywającym tu pacjentom.

– Daj mi szansę. Wiem, że mogę ci pomóc. Musisz się jednak otworzyć i powiedzieć, co cię gryzie. Wierz mi, że wiele osób w twoim wieku przeżywa załamanie. To normalna rzecz, kiedy dziecięca psychika wkracza w dorosłość. Ta konfrontacja niemal zawsze jest trudnym doświadczeniem w życiu każdego człowieka. Wierz mi, ja też przez to przechodziłam – tłumaczyła Alicja.

– Co pani może o mnie wiedzieć? – dziewczyna skrzyżowała ręce na piersi, przyjmując postawę zamkniętą.

– To może spróbujmy na początek zabawić się w grę – zaczęła Matel.

Wiktoria milczała przez chwilę, zastanawiając się, jaką znowu psychologiczną pułapkę przygotowała dla niej Alicja.

– Ja będę ci zadawać pytania natury ogólnej, a ty będziesz na nie odpowiadać, tak lub nie. Może tak być?

– A zaliczy mi pani przebieg sesji terapeutycznej i nie będziemy się musieli więcej spotykać? – zapytała dziewczynka.

– To ja zadecyduję, kiedy sesja się zakończy. Kilka spotkań na pewno musimy odbyć. Postarajmy się przynajmniej, aby były to miłe spotkania. Zagrasz ze mną? Jeśli chcesz, możesz tylko kiwać głową.

Wiktoria skinęła na zgodę.

– Wiesz, czym się różni psycholog o psychoterapeuty? – zaczęła Matel. Na twarzy Wiktorii pojawiło się zainteresowanie.

Matel w kilku krótkich zdaniach wyjaśniła dziewczynie różnice, następnie przeszła do kolejnego pytania.

– Czy podeszłabyś do człowieka leżącego na ławce w parku? – zapytała Alicja.

Wiktoria pokręciła głową przecząco.

– Czy boisz się ludzi?

Dziewczynka potwierdziła.

– A gdyby na tej ławce leżała twoja mama? Czy podeszłabyś, aby jej pomóc?

Dziewczyna zaprzeczyła.

– A tato?

Kolejne zaprzeczenie.

– Czy rodzice zrobili ci w życiu coś złego? – zapytała Alicja, ciesząc się, że udało się z Wiktorią Kortyńską nawiązać współpracę.

– Tak – odpowiedziała.

Matel zapisała coś w notesie, po czym zwróciła się w stronę dziewczynki.

– Czy chcesz o tym porozmawiać?

Wiktoria zwlekała przez chwilę, zanim z jej ust padła odpowiedź. Na kamiennej dotychczas twarzy dziewczynki dało się dostrzec oznaki zdenerwowania.

– Tak.

– Czy opowiesz mi o tym, czy wolałabyś dalej grę? – zapytała Matel.

– Chyba wolałabym grać dalej.

– Czy te złe rzeczy są związane z mamą?

– Nie.

- Tata?
- Tak.
- Czy tata cię bił?
- Nie.
- Dotykał?

W tym momencie Wiktoria nie wytrzymała. Wstała z fotela i rzuciła się w stronę drzwi. Matel poderwała się i ruszyła za pacjentką. W głowie zakiełkowała myśl, która nie dawała spokoju. Czy dziewczynka mogła być molestowana przez własnego ojca? Tego typu sprawy należało zgłaszać do prokuratury, nawet jeśli okazałyby się tylko fałszywym alarmem. Wyszła na korytarz i zobaczyła dziewczynkę siedzącą na krześle z twarzą schowaną w dłoniach.

„Jak wiele krzywdy musiała zaznać?” – zastanawiała się Matel. Usiadła obok Wiktorii i spoglądała na nią przez chwilę. Czuła, że emocje biorą górę.

- Chcesz się przytulić? – zapytała w akcie bezsilności.

Ku swemu zdziwieniu dziewczynka podniosła głowę i wtuliła się w Alicję, głośno szlochając. Kobieta objęła dziecko, czując, że po policzkach spływają jej łzy. Trwało kilka sekund, zanim w głowie Matel zakiełkowała niedająca później spokoju, myśl o zemście na Krzysztofie Kortyńskim.

ROZDZIAŁ 18

Tymon Foltyński siedział za biurkiem na komendzie i analizował materiały z przebiegu śledztwa związanego z zabójstwem Jagny Filiańskiej. Jak zwykle w tego typu sytuacjach, kiedy zabójca zostawiał znak na miejscu zbrodni, bardzo pomocny okazywał się Internet. Starszy aspirant nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak prowadzono dawniej śledztwa, bez użycia nowoczesnych technologii. Portale społecznościowe, czy różnego rodzaju bazy danych, do których miała dostęp policja, znacząco ułatwiały dochodzenie.

Rafał Trygar pamiętał zapewne czasy, w których aby pozyskać fachową wiedzę, trzeba było przesiadywać w publicznych bibliotekach albo spotykać się ze specjalistami z różnych dziedzin. Prowadzenie takiego śledztwa musiało trwać wieki i było zapewne drogą przez mękę.

Tropem, który należało zbadać w pierwszej kolejności, był zagadkowy znak V pozostawiony przez zabójcę na miejscu zbrodni. Pierwszym i najbardziej oczywistym skojarzeniem, jakie przyszło Tymonowi do głowy, był pan V z komiksu i filmu, stworzony przez Alana Moore'a i Davida Lloyda. Może jednak zbyt pochopnie zinterpretowali ten trop? Internet pełen był różnorodnych materiałów opisujących źródło pochodzenia symbolu V.

Na początek Tymon odwiedził stronę, na której autor udowodniał, że V jest znakiem Nodensa, celtyckiego bóstwa czczonego w Rzymskiej Brytanii, które utożsamiane było z bogami Sylwanem, Marsem i Neptunem. Istoty te trzeba było przechytrzyć, aby przekroczyć Otchłań i przejść przez Kabalistyczne Drzewo Życia. Ten trop jednak wydawał się Foltyńskiemu zbyt naciągany, dlatego wyłączył zakładkę w przeglądarce internetowej i spojrzął w kolejny link wyświetlany przez wyszukiwarke.

Autor tej strony skupił się na okultystycznym wyjaśnieniu znaczenia litery V. Jego wywód opierał się na miejscu V w alfabecie – dwudzieste trzecie, a zatem cyfry dwa i trzy, które dawały w sumie pięć, co oznaczało Boga,

bestię, władzę i siłę. Mętne wywody związane z symboliką liczb wydawały się mało prawdopodobne. Każdy mógł dopasować fakty w taki sposób, aby potwierdzić lub zaprzeczyć dowolnej teorii spiskowej. Niemniej jednak wątek z bestią spodobał się Foltyńskiemu na tyle, że podążył tym tropem dalej.

Na kolejnej stronie próbowano udowodnić, że znak V posiadał starożytne korzenie i był symbolem rogatego boga. Pokazywany w typowy dla współczesnych sposób, z dwoma palcami wskazującym i środkowym uniesionymi do góry, oznaczał stosunek seksualny z diabłem. Znak ten tępiony był przez inkwizycję i uznawany za herezję. Ponoć po dziś dzień wykorzystywano go podczas satanistycznych sabatów, jako symbol szatańskiego błogosławieństwa.

Może jednak intencje zabójcy nie były związane z wendettą w imię sprawiedliwości i dobra społeczeństwa? Może kierowały nim motywy religijne?

Kolejne tropy doprowadziły Tymona do osoby Aleistera Crowleya. Słyszał już wcześniej o tym mistyku, jednak nigdy nie miał czasu, aby zagłębić się w głoszone przez niego poglądy. Człowiek ten przez całe życie próbował połączyć różne religie i wierzenia w coś na kształt poglądów uniwersalnych, którymi człowiek mógłby się w życiu kierować. W wyniku wieloletnich przemyśleń stworzył filozofię-religię pod nazwą Thelema, której główne założenia można było sformułować w jednym zdaniu: „Takoż i ty cały; nie masz żadnego prawa poza czynieniem swej woli. Czyń tak, a nikt nie powie nie. Albowiem czysta wola, nieukojoną celem, wolna od żądzy wyniku, jest na każdy sposób doskonała”.

Generalnie rzecz ujmując, Crowley głosił tezę, według której każdy człowiek powinien znaleźć drogę, którą będzie podążał z własnej nieprzymuszonej woli. Wszelkie oddziaływania z zewnątrz, zmuszające jednostkę do zejścia z wytyczonej drogi, należało odrzucić. I co najważniejsze, nie cel był najistotniejszy, a droga, która do tego celu prowadziła. Aleister twierdził również, że ludzkość przeszła już dwa eony Izydy i Ozyrysa. Pierwszy z nich związany był ze współistnieniem i harmonią z naturą, w drugiej człowiek wyrzekł się przyrody i zaczął działać wbrew niej, głównie

pod wpływem nacisków ze strony religii. Obecny człowiek wkraczał w fazę Horusa, w której stopniowo wyzbywał się wiary w religie i odrzucał je jako balast ciężący na historii ludzkości. Człowiek współczesny ostatecznie znajdzie własną drogę i weźmie odpowiedzialność za życie. Nie będzie oddawał swego losu we władanie sił zewnętrznych związanych z naturą czy Bogiem.

Tymon, wczytując się w teorie głoszone przez Aleistera Crowleya, dotarł również do pośredniego kontynuatora jego filozofii, Antona Szandora LaVeya, który inspirując się Thelemą, stworzył satanizm. I bynajmniej nie była to religia, jak sądzi większość ludzi, tylko system wierzeń, który stawiał na najwyższym piedestale satanistę oraz całkowite zaspokajanie jego potrzeb. Jeśli coś się opłacało i nie było sprzeczne z prawem, to należało to zrobić. Foltyński pomyślał, że nieco podobne spojrzenie na świat mają ekonomiści, finansisci i bankowcy.

Obok satanizmu ateistycznego stworzonego przez Antona Szandora LaVeya istniał również satanizm teistyczny, będący kontrą dla wiary chrześcijańskiej. Wiązał się on jednak z motywami czysto religijnymi. LaVey wierzył raczej w pragmatyzm i zwierzęcą zaradność niż w czarną siłę pochodzącą od demona zła. Za najgorsze grzechy uznawał głupotę, pretensjonalizm, solipsyzm i konformizm.

Foltyński słyszał wcześniej o satanizmie ateistycznym, jednak nigdy nie zagłębiał się w szczegóły tego nurtu filozoficznego. Im głębiej jednak poznawał jego arkana, tym bardziej się z nim zgadzał. Większość tez głoszonych przez satanistów, było czysto praktycznymi zasadami, znanymi ludzkości od zawsze. Przede wszystkim wyrzekały się one robienia rzeczy głupich, nakazywanych przez religie od zarania dziejów, jak obcinanie fragmentów narządów płciowych czy okaleczania się w imię wyższych idei. Skupiały się raczej na doczesnym życiu człowieka. Głównym pytaniem satanistów było, jak szybko i efektywnie zaspokoić potrzebę, nie krzywdząc przy tym nikogo. Zdaniem Foltyńskiego wierzenia te o setki lat wyprzedzały zabobonne prawdy głoszone przez katolików, islamistów czy hinduistów.

W pewnym momencie Foltyński dostrzegł Marzenę Gibałę. Stała obok automatu z kawą, wykonując intrygujące ruchy. Kręciła biodrami w taki

sposób, że trudno było odwrócić wzrok. Foltiński, choć nie znał się na tańcu, od razu skojarzył latynoskie rytmy. Kobieta wykonywała małe kroczki zakończone co jakiś czas obrotem. Tymon przerwał czytanie i przez dłuższą chwilę gapił się na Marzenę niczym sroka w gnat. W pewnym momencie Gibała zauważyła, że jest obserwowana. Długo się nie zastanawiając, podeszła do Foltińskiego i usiadła na jego biurku.

– To salsa. Uczę się od pół roku, ale jakoś opornie mi idzie. Dlatego ćwiczę, gdzie się da – powiedziała, zaglądając Foltińskiemu w monitor.

– Jak dla mnie, idzie ci całkiem dobrze – powiedział zakłopotany Tymon.

– A jak małżonka? – zapytała Gibała. – Dobrze się czuje?

– W pierwszym trymestrze trochę wymiotowała, ale teraz jest już lepiej. – W jego głosie słychać było lekkie zakłopotanie.

– Pozdrów Andżelikę i Janka.

– Oczywiście, pozdrowię. Marzena... – zawahał się Foltiński.

Kobieta przekrzywiła szyję, poprawiła włosy, wstała z biurka i spojrzała na Foltińskiego z góry.

– Martwię się o Trygara. Teraz kiedy Andżelika jest w ciąży, nie mam dla niego czasu. A wiesz, jaki jest Rafał.

Marzena niemal od razu zorientowała się, o co Foltińskiemu chodzi. Nie powiedziała jednak niczego, czerpiąc wyraźną przyjemność z niezręcznej sytuacji, w jakiej znalazł się Tymon. Pewnie w taki sam sposób testowała kandydatów na życiowych partnerów, których zmieniała zresztą nad wyraz często. Jeśli facet był w stanie się przemóc i powiedzieć, o co mu chodzi, przechodził do kolejnego etapu, dostając od Gibały jeden punkt. Ciekawe ile punktów musiał zdobyć mężczyzna, który w oczach Marzeny na nią zasługiwał?

– Wiesz, że Rafał ma problem – zaczął niemrawo Tymon.

– Nie trzeba mędrca, żeby o tym wiedzieć – odpowiedziała Marzena.

– Dotychczas starałem się sprawować nad nim pieczę, choć on nigdy tego nie lubił. Łaziliśmy razem na ryby albo na piwo. Generalnie wiedziałem, co się

dzieje. Od czasu, kiedy musiałem zająć się rodziną, Rafał zaczął garować więcej niż zwykle. Martwię się, żeby nie stracił nad tym kontroli.

– Mówisz o smyczy, która trzymała go na uwięzi?

– Właśnie.

– Mam być smyczką? – zapytała Marzena, uśmiechając się.

– Może wzięłabyś go na zajęcia z salsa? Gdyby dwa razy w tygodniu musiał wyjść do ludzi, może chłaby trochę mniej.

Marzena roześmiała się tak głośno, że Tymonowi zdawało się, że w oknach drżą szyby.

– Co się stało? – zapytał zdezorientowany.

– Przecież on się nie zgodzi. Nawet jeśli przyszłabym po niego nago i zaproponowałam, że podczas każdego tańca będę mu robiła laskę.

Bezpośredniość Marzeny krępowała Foltyńskiego. Nawet czasem się zastanawiał, czy dziewczyna nie jest tylko mocna w gębie. Po dłuższym namyśle doszedł jednak do wniosku, że nie będzie dociekał prawdy.

– Twoim zadaniem będzie zaprosić go na zajęcia – powiedział Tymon. – A już moja w tym głowa, żeby z tobą poszedł.

– Zaszantażujesz go? – zapytała Gibała, puszczając do Tymona oko.

– A znasz lepszy sposób?

Marzena wzruszyła ramionami.

– Może jeszcze kiedyś usłyszymy z jego ust słowo „dziękuję” – dodał starszy aspirant.

– Prędzej świat się skończy albo mężczyźni przestaną się patrzeć na cycki – podsumowała. Wyszła z biura salsowym krokiem, kręcąc biodrami niczym zawodowa tancerka. Była niemal pewna, że oczy Foltyńskiego śledzą każdy ruch jej pośladków.

ROZDZIAŁ 19

W biurze zastępcy prokuratora regionalnego pojawiła się Alicja Matel. Zapukała do drzwi, po czym ostrożnie weszła do środka. Po kilku sesjach terapeutycznych z Wiktoria Kortyńską psycholog zdecydowała się zgłosić podejrzenie o molestowanie seksualne nieletniej. Niemal od razu wskazano jej osobę Mariana Suskego, który równie szybko zapragnął spotkać się z Matel.

Marian kończył właśnie rozmowę telefoniczną. Widząc kobietę, gestem dłoni zaprosił ją, aby usiadła i chwilę poczekała. Widząc ascetyczny wystrój i kremowe ściany, Alicja doszła do wniosku, że pomieszczenie w sposób niemal idealny spełnia jej wyobrażenia dotyczące prokuratorskiego gabinetu. Było tu smętnie, nudno i urzędowo.

– Tak, panie prokuratorze, robimy co w naszej mocy, żeby tę sprawę zakończyć. Tak, będę panu na bieżąco zdawał relację z przebiegu śledztwa. – Suski odłożył telefon, zastanawiając się, ile razy w miesiącu musiał wypowiadać podobną kwestię. Może powinien nagrać ją na dyktafon i odtwarzać w odpowiednich momentach?

Spojrzał na Alicję i zmarszczył brwi. Jego twarz przybrała urzędowy wyraz.

– Słucham? W czym mogę pani pomóc? – powiedział, dochodząc do wniosku, że te dwa szablonowe pytania również powinien odtwarzać z dyktafonu.

– Przejdę od razu do sedna – rzuciła Matel. – Prowadzę z Wiktoria Kortyńską sesję terapeutyczną w związku z jej próbą samobójczą.

– Tak, słyszałem o tym – odpowiedział Suski.

– Powiedziano mi w prokuraturze, że to pan właśnie może być zainteresowany tą informacją – ciągnęła Matel.

– Proszę mówić dalej – zachęcał Marian.

– Otóż, Wiktoria, to jedna z tych pacjentek, z których nie jest łatwo wyciągnąć jakiegokolwiek informacji. Niemniej jednak udało mi się ustalić pewne fakty... – Kobieta nie omieszkła wspomnieć o trudach zawodu psychologa i licznych staraniach, które pozwoliły dojść do prawdy.

Suski słuchał kobiety z umiarkowanym zainteresowaniem, zastanawiając się, czy dowie się wreszcie, o co chodzi. Ciekawiło go przede wszystkim, czy informacja wniesie coś nowego, do śledztwa prowadzonego w sprawie śmierci Jagny Filiańskiej.

– Otóż, po kilku sesjach terapeutycznych przeprowadzonych z Wiktoria mam podejrzenie, że dziewczyna była molestowana seksualnie przez swojego ojca Krzysztofa Kortyńskiego.

W momencie, kiedy kobieta dokończyła zdanie, Suski niemal podskoczył na fotelu.

– Ma pani jakieś dowody? Nagrywała pani przebieg tych sesji? – dopytywał Marian.

– Tak. – Kobieta wyciągnęła dyktafon, położyła go na stole i uruchomiła.

Suski patrzył na urządzenie z nadzieją wymalowaną na twarzy.

Alicja przewijała nagranie, zatrzymując się na fragmentach, gdzie słychać było, jak Wiktoria opowiada o traumatycznych wydarzeniach związanych z ojcem. Słychać było, że głos jej drży, a słowa wypowiedane są przez zaciśnięte zęby.

„Jak straszne rzeczy musiały się dzieć w głowie Kortyńskiej?” – pomyślał Suski.

Trudno było się dziwić, że podjęła samobójczą próbę. Niejeden dorosły nie poradziłby sobie z podobnymi przeżyciami.

– Dziękuję pani za złożenie zawiadomienia do prokuratury. Muszę te materiały zatrzymać – powiedział Suski z błyskiem w oczach.

– Czy moje nazwisko, zostanie w tej sprawie anonimowe? – dopytywała Matel. – Uprawiam zawód zaufania społecznego. Gdyby klienci dowiedzieli się, że ich sesje mogą trafić do prokuratury, mogłabym zostać bezrobotna.

– Proszę się nie obawiać. Nikt się nie dowie, kto złożył doniesienie do prokuratury – odpowiedział Marian.

ROZDZIAŁ 20

Zajęcia z salsy były dla Trygara jednym z najdziwniejszych doświadczeń, jakie miał nieprzyjemność przeżyć w swym całkiem długim życiu. Klub Salsa Libre mieścił się na ulicy Miedzianej w starym budynku Domu Ludowego. Po wejściu do chłodnego cuchnącego stęchlizną wnętrza należało udać się po schodach na pierwsze piętro. Po przejściu przez drzwi, na których widniał plakat z jakąś młodą parką ujętą w dziwnej tanecznej pozie, wkraczało się do ciasnego korytarza z krzesłami. Stąd można było przejść do szatni lub na salę zajęciową. Trygar założył dresy, których używał czasem podczas ćwiczeń na siłowni i ruszył za Marzeną Gibałą. Pluł sobie w brodę, że zgłupiał na stare lata doszczętnie i zgodził się na zajęcia z salsy. Z drugiej strony nie miał innego wyjścia. Foltiński zagroził mu, że jeśli nie pójdzie z Marzeną, powiadomi policyjnego psychologa, że jeden z komisarzy kryminalnych ma problem z alkoholem. Z jednej strony, Rafał wiedział, że Tymon robi to dla jego dobra, z drugiej, miał młokosowi za złe, że wtrąca się do jego życia. Trygar, widząc Marzenę w obcisłych legginsach i koszulce bez rękawów stwierdził, że nawet jeśli przyjdzie mu przez półtorej godziny stać w bezruchu, nie będzie to czas stracony.

Po wejściu na salkę, uwagę Trygara przykuły lustra, które były dosłownie wszędzie, nawet na suficie. Tylko podłoga wyłożona była czymś w rodzaju żywicy, która, notabene, bardzo dobrze zabezpieczała przed ewentualnym poślizgnięciem się. Brodaty Trygar przejrzał się w zwierciadle i skrzywił, stwierdzając, że lata świetności ma już dawno za sobą.

Na szczęście równie zagubieni zdawali się pozostali uczestnicy zajęć. Foltiński dostrzegł wśród zebranych zarówno panie po sześćdziesiątce, jak i panów na emeryturze, grubasów i chudzielców wysokich i niskich, w skrócie cały przegląd społeczny. Dzięki takiemu spektrum osobliwości Rafał zdołał się nieco rozluźnić, tym bardziej, że była to grupa dla początkujących. Nigdy nie

był wirtuozem tańca, w najlepszym razie potrafił zaimprovizować kilka kroków i obrotów w tak zwanym „dwa na jeden”, kiedy od czasu do czasu bywał z małżonką na weselach. Było to jednak bardzo dawno temu.

W momencie rozpoczęcia zajęć na salę wbiegło pięć par ubranych w kolorowe stroje. Kobiety nosiły przewiewne bluzki i sukienki. Mężczyźni koszule w stylu hawajskim i luźne spodnie. Z głośników popłynęła muzyka.

– Charakterystyczne rytmy salsy powstały w latach czterdziestych dwudziestego wieku – tłumaczyła Marzena Rafałowi na ucho. – Grano ją i tańczono głównie na Karaibach, w szczególności na Kubie. Po hiszpańsku słowo to oznacza sos lub smak, sugerujący pikantne i aromatyczne doznania.

Trygar faktycznie poczuł się, jakby ktoś przed chwilą wrzucił go do pikantnego bagna pełnego krokodyli.

– Patrz teraz – odezwała się Marzena. – To rueda, tańczona przez kilka, czasem nawet kilkanaście osób. Rekord świata to niemal trzy tysiące tancerzy.

Pary ustawiły się w kole i ruszyły do tańca. Po każdej zmianie taktu, rozliczanego w salsie na osiem, lider krzychał jakieś niezrozumiałe słowa w języku hiszpańskim.

Po komendzie mężczyźni opuszczali swoje dotychczasowe partnerki i ruszali w kierunku następnej dziewczyny. Tańczyli z nimi zwykle jeden, czasami dwa takty, po czym znowu słyhać było krzyk lidera i następowało przetasowanie. W pewnym momencie obserwator z zewnątrz mógł odnieść wrażenie, że tancerze poruszają się chaotycznie, nieustannie bowiem rotowali się, przekładali, wirowali i obracali, wywijając przy tym partnerkami. Zdawało się, jakby nie było w ich tańcu żadnych zasad. Był to jednak tylko pozorny nieporządek. Wszyscy doskonale wiedzieli, co mają robić, do której partnerki przejść i co z nią zatańczyć. Nawet Trygar po kilku minutach zaczął rozpoznawać poszczególne komendy, które brzmiały „Dile que no” czy „Dame Una”. Nastroj ruedy udzielał się wszystkim zebrany, którzy zaczęli klaskać, tupać i pokrzykiwać. Rafał nie mógł uwierzyć, że taniec może wyzwalać w człowieku takie pokłady radości, entuzjazmu i chęci do życia.

Po doświadczeniach ostatniej dekady Trygar gotów był prędzej przyznać, że nie istnieją na świecie ludzie szczęśliwi. A tu proszę, tańczyło przed nim

dziesięć osób, które całkowicie zatracało się w ruchu.

Po kilku kolejnych minutach Trygar zauważył, że nie było w salsie żadnych podskoków, choć wszyscy poruszali się po parkiecie sprężysto i na lekko ugiętych nogach. Było w tym tańcu mnóstwo obrotów, partnerki wirowały między rękami mężczyzn tak intensywnie, że od samego patrzenia mogło się zakręcić w głowie. Czasami Rafał odnosił wrażenie, że to, co ci ludzie wyprawiają ze swymi ciałami, przeczy zasadom fizyki.

Popisowa rueda, w wykonaniu grupy zaawansowanej, dobiegła końca. Cel pokazu został osiągnięty. Miał on przede wszystkim zachęcić nowych uczestników do zajęć. Pokazać ludziom, że przy odrobinie zaangażowania, życie może być doprawione prawdziwie pikantnym sosem. Unaocznic zebranych, jak wielką radość można czerpać z ruchu. I bynajmniej nie była to tylko intymna relacja zachodząca między mężczyzną a kobietą jak w większości tańców. Cała grupa mogła czerpać radość ze wspólnej zabawy.

Wydarzenie, którego Rafał był świadkiem, wywarło na nim silne wrażenie. Przede wszystkim poruszyło skostniałe połączenia nerwowe w mózgu i otworzyło szerzej oczy.

Nieco trudniej zrobiło się, kiedy rozpoczęły się zajęcia. Choć para prowadząca była cierpliwa i życzliwa, nauka kroku podstawowego była niczym wspinaczka na ośmiotysięcznik. Ciało Trygara zupełnie nie chciało go słuchać, wykonywał jakieś dziwne, niezdarne ruchy, których w żadnym wypadku nie można było nazwać tańcem. Na szczęście Marzena Gibała, po półrocznej nauce kroków salsy, radziła sobie nadzwyczaj dobrze. Prowadziła Rafała, dając sygnały, jaki krok powinien wykonać.

Po półtorej godziny zajęć Rafał czuł się zmęczony jak po dniu fizycznej pracy. I choć bolały go nogi, jakiś głos wewnątrz krzyczał, że ma ochotę na jeszcze. To było bardzo dziwne uczucie, które porównywalne było chyba tylko z pociąganiem do alkoholu.

– I jak ci się podobało? – zapytała Marzena, śmiejąc się z Rafała.

– Będziecie mieć pożywkę, żeby się z Foltyńskim ze mnie nabijać? – odburknął Rafał.

– Nie będziemy się z ciebie nabijać. Chciałam ci tylko pokazać, że nie zawsze mamy wpływ na to, co się nam przytrafia. Jednak zawsze możemy zrobić coś, aby to życie poprawić.

Słowa młodszej koleżanki, choć nie były odkrywcze, dźwięczały w głowie Trygara jeszcze przez kilka dni.

ROZDZIAŁ 21

Dominika Figiel otworzyła drzwi do budynku BudMetu i ze zdziwieniem skonstatowała, że wewnątrz nikogo nie ma. Najwyraźniej zarówno pracownicy, jak i sekretarka musieli wyjść już do domu. Co równie dziwne, w pobliżu nie było żadnego pracownika ochrony. Może strażnik akurat miał obchód? Należało tę sytuację wykorzystać. Wślizgnęła się do środka i ruszyła w stronę biura Krzysztofa Kortyńskiego. W zawodzie dziennikarza skrupuły i poczucie przyzwoitości należało odłożyć na półkę. Osoba etyczna i moralna nie miałyby, czego tu szukać. Bardzo szybko zostałyby wygryziona przez hieny, dla których krzywda bliźniego stanowiła codzienną pożywkę.

Najważniejsza dla dziennikarza była siatka informatorów, którzy w odpowiednim momencie mogli dać cynk, że dzieje coś ważnego. Zaufani ludzie byli w tym światku nieocenieni.

Tym razem informacja pochodziła z pewnego źródła. I jeśli nawet nie była prawdziwa, powinnością dziennikarza było ją sprawdzić. Czy Kortyński miał romans ze zmarłą Jagną Filiańską? I przede wszystkim, czy z tego powodu rozwodził się z żoną?

Figiel, nie pukając, otworzyła drzwi do gabinetu Kortyńskiego i niczym wąż wślizgnęła się do środka. Mimo swoich lat wyglądała bardzo seksownie. Agresywny wizerunek i metrowe nogi robiły wrażenie na płci brzydkiej.

Krzysztof Kortyński spojrzał znad laptopa na wchodzącą kobietę i zdębiał. Wstał z fotela i ruszył szybkim krokiem w jej stronę. Po jego twarzy widać było, że zaraz wybuchnie i rzuci się na dziennikarkę. Ona stała jednak nieugięta pośrodku gabinetu i spokojnie czekała na dalszy rozwój wypadków.

Krzysztof podszedł do kobiety na tyle blisko, że był w stanie poczuć zapach jej perfum.

– Co ty tu robisz? – syknął.

– Słyszałam, że masz kłopoty.

- To źle słyszałaś.
- Zabiłeś tę Filiańską? – zapytała dziennikarka.
- Zwariowałaś? – odpowiedział mężczyzna.
- Dymałeś ją? – zapytała.
- Skąd wiesz?
- Wiesz, że ja wszystko wiem.
- Co jeszcze wiesz? – zapytał Koryński.
- Policja zbiera na ciebie haki – powiedziała Figiel.
- Wiem, byli u mnie.

– Muszę coś napisać o tym morderstwie, a chciałabym być fair wobec ciebie. Nie chcę napisać czegoś, co mogłoby ci zaszkodzić.

– To nie pisz – powiedział mężczyzna i bez ostrzeżenia przywarł do ust kobiety. Po krótkim pocałunku mierzyli się przez chwilę przenikliwymi spojrzeniami, czując, jak narasta w nich zwierzęcy instynkt. Jakiś rodzaj nieokiełznanej agresji musiał znaleźć ujście.

Nagle rzucili się na siebie niczym wygłodniałe bestie. On w ciągu kilku sekund zdarł z niej ubranie, potem sam się rozebrał. Cisnął ją na welurową kanapę stojącą w rogu i zaczął całować. Ona złapała go za włosy i przycisnęła do siebie, czując narastające pożądanie. Ten sam scenariusz powtarzał się niemal od początku ich znajomości.

Spotkali się w liceum i była to dla nich pierwsza miłość, czysta i nieskalana. Potem ich drogi się rozeszły, jednak pozostało dziwne uczucie niespełnienia i przede wszystkim wzajemnego zainteresowania. Wiele lat później Dominika pojawiła się u Krzysztofa przy okazji dziennikarskiego śledztwa związanego z protestem mieszkańców bloku wybudowanego przez BudMet. To wtedy właśnie ich romans powrócił ze zdwojoną mocą. Trwał kilka miesięcy i skończył równie szybko, jak się zaczął. Potem widywali się rzadko, raz w roku, czasem rzadziej. Niemal każde spotkanie sam na sam kończyło się w ten sam sposób. Erupcja wulkanu i szybki seks bez żadnych zobowiązań.

- Tęskniłaś? – wymamrotał Krzysztof, całując Dominikę w usta.

W odpowiedzi usłyszał tylko przeciągłe mruczenie.

ROZDZIAŁ 22

Waldemar Komar zawsze we wtorki, czwartki i soboty ćwiczył mięśnie na siłowni. Mimo trzydziestu pięciu lat mógł poszczycić się nienaganną posturą i kondycją fizyczną. Nigdy nie był typem pakera, znacznie bardziej cenił sobie wytrzymałość i ładną sylwetkę. Jego postawa znajdowała zresztą potwierdzenie wśród przedstawicielek płci pięknej. Kobiety prawie nigdy nie odmawiały prośbom mężczyzny, nawet jeśli dotyczyły spraw intymnych. Waldemar nigdy nie był w stanie zrozumieć, dlaczego jego koledzy z siłowni faszrowali się sterydami anabolicznymi, hormonami wzrostu czy testosteronem. Przecież i tak nie mieli szans na starty w zawodach kulturystycznych czy trójboju siłowym, gdzie stosowanie nielegalnych środków stało się niemal normą.

Po treningu Waldemar biegał zwykle na bieżni albo pływał, dzięki czemu organizm sięgał po zapasy tkanki tłuszczowej. Komar miał już wejść na pływalnię, kiedy podszedł do niego na oko dziesięcioletni chłopiec.

– Mam dla pana wiadomość od Lucyny – rzucił.

Waldemar Komar, słysząc znajome imię, rozejrzał się, jakby spodziewał się ujrzeć Kortyńską gdzieś w pobliżu. Zdawał sobie sprawę, że ich romans nie potrwa długo. Parę lat temu miałyby zapewne wyrzuty sumienia, że po prostu kobietę wykorzystuje, czerpiąc z romansu korzyści finansowe, choć również i przyjemność. Z czasem przekonał się, że płeć piękna wcale nie gra czysto i ma na sumieniu dużo więcej, niż by się komukolwiek wydawało. Kobiety były dużo inteligentniejsze od mężczyzn, co wykorzystywały bez najmniejszych skrupułów, knując i oszukując w sposób tak obrzydliwy, że facetowi nigdy nie przyszłyby podobnie kuriozalne pomysły do głowy. To przedstawicielki płci pięknej od wieków były mistrzyniami intryg i wszelkiego rodzaju matactw, zdolne do najgorszych łajdactw. Facet ze swoją siłą był w tym wszystkim tylko niewinną igraszką, małpą z bicepsami, która posłuszna woli pani, wypełniała jej rozkazy.

– A jaka to wiadomość? – zapytał Waldemar.

– Niech pan przyjdzie do salonu masażu na Fabryczną 5 o godzinie dwudziestej drugiej. To ma być taka niespodzianka – rzucił malec, po czym zniknął za rogiem.

Waldemar uśmiechnął się. Niemal od początku romansu z Lucyną Kortyńską musieli ukrywać spotkania. Jego pani, osoba majątna, wynajęła zapewne cały salon masażu, żeby mogli się spotkać. Późna godzina z pewnością także nie była bez znaczenia. Po godzinie dwudziestej drugiej klientów salonu piękności już nie było, a zatem będą mieli całą noc dla siebie. Oczyma wyobraźni Waldek widział już jacuzzi, saunę, olejki eteryczne i masaż, w którego tajnikach orientował się wcale nie najgorzej. Zatarł ręce, spojrzął na zegarek i postanowił wrócić do domu. Na spotkanie z Lucyną należało się przecież porządnie przygotować.

ROZDZIAŁ 23

Waldemar Komar stawił się w umówionym miejscu i czasie. W oknie zasłoniętym żaluzjami paliło się światło, choć tabliczka na drzwiach jednoznacznie wskazywała, że salon czynny jest do godziny dwudziestej. Lucyna lubiła tego typu gry i zabawy. Waldemar spodziewał się ekscytującego wieczoru. W jednej dłoni trzymał bukiet kwiatów, w drugiej szampana Moët & Chandon, za którego zapłacił bagatela sto dziewiętnaście złotych. Kortyńska należała do finansowej elity i raczej nie zadowoliliby się pierwszym lepszym Sowietskoje Igristoje z promocji w Biedronce. Komar zapukał do drzwi. Po kilku sekundach otworzył mu wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Ubrany był w płócienne białe spodnie i niebieską bluzę medyczną, na dłoniach założone miał gumowe rękawiczki. Mężczyzna przywitał Komara uśmiechem i gestem zaprosił do wnętrza salonu.

– Lucyna trochę się spóźni, ale zadbała, aby czas oczekiwania nie był zmarnowany – powiedział masażysta, po czym wskazał ręką w stronę pokoju, z którego dochodziły ciche odgłosy bąbelków z jacuzzi.

– Kim jesteś? – zapytał zaniepokojony Waldemar.

– Nie martw się, jestem zaufaną i przede wszystkim bardzo dobrze opłaconą osobą – odpowiedział nieznajomy.

Waldemar wszedł do środka i już w progu poczuł delikatny zapach karczidła unoszący się w powietrzu. Długo się zastanawiając, ruszył w kierunku przebieralni, aby po chwili wylądować w wielkim jacuzzi. W tym czasie masażysta przyniósł dwa kieliszki i otwartego szampana. Dolał jeszcze do wody olejek eteryczny pachnący lawendą. Komar nalał sobie szampana i delektował się trunkiem w oczekiwaniu na Lucynę. Wbrew pozorom Brut Imperial wcale nie smakował lepiej niż zwykłe wino musujące. Po kilku minutach znowu pojawił się masażysta i powiedział:

– Kolejny punkt programu to body wrapping.

Komar zdziwił się nieco, zastanawiając, gdzie też słyszał podobną nazwę. Po chwili skonstatował, że kojarzy mu się bardziej z McDonaldem albo Burger Kingiem, niż z zabiegami SPA.

– To kuracja polegająca na obwinieciu ciała w folię. Wcześniej smaruje się skórę kremem czekoladowym, miodowym lub eukaliptusowym w zależności od preferencji klienta.

– I co taki zabieg daje? – zdziwił się Komar.

– Usuwa toksyny z organizmu, wyszczupla i redukuje cellulit. Działanie jest zbliżone do wizyty w saunie. Pacjent po owinięciu folią przykrywany jest kocem elektrycznym, który rozgrzewa ciało. Przede wszystkim jednak jest to bardzo przyjemny zabieg. Leży się na stole do masażu i słucha muzyki relaksacyjnej, wdychając aromaty kadzideł i świec zapachowych.

Waldemar uśmiechnął się, niemal bez wahania zgadzając się na zabieg. Przeszedł do pokoju ze stołem do masażu i położył wygodnie na brzuchu. Masażysta nabrał na rękawiczki nieco kremu eukaliptusowego i zaczął smarować ciało Komara. Waldemar zdziwił się nieco, że zawodowiec używa gumowych rękawiczek. O ile się orientował, prawidłowy masaż zawsze wykonywany był gołymi rękoma. Może jednak coś się w ostatnich czasach zmieniło? Postanowił nie narzekać i czekał na dalszy rozwój sytuacji. Masażysta, po nasmarowaniu ciała Komara, zabrał się do owijania go w paski folii. Zaczął od korpusu, schodząc stopniowo coraz niżej. Na końcu zawiązał również ręce i nogi w taki sposób, że ostatecznie pacjent przypominał mumię. Tylko głowa pozostała nieowinięta.

– Czy to aby bezpieczne? – zapytał Waldemar.

Przestraszył się, kiedy doszedł do wniosku, że jest całkowicie ubezwłasnowolniony. Masażysta nie odpowiedział, cały czas zawijając ciało Komara w folię. W pewnym momencie zabrał się również za głowę, oczy i usta. Waldemar zorientował się, że coś jest nie w porządku, dlatego podjął próbę zeskoczenia ze stołu. Był jednak tak skrępowany, że na nic się to zdało. Czuł jak folia owinięta na ustach, uniemożliwia mu oddychanie, więc próbował przebić ją językiem.

– Nienawidzę naiwnych i prymitywnych jednostek. Wszyscy powinniście zginąć. Jeśli nawet wam w tym nie pomożemy, to i tak zabije was wasza głupota. Natura odbierze sobie wszystko aż z nawiązką – powiedział masażysta, po czym przebił folię w miejscu, gdzie znajdowały się usta Waldemara, aby ofiara zbyt szybko się nie udusiła.

– Jeśli będziesz krzyczał, zaknebluję cię – dodał napastnik.

Komar wpadł w panikę. Miał jeszcze niewielką nadzieję, że to tylko głupi dowcip przygotowany przez Lucynę, która zaraz wyskoczy zza węgła i wszyscy będą się śmiali. Zamiast tego, poczuł w okolicach pośladka dziwne ukłucie, które po kilku sekundach zaczęło promieniować ogromnym bólem niemal na całe ciało. Komar zdał sobie sprawę, że jego życie jest zagrożone. Czuł, że oddech, który i tak był rwany, robi się coraz płytszy. Skończyło się na tym, że z trudem łąpał powietrze, niczym ryba z wyschniętymi skrzelami, którą wyciągnięto z wody. Co takiego wstrzyknął mu masażysta?

Nagle poczuł na plecach przyjemne ciepło, następnie pieczenie, a potem ból, jakby ktoś przypiekał go gorącym prętem. Chwilę później doszedł do wniosku, że źródło bólu jest dużo więcej. Chciał się ruszyć, spaść ze stołu do masażu, aby tylko uniknąć cierpienia.

– Jeśli będziesz wierzył, sprawię ci większy ból – powiedział masażysta.

Waldemar liczył jeszcze, że gorące przedmioty, które masażysta przykłada mu do pleców, naruszają wytrzymałość folii. Jeśli zbierze wszystkie siły w jednym rozpaczliwym ataku, może będzie w stanie wyswobodzić się z więzów. Nagle poczuł, że ktoś przewraca go na plecy. Jakieś twarde przedmioty wylądowały z hukiem na podłodze. Przez folię dostrzegł zarys ludzkiej sylwetki.

– Czekaj cię kara, za twoje postęпки. Nie ma na tej ziemi miejsca dla ludzi słabych. Przeżyją tylko najsilniejsi.

– O co ci... chodzi... – próbował powiedzieć Waldemar, jednak z jego ust wydobył się tylko dziwny bełkot. Próba poruszenia się spełzała na niczym. Całkowicie sparaliżowane ciało zupełnie nie reagowało na impulsy wysyłane przez mózg. Chwilę potem Komar poczuł ponowne ukłucie w okolicach uda. Z każdą upływającą minutą czuł, że jest mu coraz trudniej oddychać.

Wszystkie siły koncentrował już tylko na najbliższym oddechu. Żył nabrzmiały, wielkie oczy patrzyły w jeden punkt, z otwartych ust sączyła się ślina. Straszliwy piekący ból rozrywał ciało. Wreszcie Komar po raz ostatni nabrał w płuca powietrza i przestał oddychać.

Masażysta stał jeszcze przez chwilę nad ciałem Waldemara, jakby chciał się upewnić, że mężczyzna nie żyje. Wreszcie, uwolnił z foli jego prawą rękę, po czym obwiązał ją w taki sposób, aby palec wskazujący i środkowy tworzyły znak V.

ROZDZIAŁ 24

– Jak zginął? – zapytał Rafał Trygar, rozglądając się po salonie, składającym się z kilku niewielkich pomieszczeń. Była tu sala z jacuzzi i wannami do masaży podwodnych oraz kąpieli borowinowych, a nawet sauna fińska.

– Uduślił się – odpowiedział lekarz medycyny sądowej.

Marian Suski obejrzał twarz denata. Spomiędzy pasków folii prześwitywały napuchnięte policzki i brunatne wargi. Szeroko otwarte oczy i usta wyrażały niemą prośbę o ratunek.

– Dlaczego się uduślił? – Marzena niemal od razu dostrzegła kamienie do masażu rozrzucone po pokoju. Przykucnęła, rozpoczynając dokładną lustrację ciała mężczyzny. W okolicach nerek ujrzała roztopioną folię oraz kawałek okrągłego śladu po oparzeniu.

– Trudno powiedzieć – odrzekł medyk. – Być może morderca zrobił dziurę na twarz, już po tym, jak mężczyzna się uduślił. Obstawiałbym jednak, że coś mu podano. Trudno na ten moment cokolwiek powiedzieć. Trzeba zrobić badanie krwi i sekcję zwłok – odpowiedział lekarz.

– Zabójca, chcąc się upewnić, że po śmierci mężczyzny palce dłoni nie zostaną rozprostowane, zawiązał je folią w taki sposób, aby tworzyły znak V – stwierdził Marian.

– Robił mu specyficzny masaż gorącymi kamieniami pochodzącymi ze szlifowanej, skamieniałej lawy – wtrąciła się Marzena. Nie podejrzewała funkcjonariuszy czy prokuratora, że korzystają z usług masażystów i kosmetyczek. – Rozgrzewa się je do temperatury pięćdziesięciu stopni i kładzie na plecach pacjenta w punktach energetycznych ciała zwanych czakrami. To poprawia przepływ energii w organizmie. Ponoć ta metoda znana była już starożytnym i była używana jeszcze przed akupunkturą.

– Kamienie musiały być rozgrzane znacznie mocniej, niż pięćdziesiąt stopni Celsjusza – stwierdził Trygar, przyglądając się ranie po oparzeniu

w okolicach ramion denata.

Fołyński z Marzeną postanowili poszukać jakichś śladów w pozostałych pomieszczeniach salonu. Ledwie weszli do pokoju z jacuzzi, ich uwagę zwróciła butelka markowego szampana i dwa kieliszki. Tylko w jednym z naczyń znajdowała się niewielka ilość trunku.

– Co o tym sądzisz? – zapytała Marzena.

– Zakładam, że drugi kieliszek przeznaczony był dla kochanki tego Waldemara – odpowiedział Tymon.

– Najwyraźniej niedane było mu się z nią zobaczyć.

W pomieszczeniu obok rozmawiali Suski z Trygarem.

– Można coś powiedzieć na ten moment? – prokurator zwrócił się do technika.

– Zebraliśmy i zabezpieczyliśmy sporo odcisków palców. Najpóźniej pojutrze będziemy mogli coś powiedzieć.

Do mężczyzn podszedł jeden z funkcjonariuszy.

– Nie było włamania – powiedział.

– A zatem zabójca musiał dysponować kluczem – podsumował Marian.

– Kto jest właścicielem tego salonu? – zapytał Rafał.

Policjant wyciągnął z teczki wydruk z komputera i przeczytał:

– Maryla Kotowicz. Dyplomowana rehabilitantka i kosmetyczka. Prowadzi lokal od sześciu lat, ma stałe grono klientów.

– Czy tylko mnie przychodzi do głowy skojarzenie z Marylą Rodowicz? – zapytał Trygar.

– Kiedy nastąpił zgon? – urwał Marian.

– Tak na szybko – odpowiedział lekarz – obstawiałbym, że koło godziny drugiej w nocy.

– Rano właścicielka lokalu przysłała do pracy i zastała ciało Waldemara na stole do masażu – dodał funkcjonariusz.

– Przesłuchaliście tę właścicielkę? – zapytał Suski.

– Wstępnie. Jest jeszcze na komisariacie, składa zeznania i dodatkowe wyjaśnienia.

– Chcielibyśmy z nią porozmawiać – stwierdził Suski.

– Macie jakieś podejrzenia, co tu się wydarzyło? – zastanawiał się głośno Fołtyński, który wraz z Gibałą dołączyli do prokuratora i komisarza.

– Zabójca miał klucz do lokalu. Zaprosił Waldemara Komara na masaż, a potem go zabił – powiedziała Marzena Gibała, chcąc uciąć dywagacje.

– Czyli zarzuty spadają przede wszystkim na właścicielkę lokalu – bardziej stwierdził, niż zapytał, Trygar.

– Wygląda, że tak – potwierdził Marian. – Chyba że ktoś jeszcze miał klucze do salonu.

– Gdzie są ubrania ofiary?

– Obok jacuzzi – odpowiedziała Marzena. – Zauważcie, że są tam dwa kieliszki. Komar musiał na kogoś czekać.

Ponieważ z oględzin miejsca zbrodni nie dało się więcej wydedukować, prokurator Suski zostawił policjantów na miejscu, sam zaś udał się na pobliską komendę, gdzie zeznania składała właścicielka lokalu, Maryla Kotowicz.

Na miejscu zastał kobietę nieco po trzydziestce, blondynkę o nienaganej figurze i idealnie zadbanej cerze, co zresztą wcale Suskiego nie dziwiło.

Siedziała w małej salce rozdygotana, niemal bliska płaczu, i piła kawę z automatu. Suski wszedł do pomieszczenia i przedstawił się. Usiadł naprzeciwko kobiety i spojrzał na nią, mrużąc oczy. Lata doświadczeń w prokuratorskim zawodzie i setki przesłuchań pozwalały stwierdzić, że kobieta albo jest niewinna, albo jest doskonałą aktorką.

– Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło w salonie – zaczął Marian.

Kobieta podniosła głowę i spojrzała na Suskiego oczami wyrażającymi żal i pretensję.

– Mówiłam już dwa razy – wymamrotała.

– Wiem – odpowiedział Marian. – Proszę opowiedzieć raz jeszcze.

Kobieta poprawiła się na krześle i rozpoczęła:

– Przyszłam rano do pracy, o godzinie ósmej, jak zawsze. Otworzyłam drzwi, weszłam do środka i zobaczyłam nagiego mężczyznę owiniętego w folię – tłumaczyła Maryla.

– Czy drzwi były zamknięte? – zapytał Suski.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, próbując z rozchwianej emocjami głowy wyciągnąć wydarzenia z rana.

– Tak – odpowiedziała bez zastanowienia.

– Proszę mówić dalej – zachęcał Suski.

– Sprawdziłam tętno i stwierdziłam, że ten mężczyzna nie żyje. Natychmiast wezwałam policję.

– Czy znała pani tego człowieka? – zapytał prokurator.

– Widziałam go pierwszy raz w życiu.

– Kto oprócz pani posiada jeszcze klucze do salonu masażu?

– Moja pracownica i... – zawahała się kobieta.

– Ktoś jeszcze?

– Krzysztof Kortyński – wypaliła po chwili. – To jego firma zbudowała dla mnie ten lokal. Krzysztof pomógł mi też finansowo, wiele mu zawdzięczam.

Marian pogładził się po brodzie, wydając cichy pomruk zadowolenia.

– Czy miała pani romans z Krzysztofem Kortyńskim?

Kobieta otworzyła szerzej oczy zdziwiona bezpośrednim pytaniem prokuratora.

– Kiedyś... dawno temu – odpowiedziała cicho. – Teraz jesteśmy przyjaciółmi.

– Po co Kortyńskiemu klucz do pani salonu masażu?

– Czasami zapraszał panienki, z którymi się spotykał. To miało być jedno z jego sekretnych miejsc, gdzie nie nakryłaby go Lucyna. Od zawsze się jej bał – mówiła Kotowicz. Widać było, że wypowiedziane słowa przychodzą jej z wielkim trudem. Najwyraźniej obawiała się, że jej słowa mogą przysporzyć Krzysztofowi kłopotów.

– Jak często Kortyński zapraszał tam swoje kochanki? – dopytywał Suski.

– Raz na kilka miesięcy. Znajdywałam rano butelki wina albo ślady użytkowania sauny czy jacuzzi. Od razu wiedziałam, że Kortyński imprezował.

– Drugi z kluczy posiada pracownica. Gdzie ona teraz jest? – zapytał Marian.

– Na urlopie w Chorwacji – odpowiedziała Maryla.

– Jak długo?

– Od kilku dni.

– Czy nosi klucz przy sobie? – zapytał Suski.

– Chyba tak.

– A czy może się z nią pani skontaktować, aby to potwierdzić?

Kobieta pogrzebała w torebce i po chwili wyciągnęła smartfon. Zadzwoiła do pracownicy i rozmawiała z nią przez chwilę.

W tym momencie zadzwonił telefon Suskiego.

– Tak? – rzucił Marian do słuchawki.

– Mamy coś ciekawego – zaczął Folyński. – Ten zamordowany Komar pracował w firmie, która wynajmowała mężczyzn dla towarzystwa – tłumaczył Tymon.

– Żigolak? – zdziwił się Marian.

– Zawodowy amant brzmi lepiej. Albo zdobywca niewieścich serc – dodał Folyński z przekąsem w głosie.

– Czy ta firma może podać jakieś szczegóły. Z kim się Komar spotykał, jakich miał klientów? – dopytywał Marian.

– Niestety, zabezpieczają prywatność swoich klientów. Z tego powodu nie prowadzą nawet rejestrów na okoliczność prokuratorskiego nakazu. Ale mam jeszcze jednego newsa. Zgadnij, kto budował salon masażu, w którym zabito Komara?

– Krzysztof Koryński – odpowiedział Suski.

– Skąd wiedziałeś?

– Przed chwilą powiedziała mi o tym właścicielka salonu. Co więcej, Koryński zapraszał tam czasem swoje kochanki i przede wszystkim miał swój klucz.

– Czyżbyśmy mieli wystarczający dowód, aby postawić Koryńskiemu zarzuty? – zapytał Folyński.

– Daj mi chwilę – Suski przerwał rozmowę i zwrócił w stronę Maryli. – I jak?

– Pracownica ma klucz przy sobie – potwierdziła.

Suski rzucił do słuchawki:

– Aresztujemy Krzysztofa Kortyńskiego.

ROZDZIAŁ 25

– Rozpaczam rozprawę rozwodową między Krzysztofem Kortynskim a Lucyną Kortynską. Proszę usiąść – zagrział głos sędziny. Sześćdziesięcioletnia Aldona Goliat była modliszką, która na sali rozpraw miała w zwyczaju niszczyć mężczyzn. Ponieważ starała się chronić prywatne życie, nikt do końca nie wiedział, czy była sfrustrowaną rozwódką, która wieki temu rozstała się z mężem, czy może po prostu żaden mężczyzna o zdrowym rozsądku nie odważył się do niej zbliżyć. Samotne wieczory spędzała w towarzystwie kotów albo równie sfrustrowanych przyjaciółek, pałających nienawiścią do męskiej części populacji i wspominających czasy świetlanej młodości.

Po prawej i lewej ręce sędziny siedziały dwie ławniczki równie wiekowe, jak Aldona. Na sali rozpraw znalazło się również kilkanaście zaufanych osób oraz rodzina. Nieoczekiwanie pomiędzy zebranyimi znalazła się także Dominika Figiel, która zapisywała coś małym ołówkiem w kajecie. Ze względu na medialność rozprawy, dziennikarze nie zostali wpuszczeni na salę, aby niepotrzebnie nie nagłaszać i tak trudnego dla obu stron wydarzenia.

Sędzina spojrzała z pogardą na Krzysztofa Kortynskiego i jego pełnomocnika, adwokata Tomasza Jędrzejczaka. Później nieco bardziej pobłażliwym wzrokiem obdarowała Lucynę Kortynską, która siedziała na ławie ze spuszczoną głową, odgrywając rolę ofiary doskonałej.

– Czy strony doszły do porozumienia w sprawie opieki nad nieletnią córką Wiktoria Kortynską? – zapytała sędzina.

– Nie, wysoki sędzie – odpowiedział mecenas Ignacy Lewartowski reprezentujący w sądzie Lucynę. Stary prawnik wstał i rozpoczął swoją przemowę.

– Wysoki sędzie. Chcieliśmy początkowo dojść do porozumienia ze stroną powoda, aby to obaj rodzice mieli władzę rodzicielską nad małoletnią córką

Wiktoria. Byłoby rzeczą wprost cudowną, gdyby mogli oni współdecydować o sposobie jej wychowania, o wykształceniu i spędzaniu wolnego czasu. Jednak analizując postępowanie pana Kortyńskiego, doszliśmy do wniosku, że nie możemy mu przekazać współodpowiedzialności za decydowanie w sprawie dziecka.

– Proszę skomentować to szerzej – powiedziała sędzina.

– Wiktoria Kortyńska jest dzieckiem bardzo wrażliwym, sprawia problemy wychowawcze – tłumaczył Lewartowski. – Musi być otoczona specjalną opieką lekarzy. Nie możemy jej narażać na spędzanie czasu w towarzystwie osoby, która postępuje w sposób niezgodny z zasadami obycia społecznego. Szczegóły z tym związane opisane są we wniosku rozwodowym i załącznikach.

– Tak – odpowiedziała Goliat. – Zapoznałam się z ich treścią.

– Nie chciałbym opowiadać o wszystkich uchybieniach i zaniedbaniach ojca Wiktorii, bo jest tego bardzo dużo, w zamian za to, chciałbym wezwać na świadka prywatnego detektywa Olafa Lutczyńskiego, który rzuci nieco światła na wierność Krzysztofa Kortyńskiego.

– Dobrze – powiedziała sędzina. – Proszę wprowadzić świadka.

Po zaprzysiężeniu prywatnego detektywa sędzina wypytała mężczyznę o szczegóły zdarzenia, które miało miejsce w centrum handlowym Galeria Mokotów.

– Czy strona powoda chciałaby zadać świadkowi pytania? – zagrzmiała Aldona.

– Tak, wysoki sędzie – odpowiedział Tomasz Jędrzejczak. Adwokat wstał i wyszedł na środek sali, mierząc detektywa lisim wzrokiem. Protokolantka siedząca nieco z boku skrzętnie zapisywała przebieg rozprawy.

– Czy widział pan – zaczął – aby pomiędzy Krzysztofem Kortyńskim a Jagną Filiańską doszło do jakiejś zażyłości?

– Widziałem, jak wchodzi do tej samej żeńskiej przymierzalni. Wcześniej ona mizdrzyła się do Kortyńskiego. Bez wątpienia musieli się znać – tłumaczył Lutczyński. – Zajmuję się sprawami rozwodowymi od lat i wiem jak wygląda małżeńska zdrada.

– Czy ma pan jednoznaczny dowód albo widział pan, jak Krzysztof Kortyński współżyje, albo wchodzi w bliską interakcję z Jagną Filiańską? – ponowił pytanie Jędrzejczak.

Mężczyzna spojrział w kierunku Ignacego Lewartowskiego, po czym zamknął oczy. Czuł, że traci grunt pod nogami.

– Nie widziałem – odpowiedział wreszcie – ale patrząc przez pryzmat moich wieloletnich doświadczeń, jestem przekonany...

– Dziękuję – przerwał Tomasz. – Nie mam więcej pytań.

Na środek sali wyszedł Ignacy Lewartowski. Stał szeroko na nogach i westchnął ociężale.

– Proszę nam powiedzieć – zaczął. – Co zaszło tamtego dnia po tym, jak Krzysztof Kortyński i Jagna Filiańska wyszli z damskiej przymierzalni?

Mężczyzna opowiedział szczegółowo o wydarzeniach sprzed kilku tygodni, powołując się jednocześnie na świadków i lekarską obdukcję. Po przesłuchaniu Olaf Lutczyński usiadł na sali, a na jego miejsce zostali wprowadzeni kolejni świadkowie. Dość lakonicznie opisywali chłodne stosunki Kortyńskiego z żoną i córką. Mówili również o nieco wybuchowym charakterze szefa BudMetu.

Całe przedstawienie zorganizowane zostało przez Lewartowskiego w jednym celu. Postawić Krzysztofa w złym świetle. Zarówno sędzina, jak i obie strony procesu zdawały sobie doskonale sprawę, że cokolwiek nie wydarzyłoby się na sali sądowej, żadna siła nie pozbawi Kortyńskiego praw do opieki nad dzieckiem. Również wskazanie jednostronnej winy Krzysztofa za rozpad małżeństwa, raczej nie wchodziło w rachubę. Tego typu wyroki orzekane były jedynie w skrajnych sytuacjach, gdy w małżeństwie pojawiała się przemoc, kryminalna przeszłość albo uzależnienia.

Lucyna zdawała sobie sprawę, że są to tylko sprawy drugorzędne i mają na celu wywołanie odpowiedniej zasłony dymnej. Wiktoria najprawdopodobniej zamieszka w domu z Kortyńską, a Krzysztof będzie miał prawo do odwiedzin dwa razy w tygodniu popołudniami i co drugi weekend. Podobnie schematyczny harmonogram orzekany był niemal w dziewięćdziesięciu procent przypadków.

To, co było w planie Lucyny najistotniejsze, to misterne budowanie negatywnego obrazu Krzysztofa Kortyńskiego. Postawienie go złym światłem będzie miało fundamentalne znaczenie dla wysokości alimentów, gdzie aspekt emocjonalny ma niebagatelny wpływ na wyrok sądu. Negatywny wydźwięk miał również zaszkodzić obrazowi Krzysztofa w świecie biznesu, a przede wszystkim podważyć jego wiarygodność. Na drugą część rozprawy Lucyna wraz z Lewartowskim mieli zaplanowaną prawdziwą kanonadę. Chcieli zaatakować Kortyńskiego przy omawianiu finansów i podziału majątku, tym samym nie pozostawiając na nim suchej nitki.

Strategia najwyraźniej przynosiła oczekiwany rezultat, ponieważ po godzinie rozprawy sędzina Goliat patrzyła na Kortyńskiego oczyma nienawiści, chcąc zgnieść go niczym Dawida.

W pewnym momencie adwokat Tomasz Jędrzejczak jakby nigdy nic wstał i podszedł do biurka sędziny.

– Chcielibyśmy wnieść do sprawy nowe dowody – powiedział.

– Dlaczego nie zostały wniesione wcześniej, przy odpowiedzi na pismo rozwodowe? – zapytała Aldona.

– Ponieważ wcześniej tymi dowodami po prostu nie dysponowaliśmy. Zdobyliśmy je dopiero wczoraj – tłumaczył mecenas.

– W takim razie proszę – stwierdziła sędzina.

– Chciałbym przedstawić zdjęcia, które jednoznacznie wskazują, że Lucyna Kortyńska zdradzała swojego męża.

Adwokat wyciągnął z koperty plik ze zdjęciami i położył je na stole przed sędziną. Aldona Goliat przeglądała fotografie z wyraźnym zainteresowaniem wymalowanym na pulchnej twarzy. Ławniczki siedzące obok trawiła ciekawość, kierując co chwilę ich wzrok w stronę zdjęć.

Goliat widziała i prowadziła w swej długoletniej karierze tyle rozpraw rozwodowych, że w zasadzie niewiele było ją już w stanie zaskoczyć. Oglądając zdjęcia, przypomniała sobie sprawę małżeństwa, które od dobrych kilku lat bezskutecznie próbowało się rozwiązać. Darli koty na wszystkie strony, poruszając niebo i ziemię, aby tylko zaszkodzić drugiej stronie. Huśtawka przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. W jednym roku ona

kategorycznie żądała rozwodu, on był przeciwny. W drugim sytuacji odwracała się o sto osiemdziesiąt stopni. Przepychanka trwała dobre cztery lata. Wreszcie na jednej z rozpraw sędzina dostała zdjęcia, na których para złączona była w miłosnym uścisku.

Na pytanie Aldony, jakim cudem po tylu latach doszło między małżonkami do aktu seksualnego, ci odpowiedzieli zgodnie, że w sumie to potrzebowali tego czasu, aby wszystko przemyśleć i tak naprawdę, to wcale nie chcą się rozwodzić.

Klasyyczny niemal był przypadek, kiedy jedna ze stron kategorycznie upierała się przy tym, że nie da drugiej stronie rozwodu, podając dziwne, wyimaginowane powody, w stylu Duch Święty albo kosmici się na to nie zgadzają. Ludzka wyobraźnia nie znała granic. A sądy rozwodowe były absurdem w czystej postaci.

Aldona dziwiła się samej sobie, że zachowuje jeszcze jako takie zdrowie psychiczne.

Lucyna zareagowała na nowe dowody dość spokojnie. Siedziała na ławie, zagryzając zęby i nie dając po sobie poznać, że we wnętrzu gotuje się ze złości. Zastanawiała się, skąd Krzysztof zdobył dowody przeciwko niej? Czyżby Waldemar Komar ją zdradził?

Spojrzała wymownie na Lewartowskiego.

– Wysoki sędzie – stary mecenas wstał. – Jeśli nawet strona powoda posiada jakieś materiały w sprawie, to potrzebujemy dodatkowego czasu, aby się z nimi zapoznać.

Nagle zarówno mecenas Lewartowski, jak i Koryńska stracili cały rezon, który był z nimi przez pierwszą godzinę rozprawy. Każdy prawnik wiedział, że w podobnej sytuacji trzeba przede wszystkim minimalizować straty, zanim na sali sądowej wydarzy się coś, co będzie potem niemożliwe do odkręcenia. W tym celu należało odroczyć rozprawę do czasu rozpoznania dowodów. Tak naprawdę chodziło tylko o zwłokę potrzebną do zastanowienia się nad dalszymi posunięciami.

Lewartowski chciał już wstać, aby poprosić o odroczenie rozprawy, kiedy w drzwiach sali pojawił się mężczyzna w garniturze. Podszedł do sędziny

i zameldował coś na ucho. Goliat mruknęła cicho, po czym kiwnęła głową z aprobatą. Chwilę później urzędnik wyszedł z sali rozpraw, a w progu pojawili się policjanci kryminalni z prokuratorem Marianem Suskim na czele.

Nieliczni uczestnicy rozprawy zebrani na sali wydali pomruk niezadowolenia. Dominika Figiel wstała z miejsca i obserwowała całe zdarzenie z szeroko otwartymi oczyma. Prokurator Suski podszedł do Kortyńskiego i powiedział:

– Aresztuję pana pod zarzutem morderstwa Waldemara Komara i molestowania seksualnego córki, Wiktorii Kortyńskiej.

W pierwszej chwili Krzysztof i jego adwokat sądzili, że to jakaś kolejna sztuczka przygotowana przez Lucynę. Policjanci skuli mężczyznę i wyprowadzili z sali. Kortyński był tak osłupiały, że nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Zdążył jeszcze spojrzeć w oczy Dominice, która wyglądała na równie zaskoczoną.

Lucyna siedziała niewzruszona ze spuszczoną głową. Tym razem zamiast uśmiechu na twarzy, można było ujrzeć bezkształtną maskę, jakby odlaną z wosku.

ROZDZIAŁ 26

Prokurator Marian Suski wrócił do domu bardzo późno. Żona, która również była prokuratorem, siedziała przy laptopie i pracowała.

– Nie śpisz jeszcze? – zapytał Marian. Zdjął stary garnitur i włożył piżamę i kapcie.

– Mam masę zaległej papierkowej roboty – odpowiedziała Marta, popijając herbatę z sokiem malinowym.

Stare małżeństwo Suskich mieszkało w domu na Pradze. Nigdy nie dorobili się dzieci, bo po prostu nie mieli na nie czasu. Nawet teraz, kiedy oboje z małżonką byli już w kwiecie wieku, wcale nie tęsknili za gwarem w domu i gromadką pociech. Było im wygodnie, a praca, której poświęcali niemal całe życie, zajmowała ich do reszty. Zresztą, oboje traktowali ją niczym posłannictwo, naprawianie świata. Dziwili się sami sobie, że po tylu latach mieli jeszcze takie nastawienie do prawa, które tyle razy w życiu ich zawiodło. Zdawali sobie sprawę, że wiele jeszcze jest do zrobienia a polskiemu wymiarowi sprawiedliwości daleko do doskonałości. Może problemem byli obywatele, którzy potrafili rocznie złożyć sześć milionów wniosków do sądów różnych instancji?

– Jest do ciebie jakiś list z Czech – rzuciła.

– Z Czech? – zdziwił się Suski.

Wziął kopertę leżącą przy lustrze w przedpokoju, otworzył ją i wyciągnął kartkę z listem wydrukowanym na komputerze.

„Piszę do ciebie, bo ostatnio dostałem dziwną informację od Zdenka. Nie wiem do końca, jak interpretować jego przekaz, ale obawiam się, że możemy mieć kłopoty. Zdenek sugeruje, że jego zła sytuacja materialna, po części wynika z naszej winy. Nie wiem, czy powinieneś potraktować niniejszy list jak ostrzeżenie, ale miałbym nieczyste sumienie, gdybym ci o tym nie napisał. Jeszcze się odezwę. I uważaj na siebie.

Petr”

– Od kogo to? – zapytała Marta.

– Od ojca – skłamał Suski. – Chce do nas przyjechać.

– Nie mógł po prostu zadzwonić? – zdziwiła się kobieta.

– Wiesz, jaki on jest.

Suski patrzył w płomień pełgający w kominku i zastanawiał się nad treścią otrzymanego listu. Zmrużył oczy, próbując przypomnieć sobie dawne czasy, kiedy mieszkał w Czechach. Potrząsnął głową, jakby chciał odgonić dręczące myśli, podał list i wrzucił go do ognia.

ROZDZIAŁ 27

Lucyna Kortyińska wyszła z biura i udała się na podziemny parking. Wsiadła do pojazdu i ruszyła w kierunku placu Wilsona. Jakimś cudem udało jej się znaleźć wolne miejsce do zaparkowania. Zignorowała parkometr i ruszyła w stronę niewielkiej włoskiej knajpki. Usiadła przy stoliku i zamówiła kawę. Zaledwie kilka minut później pojawił się Piotr Wędzikowski. Ujrawszy Lucynę, skinął ręką i usiadł naprzeciwko. Zamówił sok pomarańczowy i spojrzął na kobietę z dziwnym znakiem zapytania w oczach.

– Chciałaś się ze mną widzieć?

– Wiesz, że aresztowano Krzysztofa?

– Nie – odpowiedział, nachylając się w stronę Lucyny.

– Oskarżają go o zabicie jakiegoś mężczyzny i molestowanie Wiktorii – tłumaczyła Kortyińska, ścisząc głos.

– Zabójstwo i molestowanie? – zapytał zdziwiony Piotr.

Lucyna przytaknęła.

– To spory kaliber zarzutów – stwierdził mężczyzna nie bez satysfakcji. – Czego ode mnie chcesz?

– Chciałabym się dogadać ponad podziałami. Mamy wspólnego wroga – tłumaczyła Lucyna.

Wędzikowski uniósł brwi.

– Chcę zemsty tak, jak ty. Masz kontakty. Chciałabym uprzykrzyć Krzysztofowi życie w więzieniu.

– Pedofile i tak nie mają w pierdłu łatwego życia – stwierdził Wędzikowski.

– Krzysztof ma pieniądze. Załatwi sobie wyjście za kaucją albo przynajmniej odrębną celę. Chciałabym mu pokazać, do czego zdolna jest zraniona kobieta. Trzeba go postraszyć, niech usunie się w cień.

– Nie poznaję cię – uśmiechnął się Wędzikowski. Zatarł ręce i upił łyk soku. – Skąd w tobie tyle jadu? Co ten człowiek ci zrobił?

– Zniszczył najpiękniejsze lata mojego życia i chciałabym, aby poniósł za to karę. Chcę tylko sprawiedliwości, czy to tak wiele?

Piotr pogładził się po brodzie, przetarł kąciki ust i odpowiedział:

– Będę potrzebował pieniędzy, żeby opłacić kilka osób.

– O to nie musisz się martwić – powiedziała Lucyna, dopijając kawę.

ROZDZIAŁ 28

Krzysztof Kortyński trafił do aresztu śledczego na warszawskim Mokotowie. Wsadzono go do jednej celi z dwoma podejrzanymi typkami. Jeden był stary, chudy i niski. Typ klasycznego żuła o zniszczonej alkoholem, a może nawet narkotykami, twarzy. Po jego tatuażach, wykonanych niebieskim barwnikiem, od razu widać było, że za kratami spędził większą część życia. Był to zapewne jeden z grypsujących gitludzi, którzy w więziennym świadku mieli poważanie. Pozostali więźniowie, którzy nie grypsowali, nazywani byli frajerami i traktowani niczym podludzie. Był to wielki problem wśród osadzonych z niskimi wyrokami, którzy jak najszybciej chcieli odsiedzieć swoje. Zwykle próbowali unikać przestępczego świata grypsujących i z tego powodu musieli znosić liczne szkalowania. Pobicia, znęcanie się psychiczne i gwałty należały do porządku dziennego. Dość często skazany na banicję frajer wreszcie pękał i przechodził na drugą stronę barykady. I tu zaczynał się kłopot, ponieważ grypsujący traktowani byli niczym recydywiści. Nie było mowy o przedwczesnym zwolnieniu czy łagodniejszym traktowaniu przez wymiar sprawiedliwości, a najczęściej więzień taki pozostawał za kratami już do końca życia.

Drugi ze zbirów był dokładnym przeciwieństwem żuła. Młody, wysoki, barczysty, stanowił rodzaj mięśniaka, z którego twarzy biła bezdenna głupota.

Zanim strażnik zamknął drzwi celi, Kortyński zdołał jeszcze wymamrotać:

– Chcę się zobaczyć z adwokatem. Natychmiast!

Strażnik zignorował prośbę więźnia, zamknął drzwi na klucz i oddalił się.

Kortyński usiadł na wolnej pryczy i ukrył twarz w dłoniach, nie chcąc patrzeć na twarze współwięźniów. Nigdy nie był w podobnym miejscu, ale z lektury książek miał mętne pojęcie, jak nieciekawie wygląda więzienna rzeczywistość.

– Witamy serdecznie dzieciojebcę – odezwał się starszy więzień, ukazując krzywe, zepsute zęby.

Kortyński zignorował słowa chudego mężczyzny. Położył się na pryczy i leżał nieruchomo, patrząc w ścianę.

– Wiesz, co cię czeka w pierdlu? – zapytał starszy.

– To nie dzieciojebca, tylko córkojebca. A to znacznie gorzej – dodał młodszy, głupio się uśmiechając.

Krzysztof zdawał sobie sprawę, jak traktowani są więźniowie posądzeni o pedofilię. To już nie był podgatunek jak frajerzy, tylko coś pomiędzy robakiem a szmatą do wycierania najgorszych rzygowin i ekskrementów.

– Wstań i popatrz na mnie, jak do ciebie mówię – powiedział starszy.

Kortyński ponownie usiadł na pryczy i spojrział na chudego. Zupełnie nie wiedział, jak ma się zachować. Czy patrzeć więźniowi prosto w oczy, czy może spoglądać na ziemię, pokazując uległość?

– Jestem niewinny. To pomyłka – powiedział Krzysztof, zastanawiając się, jakim cudem ci zwyrodnialcy dowiedzieli się, o co został oskarżony.

O ile bezpodstawne zarzuty Wiktorii o molestowanie seksualne, bez wątplenia były sprawką Lucyny, to zupełnie nie miał pojęcia, kto mógł go wrobić w morderstwo. Z drugiej strony, wrogów przecież miał bez liku, wielu z nich ucieszyłoby się, widząc Kortyńskiego w więzieniu. Przecież to było istne szaleństwo. W głowie Krzysztofa dudniły słowa żony:

„Zniszczę cię. Zobaczysz, do czego jestem zdolna”.

Na twarzach więźniów pojawił się uśmiech, który stopniowo przeistoczył się w rechot. Śmiali się przez kilkanaście sekund, robiąc przy tym głupie miny. Kortyńskiemu zupełnie nie było do śmiechu.

– Opowiem ci pokrótce, jaka czeka cię przyszłość – tłumaczył chudy. Usiadł obok Krzysztofa i objął go ramieniem. Dotykał jego szyi, potem torsu, szczerząc zgniłe zęby. – Będziesz kurwą na każde zawołanie. Jeśli którykolwiek z więźniów będzie potrzebował sobie ulżyć, stawisz się na rozkaz. Na początku pewnie będzie bolało, potem się przyzwyczaisz. Człowiek ma taką dziwną cechę, że jest się w stanie przyzwyczaić do absolutnie wszystkiego. To chyba dlatego opanowaliśmy całą Ziemię. No nie, młody?

Mięśniak roześmiał się, będąc zapewne pod wrażeniem niespotykanej inteligencji szefa.

– Po tym – kontynuował chudzielec – jak wszystkie otwory w twoim ciele zostaną odpowiednio rozepchane, może nawet będzie ci to sprawiało przyjemność. Kto wie? Może nawet przyjdzie taki moment, że będziesz nas z nudów błagał o małe dymanko.

– Jest też druga, gorsza opcja – wtrącił się młodszy. Stał przed Kortyńskim i grzebał sobie ręką w spodniach. – Jeśli trafisz na jakiegoś cwaniaka, to zatłucze cię na śmierć.

Kortyński nie odpowiedział, patrzył w podłogę, licząc, że zbiry dadzą mu wreszcie spokój. Niestety, nadzieje okazały się płonne.

– Skoro już się sobie przedstawiliśmy, w ramach ćwiczeń, zrobisz mojemu koledze laseczkę – wypalił młody. Złapał Kortyńskiego za rękę i pociągnął.

W tym momencie Krzysztofowi puściły nerwy. Rzucił się z pięściami na osiłka. Wyprowadził cios, który trafił przeciwnika w łuk brwiowy. Na tyle szczęśliwie, że niemal od razu trysnęła krew. Stary więzień zerwał się na równe nogi i zaatakował z impetem. Jego niewielka masa sprawiła, że Kortyński zdołał odparować cios i wyprowadzić kopniaka, który wylądował na kolanie chudzielca, sprawiając, że ten upadł na ziemię. Krzysztof chciał się odwrócić, aby zobaczyć, w jakim stanie jest młodszy z więźniów, kiedy kątem oka dostrzegł wielką pięść. Potężny cios w szczękę zwalił go z nóg. Następnie poczuł jeszcze dziesiątki kopniaków lądujących na całym ciele. Napastnicy bili bez opamiętania. Kortyński mógł jedynie zwinąć się w kłębek i osłaniać głowę. Kilka sekund później, leżał na ziemi, brocząc we krwi.

ROZDZIAŁ 29

Krzysztof Kortyński siedział na krześle i dygotał niczym po ataku febry. Obita twarz i siniaki pod oczami, nie pozostawiały wątpliwości, że więzienie nie jest pensjonatem dla kuracjuszy. Patrzył przez szybę na adwokata, Tomasza Jędrzejczaka, trzymającego w ręku słuchawkę.

– Złożyłem wniosek o kaucję, ale został odrzucony – tłumaczył prawnik.

Kortyński westchnął ciężko, po czym zapytał:

– Musisz mnie stąd wyciągnąć. Nie przeżyję tu kolejnego tygodnia. Dam ci namiar na mojego pracownika. Da ci tyle pieniędzy, ile będziesz potrzebował. Musisz mnie wyciągnąć. Słyszysz?

Kortyński uniośł rękę i dotknął się w okolicach policzka. Grymas bólu przeszedł mu po twarzy.

– Mam wrażenie, że ktoś blokuje decyzje w prokuraturze i sądzie – tłumaczył Jędrzejczak.

– To ta kurwa, moja żona – powiedział Kortyński. – Ona mi nie odpuści. Najchętniej przyszłaby na mój pogrzeb, żeby świętować zwycięstwo. Ale jeszcze się zdziwi. Zemszczę się po tysiącokroć. Poświęcę całe życie, aby ta suka nie zaznała spokoju.

Kortyński wyszczerzył zęby w przerażającym uśmiechu. W jego oczach widniało szaleństwo. Jędrzejczak, widząc, w jak opłakanym stanie jest jego klient, przestraszył się jeszcze bardziej. Do czego zdolny jest człowiek, palający nienawiścią?

– Robię, co w mojej mocy, aby cię stąd wyciągnąć. Wiesz, jakie jest nasze prawo. – Tomasz przez chwilę sam nie wierzył w to, co mówi. Chyba nie liczył, że ta wyświechtana regułka, którą wciska niemal każdemu klientowi, miała Krzysztofa uspokoić?

– Musisz przynajmniej załatwić mi osobną celę. Użyj wszystkich wpływów i załatw mi izolatkę. – Kertyński patrzył błagalnym wzrokiem na adwokata, ledwie powstrzymując łzy.

Jędrzejczak nienawidził takich sytuacji. Gdyby, idąc na studia prawnicze, ktokolwiek powiedział mu, że będzie musiał uczestniczyć w podobnych rozmowach, zapewne wybrałby informatykę albo administrację państwową. Patrzył ciężkim wzrokiem na Kertyńskiego, nie znajdując dla niego słów pocieszenia.

– Ja nie zabiłem tego Komara – tłumaczył Krzysztof. – Przecież sam wiesz. Wynajęliśmy go, żeby mieć na Lucynę haki. To miała być nasza polisa ubezpieczeniowa, a teraz wpadliśmy w jej sidła. To musi być jej sprawka. Pewnie nas przejrzała. Zrób coś. Powiedz sędzinie, że to myśmy to wszystko uknuli. Znajdź jakieś dowody, dzięki którym mnie stąd wyciągną.

Adwokat przytaknął i zmrużył oczy.

– Cały czas nad tym pracuję. Potrzebuję trochę czasu, aby coś znaleźć.

– A co z Wiktoria? Jak ona mogła mi to zrobić? – po policzku Kertyńskiego popłynęła łza, którą mężczyzna natychmiast wytarł. Zdawał sobie sprawę, jak potraktują go współwięźniowie, kiedy dowiedzą się, że dzieciojebca to w dodatku wrażliwy mazgaj.

– Ten zarzut można byłoby obalić tylko wtedy, gdyby pańska córka cofnęła zeznania. Tego typu sprawy traktowane są przez prokuraturę bardzo poważnie – tłumaczył Jędrzejczak.

– Ale przecież to wszystko wierutne kłamstwa. Lucyna musiała przekonać Wiktoria, aby zeznawała przeciwko mnie. Co ja jej takiego zrobiłem, że posądza mnie o takie rzeczy. Może nie dogadywaliśmy się ostatnio najlepiej, ale molestowanie? – słowa utknęły Krzysztofowi w gardle.

– Spróbuję jakoś dotrzeć do Wiktorii, ale może to być trudne – tłumaczył adwokat. – Lucyna zatrudniła ochroniarzy, którzy pilnują zarówno jej, jak i Wiktorii. No i jest jeszcze ta gosposia, która nie spuszcza dziewczyny z oczu.

– Czy ty aby czasem? – zapytał Kertyński, podnosząc głowę.

– Co? – zdziwił się Jędrzejczak.

Krzysztof spojrział na adwokata, mrużąc oczy.

– Przekupiła cię? – wypalił.

– Zwariowałeś, przecież znamy się od lat – tłumaczył adwokat.

– Ile ci dała?

– Powtarzam ci raz jeszcze, że mnie nie przekupiła. Nawet z nią nie rozmawiałem.

– Ty skurwysynu – powiedział Kortyński i odłożył słuchawkę. Wstał z krzesła, po czym dał strażnikowi sygnał, że to już koniec wizyty.

Tomasz Jędrzejczak siedział jeszcze przez kilkanaście sekund, nie mogąc się otrząsnąć. Wreszcie wstał i zrezygnowany ruszył w stronę wyjścia.

ROZDZIAŁ 30

Drzwi celi otworzyły się i Krzysztof Kortyński został wyprowadzony przez strażnika więziennego na korytarz. Zmierzali w kierunku sali widzeń.

– Dostaniesz odrębną celę – szepnął klawisz. – Ale tak, jak się umawialiśmy, za pięć tysięcy.

– Wiesz, że mam kasę – odpowiedział Kortyński. – Musisz tylko podczas widzenia machnąć ręką na przemycany towar.

– Da się zrobić – powiedział klawisz. – Właśnie ktoś cię odwiedził, będziesz miał okazję załatwić kasę.

Strażnik wraz z Kortyńskim weszli do pokoju widzeń. Po drugiej stronie siedziała Dominika Figiel. Z postawionymi do góry blond włosami jak zawsze wyglądała pięknie i pociągająco. Dla Kortyńskiego nie miało to jednak najmniejszego znaczenia. Kobieta siedząca za szybą była jedyną osobą, której mógł zaufać. Wszyscy inni byli przeciwko niemu.

– Cześć – rzuciła do słuchawki Figiel, nie za bardzo wiedząc, jak zacząć rozmowę.

– Cześć. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że tu jesteś – powiedział Kortyński. Siniaki na jego twarzy przybrały kolory zieleni i fioletu, co sprawiało, że wyglądał niczym pomalowany flamastrami.

– Widziałam cię w lepszej formie – stwierdziła.

– Miałem w życiu lepsze momenty – przyznał. – Potrzebuję pomocy.

– Mów, zobaczę, co da się zrobić.

– Musisz przycisnąć moją córkę. Rano niańka odwozi ją do szkoły, potem po nią przyjeżdża i zabiera do domu. We wtorki i czwartki ma basen od godziny dwunastej. Obiekt jest dostępny również dla osób z zewnątrz. Zaczaj się na nią w szatni i spraw, by odwołała zeznania.

Figiel mruknęła z aprobatą. Przeczesiała dłonią włosy, wyduła usta i dodała:

– Zobaczą, co da się zrobić.

– I uważaj, ponoć Lucyna wynajęła ochronę, żeby pilnowali Wiktorii.

– Jestem dziennikarką. Mam swoje sposoby – uśmiechnęła się Dominika.

– Wiem, że sobie poradzisz. Dużo gorzej będzie z tym Komarem – ciągnął Kertyński. – To ja sam go wynajęłem, aby sprawdzić, czy Lucyna jest mi wierna. Chciałem poddać ją próbie. A ta suka puściła się przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Ty też nie jesteś bez winy – stwierdziła Figiel.

– Jak już dowiedziałem się, że mnie zdradza, postanowiłem pójść za ciosem. Zrobiliśmy trochę fotek, aby mieć je na wypadek, gdyby Lucyna zaczęła podsłukiwać. Czuję, że przyjdzie taki moment, kiedy te zdjęcia uratują mi życie. Nie sądziłem jednak, że ona tego Komara zabije.

– Może chciała zatrzeć ślady? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Dominika. – Masz pewność, że to Lucyna go zabiła?

– A kto inny? – zapytał Kertyński.

– A choćby ten, kto zabił tę Filiańską – rzuciła dziennikarka.

– Kurwa mać. To wszystko jest popierdolone. Teraz jeszcze zrobią mnie w zabójstwo Jagny. – W głosie Kertyńskiego dało się wyczuć autentyczny strach.

– Nie zdziwiłabym się.

– Musisz śledzić Lucynę. Ona jest nieostrożna, na pewno popełni jakiś błąd.

– Niczego nie obiecuję... – Kobieta zawiesiła głos.

– W tobie jedyna nadzieja. Ta suka Lucyna opłaca wszystkich dookoła. Przekupiła nawet mojego adwokata.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wiele mogliby sobie zarzucić. Żadne z nich nie było typem potulnego baranka, nadstawiającego drugi policzek. Czerpali z życia pełnymi garściami, zdając sobie w pełni sprawę z tego, jak nieczystą jest gra. Wszyscy ci, którzy mieli skrupuły i moralność, łądowni w najlepszym razie w klasie średniej. Dominice i Krzysztofowi obca była szara masa, która co rano wstawała do pracy, aby dać się wykorzystywać

szefom. Kupująca meble w IKEI, rodząca dzieci i biorąca kredyty, aby napychać kabzę bogatym. Żyjąca z dnia na dzień, byle dobić jakoś do piątku, zalać robaka albo pójść na spacer z dziećmi. Jeżdżąca raz w roku na zasłużony urlop na Mazury, czasem nawet na Teneryfę, gdzie upijała się w trupa, puszczając pawie, jak dostаточно im się żyje.

Dominika i Krzysztof stali w hierarchii ponad nimi. I bynajmniej nie ze względu na status materialny. Chodziło o brak oporów, kiedy na szali postawione było dobro bliźniego. Należało przejechać po nim niczym czołg. Koszty nie miały większego znaczenia. W końcu każda wojna wymaga ofiar.

Patrzyli sobie w oczy i rozumieli się bez słów. Połączeni niewidzialną nicią pożądania, zauroczenia, a może również szacunku. I choć zdawali sobie sprawę, że nigdy nie będą razem, jakaś niewidzialna siła przyciągała ich do siebie. Może to właśnie był ten zwierzęcy magnetyzm?

– I jeszcze jedno – dodał Kortyiński.

– Tak?

– Przynieś mi nowy bochenek chleba i kapustę – powiedział, łypiąc okiem. – Zgłoś się do mojego pracownika, wiesz którego. On ci wszystko przygotuje. I odwiedź mnie jutro.

Dominika nie potrzebowała dodatkowych tłumaczeń. Trudno było powiedzieć, czy słuchawki, przez które rozmawiali, były na podsłuchu, czy może obserwowani byli jedynie przez kamery umiejscowione w rogach pokoju.

– Przyjdę – powiedziała i posłała Krzysztofowi całusa.

Odprawdzając Dominikę wzrokiem, wiedział, że jest jego jedyną szansą na wolność.

ROZDZIAŁ 31

Burza mózgów na komendzie trwała już od godziny. Dwa dzbanki kawy, stojące na stole, świadczyły dobitnie, że posiedzenie szybko się nie zakończy.

Suski przechadzał się po pokoju, niczym Sherlock Holmes, próbując podrzucać policjantom nowe fakty dotyczące przebiegu śledztwa.

– Żeby przypadkiem nie było zbyt łatwo, wczoraj przyjechał do mnie mój ojciec z Czech. Chce, żebym wziął urlop i pojechał z nim do aquaparku – wypalił nagle Marian.

Policjanci zdziwili się tak niecodziennym wynurzeniem prokuratora, który nigdy nie dzielił się sprawami z prywatnego życia.

– Do aquaparku? – zapytała Marzena. Wtarła błyszczczyk w usta i usiadła na krześle, prezentując zgrabne nogi. – A ile twój ojciec ma lat?

– Siedemdziesiąt trzy. Może to nawrót kryzysu wieku średniego?

– A jest coś takiego? Jeśli twój ojciec chce z tobą jechać, to weź urlop i jedź z nim – zaproponował Trygar. – Gdyby moje dziecko mi coś takiego zaproponowało, nie wahałbym się ani chwili – dodał.

– Stary pierdziel, chyba mu odbiło. Nie wezmę urlopu w decydującej fazie śledztwa – narzekał Marian.

– Przecież zawsze jest decydująca faza. Zresztą masz tych śledztw bez liku – zauważył Foltiński.

– Dobra – urwał Suski. – Przestańmy o tym rozmawiać i kontynuujmy analizę tego, czego udało nam się dowiedzieć w sprawie pana V.

– Protokoły techników, analizy medyczne, raporty z miejsca zbrodni – wymieniał Tymon, kartkując strony z segregatora.

– Cheiloskopia? – zapytał Marian.

– Nic. Na kieliszku są tylko usta Waldemara Komara, ktoś nad wyraz dobrze umył szkło.

– Daktyloskopia?

– W salonie są odciski palców połowy Warszawy. Krzysztofa Kortyńskiego również.

– A odciski Piotra Wędzikowskiego, Lucyny Kortyńskiej albo przynajmniej tej Jagny Filiańskiej? – dopytywał Marian.

– Brak. Ślady daktyloskopijne ewidentnie wskazują na Kortyńskiego.

– Wiemy, że przebywał w tym salonie od czasu do czasu. Nic dziwnego, że są tam jego odciski palców – stwierdził Trygar.

– Inna sprawa, że codzienne sprzątanie powinno te ślady usunąć – dodała Marzena Gibała.

– Mikroślady? – kontynuował Suski.

– Nic specjalnego, zabójca musiał używać rękawiczek i stroju medycznego. Znaleźliśmy kilka pikogramów gumy i bawełny na ciele Komara. Nie licząc śladów po oparzeniach. Ktoś go nieźle tymi kamieniami obłożył.

– A jaka była bezpośrednia przyczyna zgonu? – zapytał Suski. Zawrócił tuż przed drzwiami i ruszył w stronę dzbanka z kawą. Nalał sobie czarnego płynu do kubka i upił kilka łyków.

– Jad kobry królewskiej – wymamrotał Tymon, wczytując się w protokół lekarza medycyny sądowej.

Na twarzy Trygara i Gibały odmalowało się zdziwienie.

– Został ugryziony? – zapytał Rafał.

– Nie. Podczas sekcji zwłok znaleziono dwa ślady nakłucia w okolicach uda i pośladka. Nie znaleziono żadnych igieł czy strzykawek. Zabójca najwyraźniej musiał przynieść jad kobry królewskiej ze sobą.

– Spróbujemy prześledzić przebieg zdarzenia – zaproponowała Gibała. – Chciałabym to sobie wyobrazić. Może coś przeoczyliśmy.

– Żaden problem – odezwał się Tymon. – Waldemar Komar przyszedł do SPA, jednak najwyraźniej nikogo tam nie zastał. Świadczą o tym dwa kieliszki przy jacuzzi.

– Może czekał na Lucynę Kortyńską? – zapytał Trygar.

– Załóżmy, że tak – stwierdził Marian.

– I co? Kortyńska przyszła do Komara do jacuzzi i zaproponowała mu zawijanie w folię? – zapytał Rafał.

– To się nazywa body wrapping – dodała Marzena, krzyżując ręce na piersi.

– Waldemar musiał poddać się temu zabiegowi z własnej woli. Trudno mi sobie wyobrazić, aby Lucyna, czy nawet dobrze zbudowany mężczyzna, dał radę zawinąć Komara siłą – zastanawiał się głośno Rafał.

– A może było inaczej – przerwał Suski. – Może zabójca jakimś sposobem wstrzyknął nieco jadu Komarowi, aby go zmiękczyć. Dopiero potem zaciągnął go na stół do masażu i zawinął w folię.

– To możliwe, choć technicy twierdzą, że nie widać śladów walki. Gdyby sprawca wstrzyknął Waldemarowi jad, ten zapewne miotałby się jak poparzony, zanim trucizna zaczęłaby działać – stwierdziła Gibała.

– Czyli konkluzja jest taka, że nie wiemy, kto i jak wstrzyknął jad w ciało Waldemara Komara – podsumował prokurator. – A co z drugim nakłuciem?

– Najprawdopodobniej druga dawka jadu była bezpośrednią przyczyną śmierci Komara. To neurotoksyna, która paraliżuje komórki nerwowe, w związku z czym ofiara po prostu się dusi. Straszna śmierć – podsumował Tymon, posiłkując się opisem medyków.

– Czemu miały służyć tortury kamieniami, którym poddawany był Komar? – zapytała Marzena.

– Czystej przyjemności. Mam tu opis profilu psychologicznego zabójcy przygotowany przez profilerę. Wynika z niego, że sprawcą najprawdopodobniej nie mogła być Lucyna Kortyńska. Poddano ją badaniom psychologicznym i choć ma zapędy psychotyczne, raczej nie jest skłonna do sadyzmu – tłumaczył Tymon.

– Pieprzenie. Widziałem już tyle analiz profilerę i rzadko kiedy były one trafne. Jak dla mnie to czyste wróżbiarstwo. Pięćdziesiąt procent szans na zwycięstwo – stwierdził Rafał.

– Nie podważaj tych metod, stosowane są w kryminalistyce od dawna i są pełnoprawną metodą badawczą. – Suski miał w zwyczaju zmieniać się w urzędnika i wygłaszać małe przemówienie w policyjnej nowomowie.

Funkcjonariusze przyzwyczajeni byli do tego, że prokurator, niczym dobry belfer, lubił ich od czasu do czasu pouczać.

– Traseologia, termoskopia, palinologia? – dopytywał Suski.

– Nic – odpowiedział Foltyński.

– Kurwa, to może chociaż osmologia?

– Pies? – zdziwiła się Marzena.

– A czemu nie? Może gdzieś nas zaprowadzi – wypalił Marian.

– W Warszawie? – zdziwił się Trygar.

Wszyscy popatrzyli po sobie z wyrazem zaskoczenia na twarzach.

– Dobra, dla świętego spokoju zlecę osmologię – powiedział Tymon.

– A co z tą kobłą królewską? Sprawdziliście ten trop? – zapytał Marian.

– Ustawa o ochronie przyrody reguluje, jakie zwierzęta można hodować w domach. Każdy posiadacz egzemplarza zaliczanego do gatunku egzotycznego, powinien zgłosić swojego pupila w urzędzie gminy. Musi też udowodnić jego pochodzenie i uiścić opłatę skarbową – tłumaczył Foltyński.

– Po co nam to opowiadasz? – zapytała Gibała.

– Na terenie Warszawy zarejestrowanych jest dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt kobr królewskich – dodał starszy aspirant.

– Aż tyle? – zdziwiła się Marzena, potrząsając głową z obrzydzeniem.

– Nie lubisz obślizgłych zwierzątek? – zapytał Trygar. – A ja sądziłem, że przepadasz za nimi.

– Przestań, bo nie będę cię prowadziła w salsie i połamiesz sobie nogi – wypaliła Gibała.

– Dobra. Milknę.

– Zobaczysz, jeszcze wystartujesz w tanecznych mistrzostwach świata dla emerytowanych policjantów – naśmiewała się Marzena.

– I co z tymi węzami? – urwał Rafał.

– W miarę możliwości sprawdzimy właścicieli gadów. Obawiam się jednak, że co najmniej drugie tyle kobr królewskich wcale nie jest zgłoszonych do urzędu gminy. Ludzie trzymają je w domach, na działkach czy w ogródkach, żeby pochwalić się sąsiadom – stwierdził Foltyński.

– Albo jako straszak – dodał Suski. – A można gdzieś kupić taką kobrę?

– Dzisiaj wszystko można kupić. Dlatego właśnie nie liczę na ten trop – powiedział Tymon. – Zastanówmy się raczej nad *modus operandi* mordercy. Mam kilka poszlak, które moim zdaniem powinniśmy rozważyć.

Marian Suski zatrzymał się w połowie sali, odwrócił i spojrzął na Foltińskiego spod oka. Wreszcie skinął ręką, niczym król, który zezwala na zabranie głosu przez poddanego.

– Nie mogłeś od razu od tego zacząć? – powiedział.

– Nie chciałem wprowadzać chaosu do agendy spotkania.

– Chaos już jest, trudno o większy. Mów, co znalazłeś – ponaglał Suski.

– Zastanawiałem się nad znakiem pozostawionym przez zabójcę. Gdyby założyć, że sprawcą obu morderstw jest ta sama osoba, to wyłania nam się agresywny, dobrze zbudowany mężczyzna, który w dodatku jest fanem jadowitych węży. Świadczy o tym odcisk traseologiczny buta pozostawiony w mieszkaniu Jagny Filiańskiej. Połączyłem to ze znakiem V i dostrzegłem pewne analogie. Otóż znak ten ma całkiem sporo powiązań z mitologią, ciemną stroną ludzkiej duszy, a w skrajnym przypadku nawet z satanizmem Antona Szandora Laveya.

Suski zdziwił się, podobnie jak pozostali funkcjonariusze.

– Zauważcie, że to wszystko dobrze się ze sobą łączy. Ten rodzaj satanizmu utożsamia człowieka ze zwierzęciem, którego głównym celem jest zaspokajanie własnych żądz. Oczywiście sataniści działają obecnie zgodnie z prawem. Uważają, że Boga nie ma, a ludzie sami dla siebie są bogami. Człowiek musi dążyć do doskonalenia samego siebie, bez oglądania się na innych. Poza tym, skoro nie ma Boga ani szatana, nie ma również grzechu. To czysto teoretyczne pojęcie stworzone przez człowieka. Grzeszenie zresztą nie jest niczym złym, ponieważ również pojęcie dobra i zła nie jest dzisiaj oczywiste. Wszystko jest względne i zależy od punktu siedzenia.

– Mógłbyś do rzeczy, bo zaczynamy się gubić – pospieszał Suski.

– Te morderstwa popełnione były w sposób brutalny, siłowy, przy użyciu noża albo jadu zwierzęcia. To jednoznacznie wskazuje na profil psychologiczny mordercy. Zresztą profiler stwierdził dokładnie to samo, co ja.

Mamy do czynienia z psychopatycznym umysłem, zaślepionym w dodatku brutalną siłą i brakiem zasad etycznych.

– Czyli opis pasuje do połowy mieszkańców Warszawy – podsumowała Marzena.

– Szukamy satanisty? – zapytał Suski z przekąsem w głosie.

Rafał spojrział na Marzenę potem na Tymona. Mało brakowało, a wybuchnąłby gromkim śmiechem.

– To może zacznijmy od jakiegoś ruchu satanistycznego i tam poszukajmy zabójcy? – zażartowała Gibała.

– Kłopot w tym – odpowiedział Foltynski – że w Polsce formalnie nie działa żaden ruch satanistyczny.

– Nie ma satanistów, nie będzie zabójcy – zażartował Trygar.

Foltynski wyczuł, że koledzy i koleżanka nie traktują jego przemyśleń poważnie. Może faktycznie trudno byłoby sobie wyobrazić, że po Warszawie biega wyznawca szatana zabijający ludzi. Tymonowi chodziło bardziej o ukazanie psychologicznej twarzy mordercy, który uważał, że żaden bóg, szatan czy inna siła wyższa nie zstąpi z niebios i nie ukarze ludzi za ich czyny. A najgorsi zwyrodnialcy tego świata nigdy nie zostaną osądzeni. Chyba że sam człowiek wymierzy bliźniemu sprawiedliwość. Może taki właśnie przekaz chciał obwieścić światu morderca, zostawiając przy ofiarach znak V.

– Jedźmy dalej. Co jeszcze? – kontynuował Suski.

– Zastanawiam się nad motywem Krzysztofa Kortyńskiego – wtrąciła się Marzena. – Okazało się, że to on wynajął Waldemara Komara, aby ten przespał się z jego żoną.

– To chore. Testowanie wierności? – stwierdził Suski. – A najgorsze jest to, że jak grzyby po deszczu powstają firmy, które świadczą takie usługi.

– Ponoć powstają firmy, które takim usługom przeciwdziałają – dodała Gibała.

Suski parsknął.

– Jaki motyw miałby Kortyński, aby zabić Komara? – zapytała policjantka.

– Lepszy motyw miałyby Lucyna Kortyńska. Dowiedziała się, że Komar pracuje dla męża i się go pozbyła, żeby zatrzeć ślady – zastanawiał się głośno Trygar, gładząc się po brodzie.

– Przede wszystkim Kortyńska ma alibi, a Kortyński nie. Lucyna była tej nocy w domu z córką – dodał Tymon.

– Przecież nie musiała zabijać osobiście. Mogła się kimś wysłużyć. Stać ją zapewne na wynajęcie płatnego zabójcy. I przede wszystkim z zachowania tej pani od razu widać, że zdolna byłaby do takiego czynu – dywagowała Gibała. – Mam wrażenie, że ta kobieta zrobi wszystko, aby zniszczyć swojego męża.

– Dlaczego? – zapytał Tymon.

– Z zawiści, zemsty, nienawiści. Już ja tam wiem, do czego zdolne są zranione kobiety. Zapytajcie moich byłych, jak... – Marzena chciała dodać coś jeszcze, ale w porę ugryzła się w język.

– Czy wierzycie, że Kortyński molestował własną córkę? – zapytał Rafał, zmieniając nieco temat przewodni rozmowy.

– Ten motyw moim zdaniem jest wyspany z palca – dodał Suski. – Mam takich spraw na pięćki. To częsty zarzut zranionych żon, które chcą dopiec byłym mężom. Napuścić dziecko przeciwko ojcu. Posłużyć się nim jak marionetką, aby tylko zaszkodzić partnerowi. Obie strony wykorzystują Boga ducha winne dzieci w takich gierkach.

– Ten świat schodzi na psy – podsumowała Marzena.

– Nie obrażaj psów. To dobre zwierzaki – rzucił Tymon. – Widząc, co się dzieje na świecie, skłonny jestem zostać satanistą. Niech każdy sobie radzi, tak jak potrafi, i ma pozostałych w dupie.

– Należałoby zatem natychmiast rozwiązać wszystkie religie – stwierdził Rafał.

– Jestem za – dodał Foltyński.

– Na niekorzyść Kortyńskiego przemawia fakt, że na miejscu zbrodni znaleziono jego DNA i odciski palców. Poza tym, tylko on miał klucz – powiedział Marian.

– Co z tego? Właścicielka lokalu też miała klucz, poza tym, jaki to problem dorobić klucz albo otworzyć zamek wytrychem – zastanawiał się Trygar.

– Kortyński nie ma na tę noc alibi. A klucz nosił cały czas przy spodniach – tłumaczył Foltyński.

– To może Piotr Wędzikowski? Ma alibi? – zapytał Suski.

– Ma. Logi z systemu zabezpieczeń domu świadczą o tym, że od dwudziestej wieczorem aż do rana nigdzie nie wychodził. Był wraz z rodziną – powiedział Tymon, kartkując protokoły.

– Molestowanie córki przez Kortyńskiego, póki co mniej nas interesuje. Traktuję to jako wątek poboczny śledztwa – powiedział Suski. – Przede wszystkim musimy odnaleźć pana V, zanim zrobi kolejny krok.

– Jeśli pan V kogoś zabije, będzie to świadczyło o niewinności Kortyńskiego, który siedzi w więzieniu – podsumował Rafał, przygryzając wargę.

Prokurator tylko westchnął.

ROZDZIAŁ 32

Dominika Figiel przebrała się w dwuczęściowy strój kąpielowy i ruszyła w kierunku pływalni. Idąc w stronę basenu, postanowiła, że będzie kręcić biodrami nieco bardziej intensywnie niż zwykle. Niech sobie, chociaż ratownicy popatrzą. Wchodząc do wody, skrzywiła się i wzdrygnęła z zimna. Następnie pokonała dziesięć długości basenu, zupełnie się przy tym nie męcząc. Koło godziny dwunastej w brodziku pojawiła się grupka rozwrzeszczanych dziewczyn. Niektóre z szesnastolatek wyglądały niczym zawodowe prostytutki, wywołując skrępowanie nawet u liberalnej z natury Dominiki. Pełny makijaż, usta uszminowane jak na paradę równości. Kilka dziewczyn miało kształty dorosłych kobiet z piersiami o miseczkę D. „Może rodzice zafundowali im operacje plastyczne na bierzmowanie?” – pomyślała Dominika z przekąsem. Nie miała wielkich problemów z wyłowieniem spośród nich chudej dziewczyny o posturze chłopczycy, Wiktorii Kortyńskiej. Obserwowała ją przez chwilę, zastanawiając się, jak się do niej zbliżyć. Na szczęście ochroniarz, który nie odstępował dziewczynki na krok, stał niedaleko pokoju ratowników, skąd lustrował dokładnie salę basenową.

Po kilku minutach obserwacji Dominika wyczuła odpowiedni moment, kiedy dziewczyna przepływała obok murku.

– Za dziesięć minut w damskiej szatni. Mam ważną informację – rzuciła Figiel, licząc, że zadziała na dziewczęcą wyobraźnię. Gdyby propozycję złożył zaroiński samiec, Kortyńska zapewne by się przestraszyła i nie przyszła. W tym wypadku jednak fortel powinien się udać.

Dominika wróciła do szatni i schowała się w przebieralni, gdzie czekała na przybycie Wiktorii, wcześniej jednak ukryła w staniku mały pilnik do paznokci.

Kilka minut później usłyszała, że do damskiej szatni ktoś wchodzi. W godzinach szkolnych, klienci z zewnątrz przychodzili na basen bardzo

niechętnie, wiedząc, że będą musieli pływać na wydzielonym skrawku basenu. Z tego też powodu szatnie świeciły pustkami, co dla Dominiki było bardzo sprzyjającą okolicznością.

– Jesteś? – usłyszała głos Wiktorii Kortyńskiej.

Figiel długo się nie zastanawiała, wyszła z przebieralni, podeszła do dziewczyny i złapała ją za wątlą rękę, po czym wciągnęła do przebieralni. Krótki krzyk Wiktorii został natychmiast stłumiony przez Dominikę, która przyłożyła rękę do ust dziewczyny. Wyciągnęła ze stroju kąpielowego pilnik do paznokci i przytknęła go pod żuchwę ofiary.

– Jeśli za chwilę nie powiesz mi, kto kazał ci kłamać w sprawie ojca, to zrobię ci tym pilniczkiem drugi uśmiech. Będziesz jeszcze brzydsza, niż jesteś. Żaden, nawet najbardziej obleśny samiec, już nigdy cię nie tknie.

Wiktorcia próbowała krzyczeć, jednak ostrze pilnika wbijające się w szczękę, skutecznie odwidło ją od tego pomysłu.

– To ona, moja matka – wypaliła wreszcie. Dominika zdziwiła się nieco, że Wiktorcia tak szybko pękła.

– Mów dalej – potrząsnęła dziewczyną.

– Nie chciałam się zgodzić, żeby zeznawać przeciwko ojcu.

– I co cię przekonało? – zapytała Figiel.

– Zgodziłam się dopiero za pięć tysięcy. Dla takiej dziewczyny jak ja, to fortuna – uśmiechnęła się Wiktorcia.

– A nie pomyślałaś, że wsadziłaś własnego ojca do pierdła. Czy zdajesz sobie sprawę, co on tam przeżywa? – zapytała Figiel.

– Przecież on zawsze spada na cztery łapy. Przekupi, kogo trzeba, i będzie mu tam lepiej niż w domu z Lucynką – tłumaczyła Wiktorcia.

– Posłuchaj mnie. Za chwilę zadzwonię do prokuratury i powiadomię ich, że chciałybyś złożyć dodatkowe wyjaśnienia w sprawie ojca. Potem powiesz im o wszystkim, kto kazał ci kłamać i dlaczego. I jeśli wspomnisz o mnie choćby słowem, dopadnę cię. Słyszysz?

Wiktorcia potaknęła. Dominika wypuściła dziewczynę, która wystrzeliła niczym kamień z procy. Figiel przebrała się, opuściła teren basenu i skierowała

do najbliższej budki telefonicznej, aby wykonać anonimowy telefon do prokuratury regionalnej Praga Południe.

ROZDZIAŁ 33

Za stołem, zajmującym większość tego niewielkiego pokoju, siedziała Wiktoria Kortyińska. W dłoniach trzymała kubek gorącej czekolady i spoglądała szczenięcym wzrokiem na wysokiego jegomościa o sumiastych wąsach. Po policzkach dziewczynki spływały łzy, które spadały prosto do gorącego napoju. Tuż za weneckim lustrem siedziała Lucyna Kortyińska z Alicją Matel i prokuratorem Marianem Suskim.

– Dlaczego skłamałaś w sprawie ojca? – zapytał kurator. – Zdajesz sobie sprawę, że posądzenie o molestowanie seksualne to bardzo ciężki zarzut.

– Wiem – tłumaczyła Wiktoria.

– Opowiedz od początku, jak to było – poprosił kurator.

Dziewczynka położyła kubek na stoliku, otarła łzy i zaczęła mówić:

– Rodzice od zawsze się kłócili. Nie mogłam tego znieść. Wychowywałam się w jednej wielkiej awanturze. Im byłam starsza, tym więcej rozumiałam. Mama i tato robili sobie na złość – tłumaczyła łamanym głosem.

– Mów dalej – zachęcał kurator.

– Byłam marionetką w ich grze. Wykorzystywali moją osobę do swoich brudnych porachunków. Albo robili coś, ze względu na moje dobro, albo nie mogli czegoś zrobić, bo byłam ja. Od zawsze miałam wrażenie, że gdyby mnie nie było, wszystkie ich problemy by się rozwiązały. Chciałam umrzeć.

Kurator przytaknął, zachęcając Wiktorię do zeznań. Lucyna Kortyińska przyglądała się tej rozmowie z wypiekami na twarzy. Jej brwi wędrowały coraz wyżej, jakby wciąż nie mogła uwierzyć w wypowiedziane przez dziewczynę słowa.

Wiktoria upiła łyk czekolady i mówiła dalej.

– Po jednej z kłótni, mama przyszła do mnie i poprosiła, czy nie zeznałabym przeciwko ojcu. Powiedziałam jej, że nigdy. Wyzywałam ją, że jest

najgorszą wywłoką, jaką nosił świat, jeśli chce ojcu zrobić takie świństwo.

Lucyna Kortyńska nie wytrzymała. Podniosła się z krzesła z wyrazem dezaprobaty wymalowanym na twarzy.

– Przecież to kłamstwo. Co wyście jej powiedzieli? – zapytała.

– Proszę się uspokoić – powiedział Suski.

– Nie będę tego słuchała. To nie jest moja córka – rzuciła Kortyńska z wściekłością w głosie.

– Jeśli się pani natychmiast nie uspokoi, każę panią wyprowadzić – powiedział Suski.

Dopiero po tych słowach Lucyna usiadła na swoim miejscu, z przerażeniem obserwując scenę rozgrywającą się za weneckim lustrem.

– Co było dalej? – zachęcał kurator.

– Nie zgodziłam się. Kocham ojca i nigdy nie zrobiłabym mu takiego świństwa – tłumaczyła Wiktoria.

– Ale jednak zrobiłaś – powiedział kurator, poprawiając wąsy.

– Nie dawała mi spokoju. Szantażowała i znęcała się psychicznie nade mną. Wreszcie powiedziała, że dostanę pięć tysięcy złotych, jak zeznam przeciwko ojcu – wypaliła Wiktoria.

– I dopiero ten argument cię przekonał?

Dziewczynka przytaknęła, spuszczać głowę.

– Pięć tysięcy złotych to ogromne pieniądze dla nastolatki – tłumaczyła dziewczynka.

– Czy zdawałaś sobie sprawę, że tymi fałszywymi zarzutami mogłaś ojcu wyrządzić ogromną krzywdę. Rozmawiam z tobą jak z dorosłą osobą, bo odnoszę wrażenie, że emocjonalnie jesteś już pełnoletnia.

Wiktoria spuściła głowę.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak żyje się z łatką pedofila w więzieniu? Nawet jeśli sąd oczyści twojego ojca z zarzutów, ten ciężar będzie razem z nim już do końca życia. Nie wiadomo, jaki to będzie miało na niego wpływ – mówił kurator z pretensją w głosie.

Wiktoria nie wiedziała, co powiedzieć. Szlochała cicho, ukrywając twarz w dłoniach. Gdyby tylko mogła, najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Dla Lucyny Kortyńskiej widok załamanej córki był zbyt wielkim ciosem. Wstała z krzesła i zwróciła się w stronę Alicji Matel i Mariana Suskiego.

– Ten skurwysyn ją urobił, żeby cofnęła zeznania. Chyba nie wierzycie w to, co mówi – krzyczała. – Udowodnię wam, że moja córka kłamie – to powiedziawszy, wyszła z pomieszczenia, trzaskając drzwiami.

ROZDZIAŁ 34

Starszy mężczyzna z kozią bródką ubrany w strój myśliwego leżał nieruchomo w trawie. W pewnym momencie bardzo wolno i delikatnie wskazał palcem w kierunku sarny, która skubała trawę nieopodal.

Chłopak skulił głowę i przytulił się do broni.

Na szczęście mieli jeszcze kilka dni, kiedy Polski Związek Łowiecki zezwalał na odstrzały redukcyjne i mogli polować zgodnie z prawem.

Chłopak przymierzył i oddał strzał. Rozległ się głośny huk, który poniósł się po lesie. Sarna padła na ziemię, zadygotała jeszcze kilak razy... i przestała się ruszać.

– Brawo – powiedział starszy mężczyzna, podnosząc się z trawy. – Tego cię właśnie uczyłem. Przeciwnika należy zabić maksymalnie szybko. Każda chwila zwłoki może się wiązać z kolejnymi stratami.

Chłopak podniósł się z ziemi i stanął na baczność, jakby chciał oddać mężczyźnie cześć.

– Mimo wielu twoich wad, jestem z ciebie bardzo dumny – odpowiedział mężczyzna. – A teraz musimy zabrać zdobycz do domu. Wyprawimy sobie wspaniałą ucztę.

– Doskonaliłem metody polowania z użyciem drona – wypalił chłopak.

– Wiesz, że nie popieram tych nowoczesnych metod. Nie po to uczyłem cię starych myśliwskich sposobów polowania, żebyś odchodził od tradycji.

– Tato, ale zakładanie sideł i wnyków jest już niemożliwe. Dziś używa się komputerów i technologii do polowania.

Starszy mężczyzna westchnął.

– Zamilknij – powiedział, aby urwać temat.

Podeszli do sarny, po czym młody sprawdził, czy na pewno jest martwa.

– Dostała bezpośrednio w głowę – stwierdził chłopak, po czym zarzucił sobie zwierzynę na barki.

– Wiesz, będę musiał teraz więcej pracować i przez trzy dni nie będzie mnie w domu – zaczął stary. – Poradzisz sobie sam?

– Jasne, tato – odpowiedział chłopak.

– Tylko pamiętaj, żeby zażywać leki. W przypadku ataku dzwoń. Poproszę Adamkową, żeby czasem do ciebie zajrzała.

– Nie martw się tato. Poradzę sobie – powiedział chłopak i ruszyli leśną ścieżką w stronę domu.

ROZDZIAŁ 35

Dominika Figiel jechała samochodem, kiedy zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer Basi Kajzer, starej dobrej koleżanki, która nie odzywała się od roku.

– Cześć – rzuciła do słuchawki.

– Wiesz co, pomyślałam sobie, że... – urwała. Gdzieś w tle słychać było kłótnię.

– Miałś mi przynieść te zdjęcia, do kurwy nędzy – usłyszała kobiecy głos.

– Zaraz przyjdę do ciebie, właśnie rozmawiam z modelką w tej sprawie – powiedziała Basia.

– O co tu chodzi? – zapytała zaniepokojona Figiel.

– Wyświadczysz mi przysługę? Błagam. Inaczej wywalą mnie na zbity pysk – tłumaczyła kobieta.

– Chodzi o sesję? – zapytała Dominika.

– Tak. Wpadnij do mnie dziś wieczorem, wszystko ci wyjaśnię. A tymczasem muszę kończyć – powiedziała i zamilkła.

Wieczorem tego samego dnia, Dominika Figiel wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku strzeżonego osiedla na Ochocie, gdzie. Zaanonsowała się u strażnika pilnującego bramy wjazdowej, po czym skierowała kroki w kierunku klatki schodowej numer trzynastcie. Zadzwoniła domofonem pod ostatni numer.

– Chodź – usłyszała kobiecy głos.

Wsiadła do windy i wjechała na ostatnie piętro. W progu przywitała ją przysadzista kobieta koło czterdziestki. Ubrana w pidżamę upstrzoną obrazkami z Kubusia Puchatka wyglądała zabawnie. Koleżanki padły sobie w ramiona i przywitały się, jakby nie widziały się od lat.

– Ratujesz mi dupę – powiedziała Basia, zapraszając Dominikę do środka. – Czego się napijesz?

– Może być coś mocniejszego – odpowiedziała Figiel.

– Muszę na jutro oddać sesję fotograficzną do magazynu, a rozchorowała mi się modelka, z którą byłam umówiona. – Kobieta nalała do szklanki whisky, dodała coli i lodu, a następnie podała ją Dominice. Sobie również zrobiła drinka.

– Zgodzę się tylko dlatego, że znamy się od lat – powiedziała Figiel. – Przede wszystkim jednak powiedz mi, co to za zdjęcia. Bo jeśli akty albo bielizna, to się nie zgadzam. – Dominika upiła łyk i usiadła na kanapie w salonie. Mieszkanie koleżanki urządzone było w nowoczesnym stylu. Minimalizm połączony z surowymi kolorami, wśród których dominowały czernie, biele i szarości.

– Nie martw się – tłumaczyła Kajzer. – Coraz większą popularnością wśród ludzi cieszą się tak zwane śpiochy.

Figiel uniosła jedną brew, wyobrażając sobie siebie w dziecięcym kaftaniku.

– Nie przesłyszałam się? – zapytała.

– To, co mam na sobie, to właśnie taki śpioch. Zapinany na zamek, jednocześnie strój, najczęściej zdobiony śmiesznymi wzorami. Szyte na wzór strojów karnawałowych z motywami zwierząt, superbohaterów, strachów czy duchów.

– I mam ci w czymś takim pozować do zdjęć? – zapytała Figiel. Już widziała twarze kolegów i koleżanek z redakcji, którzy naśmiewają się z niej po kątach, powtarzając, że najładniej wyglądała jako kaczuszka albo żyrafa.

– Nie martw się, nie pokażę twojej twarzy. Nikt nie będzie wiedział, że to ty – zapewniła Basia.

Kobiety udały się do osobnego pomieszczenia, gdzie urządzone było niewielkie studio fotograficzne. Różnego rodzaju tła, statywy, modyfikatory, lampy i parasolki gotowe były do pracy. Obok na szafce ułożona była całkiem pokaźna sterta śpiochów.

– W takim razie zaczynamy – powiedziała Figiel, dopijając whisky. Wzięła pierwsze z góry ubranie i włożyła. Był to kombinezon zebry, z kapturem, do którego przyszyty był nos, oczy i wystający język. Ubranie idealnie dopasowywało się do ciała Dominiki, uwydatniając kobiece kształty.

– Chyba oszalałam, że zgodziłam się w to ubrać – powiedziała Figiel, po czym wyszła na środek. Przyjęła pozę biednej dziewczynki i rozpoczęła się sesja fotograficzna. Niektóre ze strojów były całkiem dziwaczne. Był wśród nich koń, miś, Kubuś Puchatek i Tygrysek, a nawet krokodyl i jaszczurka. Jednak najbardziej przypadł Dominice do gustu strój kobiety kota.

– Pokaż, co tam masz – zachęcała Kajzer. Figiel nie dała się długo prosić, przyjęła kilka póz, które nie za bardzo nadawały się do gazety modowej i artykułu opisującego śpiochy. Patrzyła wyzywająco w obiektyw, jakby chciała pożreć go żywcem. W pewnym momencie Basia odłożyła aparat i zbliżyła się do Dominiki.

Figiel, widząc dziwne spojrzenie kobiety, na początku nie wiedziała, co się dzieje. Dość szybko jednak zorientowała się w intencjach przyjaciółki. Podeszła do niej na tyle blisko, aby móc ją dotknąć. Basia nie czekała długo, tylko pocałowała Dominikę.

– Czy ściągając mnie tu, na pewno chodziło ci tylko o sesję? – zapytała Figiel.

– Jesteś kobietą kotem – odpowiedziała Basia. – Użyj pazurków.

ROZDZIAŁ 36

Tymon Foltiński, po wizycie z żoną Andżeliką u ginekologa, pojawił się w pracy z informacją, że urodzi mu się drugi syn. Chcąc uczcić ten niezaprzeczalny sukces, niemal natychmiast zaprosił kolegów policjantów na kręgle. Marian Suski, swoim zwyczajem, nie skorzystał z zaproszenia. Wolał nie być posądzony o zażyłość z funkcjonariuszami.

Miał na głowie sporo problemów, głównie z przełożonymi, którzy oczekiwali natychmiastowych wyników w śledztwie związanym ze śmiercią Jagny Filiańskiej i Waldemara Komara. Również nagonka medialna na prokuraturę nie sprzyjała świętowaniu. Prasa ogłosiła, że po Warszawie grasuje pan V, działający w interesie uciemiężonej ludności.

Foltiński rzucił różową kulą, która z impetem wpadła w kręgle, zbijając wszystkie.

– Brawo – zaklaskała Gibała. Pociągnęła łyk piwa i ruszyła na tor, aby oddać rzut.

Wzięła najlżejszą kulę w kolorze różu, zrobiła zamach i rzuciła, zupełnie nie zwracając uwagi, że kusa spódnica powędrowała w górę, ukazując uda. Wszyscy funkcjonariusze zapomnieli nagle o kręglach i całą uwagę skupili na poślądkach Marzeny. Policjantka uniosła ręce w geście triumfu, ciesząc się, że zaliczyła Strike. Poprawiła sukienkę i usiadła przy stoliku, zwracając się w stronę Foltińskiego.

– Słyszałeś, że Wiktoria Kortyńska odwołała zeznania przeciwko ojcu? – zapytała.

– Podobno matka zmusiła ją do składania fałszywych zeznań – dodał. – Ta rodzina jest tak popieprzona, że zaczynam się zastanawiać, czy nie zostawić ich w spokoju. Pozabijają się, i będzie kilku posranych obywateli mniej.

– Suski robi się coraz bardziej niecierpliwy – zauważyła Gibała.

– Właśnie – przytaknęła Tymon. – Nie wiem, czy zauważyłaś, ale od Trygara jakby mniej wódą wali. Czasem odnoszę wrażenie, że przychodzi do pracy całkiem trzeźwy.

– Sądziś, że to zasługa naszego niecnego planu? – zapytała Marzena.

– Mam nadzieję. Taniec czyni cuda – powiedział Fołtyński. Wstał i ruszył na tor, aby wykonać rzut.

– Nadal nie mamy niczego konstruktywnego w sprawie pana V? – zapytał Trygar, wracając do stolika.

– Nie mamy – odpowiedziała Marzena. – Zostałam przydzielona do trzech innych spraw, które trochę mnie teraz od niego oderwą.

– A co z naszą salsą? – zaniepokoił się Rafał.

Marzena musiała się powstrzymać, aby nie wybuchnąć śmiechem. Już prędej spodziewałyby się lądowania kosmitów na Pałacu Kultury i Nauki niż informacji, że stary komisarz zaraził się pasją do tańca.

– Naszych zajęć z salsy na pewno nie zaniedbam – powiedziała.

Jakby na zawołanie, z głośników popłynęła taneczna muzyka. Marzena długo się zastanawiała, złapała Rafała za rękę i wyciągnęła na parkiet. Tymon Fołtyński z podziwem patrzył, jak komisarz wykonuje dziwne małe krocзки. Widać było w jego ruchach pewną niezgrabność i spore braki techniczne, jednak nadrabiał to wszystko spontanicznością i zaangażowaniem. Zupełnie inaczej poruszała się Gibała, która kręciła piruety, traktując Rafała trochę jak wieszak. Tymon uśmiechnął się sam do siebie. Nie przypuszczał, że szantaż związany z próbą odciążenia Trygara od alkoholu da tak wspaniały rezultat.

– A jak syn? – zapytała Marzena Rafała.

– Bez zmian – odpowiedział zasapany komisarz.

– Poczekaj jeszcze trochę. W pewnym momencie dzieci dochodzą do wniosku, że nie warto się z rodzicami kłócić.

– Na to liczę – podsumował Trygar.

– Może odezwijs się do niego pierwszy – zaproponowała Marzena.

– Jeszcze nie. Niech on wykona pierwszy krok.

Ponieważ Rafał pogubił się nieco w tańcu, stawiając kroki salsy zupełnie poza rytmem, policjantka zatrzymała się na chwilę w miejscu, aby partner mógł wyrównać.

Wystartowali z taką mocą, że bez wątpienia zasłużyli tego wieczoru na miano króla i królowej parkietu.

ROZDZIAŁ 37

Lucyna Kortyńska wyszła z pracy nieco wcześniej niż zwykle. Wsiadła do samochodu i ruszyła na Ochotę na ulicę Raszyńską, gdzie znajdowała się kancelaria prawna Ignacego Lewartowskiego. Była tak zamyślona, że zupełnie nie zauważyła czerwonej toyoty, która ruszyła w ślad za nią.

Blondynka z krótko obciętymi włosami zaparkowała samochód w pobliżu biur prawniczych i siedziała w milczeniu, zapisując coś w notesie. Śledziła Lucynę od kilku dni, skrupulatnie notując wszystkie ważne wydarzenia i miejsca, w których przebywała Kortyńska. Jak bardzo kobieta musiała nienawidzić swojego męża, skłonna była zatrudnić sztab prawników, aby tylko pokrzyżować jego plany? Po aresztowaniu Krzysztofa w BudMecie zawrzało. Poszła w świat plotka, że szef firmy to pedofil i morderca. Oczywiście nikt nie chciał słuchać o zasadzie domniemanej niewinności albo wyjaśnień, że z części zarzutów Krzysztof został już oczyszczony.

Dominika Figiel nie napisała żadnego artykułu w sprawie śmierci Jagny Filiańskiej i Waldemara Komara, dochodząc do wniosku, że wsadzając kij w mrowisko, mogłaby Kortyńskiemu zaszkodzić. Teraz najważniejsze było znaleźć dowody, które pomogłyby oczyścić kochanka z zarzutów. Oskarżenie postawione przez prokuraturę było co prawda poszlakowe, niemniej jednak z braku dowodów i innych podejrzanych sytuacja Krzysztofa była nie do pozazdroszczenia. Co gorsze, podejrzany na czas śmierci Komara nie miał alibi, tłumacząc, że spał całą noc w hotelowym pokoju po tym, jak opróżnił prawie całą butelkę brandy. Zarówno recepcja, jak i obsługa hotelu poza faktem zameldowania Kortyńskiego, nie była w stanie powiedzieć, gdzie mężczyzna przebywał tego wieczora.

Dominika zastanawiała się przez chwilę, gdzie ona przebywała w momencie, kiedy zabijano Waldemara Komara. Chyba leżała w domu, oglądając jakiś bzdurny film w telewizji. I nagle przyszedł jej do głowy

karkołomny plan. Zaczęła już obmyślać szczegóły jego realizacji, kiedy na zewnątrz zauważyła coś dziwnego. Na wysokości trzeciego piętra kamienicy unosił się niewielki dron, dokładnie w miejscu, w którym znajdowały się okna kancelarii prawnej Ignacego Lewartowskiego. Dominika otworzyła okno i przyjrzała się bliżej latającemu obiektowi. Patrzyła przez chwilę, mając nadzieję, że może to telewizja albo jakiś dzieciak robi sobie żarty.

Dochodziła godzina dziewiętnasta, Warszawa pogrążała się powoli w mroku. Nagle z bramy kamienicy wyszła Lucyna i ruszyła w stronę samochodu. Dron stał zawieszony jeszcze przez chwilę, po czym pofrunął w ślad za samochodem Kortyńskiej.

Figiel uruchomiła silnik i również ruszyła za Lucyną w kierunku Ursynowa. Nie miała już żadnych wątpliwości, że nie tylko ona obserwuje Kortyńską.

ROZDZIAŁ 38

Dominika Figiel jeszcze tego samego dnia pojawiła się w areszcie śledczym na warszawskim Mokotowie. Po wejściu do sali widzeń niemal od razu zauważyła, że Krzysztof Kortyński wygląda dużo lepiej niż podczas ostatniej wizyty. Mężczyzna usiadł za szybą i podniósł słuchawkę. Patrzył na Dominikę przez chwilę, nie wiedząc, w jaki sposób powinien się przywitać. Wreszcie zdobył się tylko na krótkie:

– Dziękuję.

Dominika milczała, patrząc na zmęczoną twarz Krzysztofa.

– Śledziłam ją – wymamrotała.

– I co? – zapytał Kortyński, unosząc się na krześle.

– Ona coś knuje. Przesiaduje całymi dniami u tego swojego prawnika.

– Suka! – obruszył się Krzysztof. – Pewnie opracowują plan, w jaki sposób dobrać mi się do dupy. Słyszałem, że w BudMecie też nie dzieje się najlepiej.

– To całe zamieszanie nie przysporzyło ci wielbicieli – potwierdziła Figiel.

– Pewnie skończy się na tym, że będę musiał sprzedać udziały i dać tej kurwie połowę pieniędzy. Potem gdzieś się zaszyje, póki jestem jeszcze żywy. Zresztą... – zawiesił głos Kortyński. – Mam to już gdzieś, zależy mi teraz tylko na tobie.

– Ona ci nie przepuści – stwierdziła Figiel.

– Wyjedź ze mną – wypalił Krzysztof. – Zbudujemy sobie jakiś cichy kącik na Karaibach. Będziemy handlować rybami albo marihuaną.

Dominika uśmiechnęła się tajemniczo. Z jej miny trudno było wyczytać, czy bierze słowa Krzysztofa na poważnie.

– Posłuchaj mnie – instynktownie nachyliła się w stronę szyby, jakby dzięki temu Kortyński miał ją lepiej słyszeć. – Nie tylko ja śledzę Lucynę. Widziałam drona, który podążał w ślad za nią – wyjaśniała Figiel.

– Wcale mnie to nie dziwi – parsknął Krzysztof. – Zapewne śledzi ją policja, a może nawet CBŚP. Jakby nie patrzeć, jest na liście podejrzanych w sprawie zabójstwa Filiańskiej i Komara.

– Mam wrażenie, że to ktoś inny za tym stoi – stwierdziła kobieta.

Kortyński przekrzywił głowę.

– Będę ją nadal śledziła – dodała Figiel.

– Są jakieś postępy w mojej sprawie? Nie wiem, czy długo zdołam tu wytrzymać.

– Gdyby policja miała cokolwiek, już dawno temu by się tym pochwaliła. Musi ratować nadszarpniętą reputację.

Kortyński milczał, oddychając ciężko.

– Kończy mi się kapusta – dodał wreszcie. – Potrzebuję jeszcze jeden chleb.

Dominika potaknęła. Milczeli przez chwilę. Po twarzy Figiel widać było, że chce coś powiedzieć. Najwyraźniej jednak miała problem, aby ubrać to coś w słowa.

– Mam pomysł, jak wyciągnąć cię z więzienia – powiedziała w końcu.

Kortyński zmarszczył czoło.

– Pójdę do prokuratury i zeznam, że byliśmy tej nocy razem.

Mężczyzna milczał przez kilkanaście sekund, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Zrobisz to dla mnie? – zapytał.

Dominika skinęła głową.

– Umówię się z prokuratorem prowadzącym śledztwo i opowiem mu, że byliśmy razem.

Kortyński złapał się u nasady nosa, jakby chciał w ten sposób powstrzymać łzy albo ból rozsadzający czaszkę. Wreszcie, mrużąc oczy, spojrzął na Dominikę. Widząc delikatny uśmiech na jej twarzy, poczuł, pierwszy raz od dawna, pozytywne emocje.

ROZDZIAŁ 39

Kortyńska, po wyjściu od prawnika, wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę Ursynowa. W domu czekała na nią Nadieżda z późnym lunchem i Wiktorcia ze złym humorem. Lucyna była tak zła na córkę, że od kilku dni w ogóle się do niej nie odzywała. Od jakiegoś czasu gospościa zamieniła się dla młodej Kortyńskiej w kogoś w rodzaju ojca, matki i opiekunki. Taki układ Lucynie odpowiadał. Za oskarżenie, które Wiktorcia na nią rzuciła, powinna obrazić się na córkę do końca życia. W zasadzie, jedyną przeszkodą, aby nie wyrzucić dziewczyny z domu, była jej niepełnoletniość.

Po przejechaniu kilku przecznic skręciła z głównej trasy w stronę niewielkiej uliczki prowadzącej do domu. Nagle, jakby znikąd, pojawiło się niebieskie bmw i zatarasowało jej drogę. Lucyna nacisnęła hamulec, cudem unikając kolizji. Niczym rozsierzony byk, wysiadła z pojazdu i ruszyła w stronę kierowcy, aby zwymyślać go od najgorszych. Przyciemniana szyba bmw zsunęła się i w oknie pojawiła się zakapturzona postać.

Tymczasem Dominika, która od kilku dni w zasadzie nie spuszczała Lucyny z oka, zatrzymała toyotę dwieście metrów dalej i z zainteresowaniem obserwowwała zajście. Ponieważ było już ciemno, nie była w stanie zobaczyć wszystkich szczegółów. To, co ujrzała, wystarczyło jednak, by przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Zakapturzona postać z bmw, jakimś sobie tylko znanym sposobem obezwładniła Lucynę, wzięła jej ciało na ręce i wsadziła do bagażnika. Zatrzasnęła klapę i wsiadła do pojazdu. Następnie wyjechała z bocznej uliczki na główną drogę. Samochód Kortyńskiej stał z zapalonym silnikiem na środku drogi dojazdowej, jednak żaden z mieszkańców pobliskich domów nie zainteresował się zdarzeniem na tyle, aby choć wyrzucić przez okno.

Figiel chciała zadzwonić na policję. Wyciągnęła telefon komórkowy i ze złością skonstatowała, że rozładowała się bateria. Dawno temu miała wymienić starego grata na nowy model, ale zawsze brakowało czasu. Nie zastanawiała się

długo i ruszyła w ślad za niebieskim bmw. Starła trzymać się nieco z tyłu, aby kierowca nie zauważył, że ma ogon. Zmrużyła oczy, próbując zapamiętać tablicę rejestracyjną oraz dostrzec postać siedzącą na przednim siedzeniu. Z postury można było wywnioskować tylko tyle, że musiał to być postawny mężczyzna, choć nie miała pewności, czy to nie szeroka bluza tworzy takie złudzenie. Samochód wyjechał z Warszawy i ruszył w kierunku Izabelina. We wsi Truskaw wjechał na polną drogę prowadzącą do dwupiętrowego domu stojącego przy lesie. Dominika zatrzymała samochód na głównej drodze i obserwowała BMW, które jakiś czas jechało szutrową drogą, aby w końcu się zatrzymać. Kierowca wysiadł, wyciągnął z bagażnika ciało Lucyny, zarzucił je sobie na plecy i ruszył w kierunku lasu.

Figiel wysiadła z toyoty i udała się w ślad za człowiekiem w kapturze. W pewnym momencie, kiedy mężczyzna z Lucyną na plecach zanurzył się w gęstwinie lasu, Dominika straciła ich z oczu. Po dotarciu w pobliże niewielkiego dwupiętrowego domu, obok którego stało niebieskie bmw, ruszyła dalej ścieżką w stronę drzew. Po przebyciu kilkuset metrów zatrzymała się, próbując cokolwiek dostrzec. Nagle coś się poruszyło, chwilę potem ujrzała zarysy jakiegoś domu przypominającego stodołę albo barak. Serce biło jej coraz szybciej. Jako dziennikarka nieraz znajdowała się w trudnej sytuacji, dlatego potrafiła oddzielić odwagę od niepotrzebnej brawury. Postanowiła, że nie pójdzie dalej. Wróci do samochodu i uda się na policję. Podążanie za niebezpiecznym napastnikiem, byłoby zbyt cennym bohaterstwem, które mogło się dla niej źle skończyć. Miała już zawracać, kiedy poczuła, że ziemia ustępuje jej spod nóg. Zanim zdążyła się zorientować, wisiała uwięziona na linie, głową w dół. Przeszło jej przez myśl, że wpadła zapewne w sidła kłusowników zastawione na dziką zwierzynę. W zasadzie sytuacja nie była jeszcze beznadziejna. Należało się podciągnąć i spróbować poluzować linę. Zgięła się w pół, napinając mięśnie brzucha do granic wytrzymałości. Szamotała się przez chwilę, próbując uwolnić z więzów. Po kilkunastu sekundach dała za wygraną. Opuściła się, zastanawiając, jak wybrnąć z sytuacji. Nagle poczuła ból w potylicy i świat rozmył się w ciemności nocy.

ROZDZIAŁ 40

Lucyna Kortyńska obudziła się w niewygodnej pozycji. Cały kark miała sztywny, bolały ją ręce i nogi, a lodowata woda spływała jej po twarzy. Otworzyła oczy i z trudem wyłowiła z ciemności czyjąś postać. Kilka metrów przed nią stał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, ubrany w dżinsy i bluzę z kapturem. Mógł mieć może dwadzieścia pięć lat.

Odłożył wiadro z zimną wodą i stanął szeroko na nogach. Wyciągnął z kieszeni trzy lśniące noże i mierzył w stronę Lucyny, przyzymkając oko.

– Mam nadzieję, że nie uderzyłem zbyt mocno. Dawno nie używałem kija baseballowego – powiedział.

Lucyna rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że znajdowała się w czymś w rodzaju stodoły albo składziku na drewno. Przywiązana była linami do szerokiej, grubej deski wkopanej w ziemię. Próbowwała się wyrwać, jednak więzy trzymały mocno.

– Nie ruszaj się, bo mogę chybić – odezwał się mężczyzna.

Kobieta zamarła w bezruchu. Cała scena kojarzyła się z cyrkowym show, w którym prestidigitator rzucał nożami do asystentki przywiązanej do kręcącego się koła. Lucyna zamknęła oczy i zacisnęła zęby. Kilka sekund później usłyszała odgłos noża wbijającego się w deskę. Otworzyła powieki i ujrzała długie ostrze o lśniącej rękojeści przypominające sztylet. Napastnik zwilżył językiem końcówkę drugiego noża, wymierzył i rzucił. Wrzask Lucyny wypełnił pomieszczenie.

Tym razem ostry przedmiot wbił się kilka centymetrów nad głową kobiety. Napastnik stał przez chwilę, jakby zastanawiał się, co zrobić z bezbronną ofiarą.

– Nie ma prawa, poza czyn wedle swej woli – powiedział i ruszył wolnym krokiem w stronę Lucyny. Podszedł tak blisko, że czuł jej szybki oddech na policzku. Przytknął ostatnie ostrze pod jej zuchwę.

– Nikt cię tu nie usłyszy. Jeśli będziesz krzyczała, poderżnę ci gardło – wysyczał. Na jego twarzy nie dało się dostrzec żadnych emocji. Przypominał przeciętnego studenta, który nie wyróżnia się niczym szczególnym wśród rówieśników.

– Czego chcesz? – wymamrotała.

– Jesteś złą kobietą. Zaslugujesz na karę.

– Krzysztof cię nasłał? Chce mnie zlikwidować?

– Szanuję cię, bo potrafisz walczyć o swoje. Bierzesz od życia to, co chcesz – powiedział.

– Kto cię nasłał? – zapytała Lucyna.

– Cicho – wymamrotał mężczyzna. Nieoczekiwanie jego twarz przybrała dziwny wyraz. Jakby gdzieś w środku toczył walkę z samym sobą, niczym opętany próbujący wyswobodzić się spod władzy demona. Złapał za nóż, przyłożył Kertyńskiej do czoła i nacisnął tak mocno, aż popłynęła krew. Kobieta struchlała ze strachu, jednak napastnik nadal sunął ostrzem po powierzchni skóry. Zrobił dwucentymetrowy ślad, po czym odbił w przeciwnym kierunku. Skończywszy, odszedł na pewną odległość i spojrzał na ofiarę, niczym malarz, który przed chwilą ukończył dzieło życia. Oczy Lucyny zalały się krwią. Poczula narastającą panikę, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie wyjdzie z tego pomieszczenia z życiem. Zastanawiała się, co mogłaby zrobić. W głowie pojawiały się rozpaczliwe pomysły związane z ucieczką. Chciała krzyknąć, jednak ostatecznie doszła do wniosku, że na niewiele się to zda.

– Mam dużo pieniędzy. Zapłacę ci, ile będziesz chciał – powiedziała, próbując przekupić mężczyznę. Zwykle argument związany z pieniędzmi przynosił dobre rezultaty. Każdy miał swoją cenę, należało ją jedynie ustalić. W wyniku propozycji Kertyńskiej, na twarzy napastnika pojawił się szyderczy uśmiech.

– Wiesz co – powiedział, zawieszając głos – jestem myśliwym i nie lubię zwierzyny, która szamocze się w siłach. Potrzebuję wyzwania. Dlatego dam ci szansę. Zrobimy sobie małe polowanie.

Mężczyzna podszedł do Lucyny i rozciął jej pęta, uwalniając ręce i nogi. Kortyńska wytarła krew z twarzy i ucisnęła ranę na czole, próbując powstrzymać krwawienie.

– Uciekaj – powiedział. – Liczę do dziesięciu, a potem zaczynam polowanie.

W jego oczach pojawiło się szaleństwo, jakby propozycja, którą przed chwilą wymyślił, pobudziła w jego głowie uśpione receptory. Potem zaczął głośno odliczać od dziesięciu w dół. Lucyna rozejrzała się i widząc drzwi prowadzące na zewnątrz, rzuciła się do ucieczki. Biegła, ile sił w nogach. Dopadła do klamki i otworzyła drewniane skrzydło. Widząc, że ze wszystkich stron otaczają ją drzewa, ruszyła wprost przed siebie. Nie zdążyła zrobić nawet pięciu kroków, kiedy poczuła, że coś jest nie w porządku. Grunt pod jej stopami zapadł się i runęła w dół. Chwilę potem stalowe szczęki potrzasku na zwierzynę zamknęły się na nodze.

Kobieta zawyla niczym ranione zwierzę. Wiedząc, że czas ucieka, pokonując piekielny ból, wydostała się z płytkiego dołu i czołgała w stronę lasu, ciągnąc za sobą stalowe kleszcze. Po przebyciu kilku metrów doszła do wniosku, że musi coś zrobić z ciężarem na nodze, bo daleko w ten sposób nie ucieknie. Usiadła na ziemi i wszelkimi siłami, próbowała rozewrzeć potrzask. Stalowa pułapka ani myślała ustąpić. Walcząc z bólem, ruszyła dalej, aby ukryć się w pobliskich drzewach.

Mężczyzna zakończył odliczanie i zupełnie się nie spiesząc, podszedł do drewnianej skrzyni stojącej przy ścianie. Po odsunięciu zasuw jego oczom ukazała się sporej wielkości klatka. Otworzył drzwiczki i sięgnął do wnętrza, aby wyciągnąć ogromnego węża. Gad, czując ludzkie ciepło, niemal natychmiast owinał się wokół ręki. Mężczyzna uspokoił pupila, gładząc go w okolicach głowy. Następnie wyszedł przed budynek i rozejrzał się. Czołgająca się kobieta, spoglądała nerwowo za siebie, próbując uciec w stronę lasu. Napastnik podszedł bliżej do ofiary, napawając się widokiem krwawiącego ciała. Lucyna, widząc mężczyznę z wężem w ręku, przeraziła się tak bardzo, że położyła się na plecach i opierając na łokciach, czekała na nieuchronny koniec. Człowiek w kapturze dzielił węża po głowie, aby nieco

go ożywić. Zirytowana kobra zaatakowała to, co było najbliżej. Wgryzła się w łydkę kobiety, zostawiając w jej ciele jad. Po dwóch sekundach gad oderwał się od nogi Lucyny i na powrót owinął wokół ręki mężczyzny.

Kortyńska leżała na plecach, ciężko oddychając. Adrenalina krążąca w żyłach sprawiała, że nie czuła bólu. Patrzyła przerażonymi oczyma, jak mężczyzna w kapturze idzie do szopy. Niczym rolnik, który po dobrze wykonanej pracy, wraca na zasłużony odpoczynek. Spojrzała w niebo widoczne pomiędzy drzewami i wtedy zdała sobie sprawę, że nie ma dla niej ratunku. Z każdą sekundą, coraz trudniej było jej złapać oddech. Minęło kilkanaście długich minut, zanim w męczarniach wyzionęła ducha.

Mężczyzna upewnił się, że Lucyna nie żyje, wziął jej ciało na ręce i zaniósł do stojącego nieopodal pojazdu. Wrzucił ją do bagażnika, uruchomił silnik i ruszył w kierunku Warszawy.

ROZDZIAŁ 41

Dominika Figiel obudziła się z ogromnym bólem głowy. Sięgnęła ręką do tyłu i wyczuła wielkiego guza na potylicy. Na szczęście skóra nie była przecięta. Dookoła panowały zupełne ciemności. Wyciągnęła przed siebie dłoń, napotykać opór. Grudki ziemi zsywały się pod nogi. Próbowwała się poruszyć, jednak nie była w stanie. O ile zmysł dotyku jej nie zawodził, znajdowała się w czymś w rodzaju grobu albo ziemianki tak ciasnej, że ledwie mieścił się w niej stojący człowiek. Zamknęła oczy, próbując wsłuchać się w ciszę. Na policzku poczuła delikatny powiew powietrza. Rozpaczliwie wspięła się po ziemistej ścianie, zapierając rękami i nogami. Ponad głową wyczuła metalowe skrzydło z dziurami, zatykające wejście do ziemianki. Nieudolne próby podniesienia wieka nie przyniosły żadnego rezultatu. Zsunęła się na dół i oddała rozmyślanii.

Przypomniała sobie drogę do wsi Truskaw, mężczyzną w czarnym bmw i moment, kiedy wpadła w pułapkę. Sprawdziła kieszenie, niestety napastnik zabrał jej telefon komórkowy. Zresztą i tak rozładował się w najgorszym możliwym momencie. Zastanawiała się, jak mogłaby powiadomić kogokolwiek o swojej sytuacji. Sprawa wydawała się beznadziejna. Najgorszy koszmar właśnie się ziścił – została pochowana za życia. Klaustrofobiczne położenie wyzwoliło panikę, która musiała znaleźć natychmiastowe ujście. Kobieta nabrała powietrze i zaczęła wrzeszczeć, ile sił w płucach. Po pięciu minutach Dominice zabrakło sił. Opadła zemdlona, osuwając się na nogi i opierając się w kucki o ścianki ziemianki.

ROZDZIAŁ 42

W okolicach wsi Lipowo, pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Warszawy, mężczyzna szukający grzybów odnalazł ciało Lucyny Kortyńskiej. Wezwano na miejsce techników i lekarzy medycyny sądowej. Przyjechał również prowadzący sprawę prokurator Marian Suski wraz z trójką policjantów.

Wysiedli z policyjnego vana i ruszyli w głąb lasu. Szli przez kilka minut, aż dotarli do niewielkiego dołu w ziemi, w którym leżało zmasakrowane ciało Lucyny Kortyńskiej. Po rozpoczętych procesach gnilnych i ilości robactwa łatwo można było się domyślić, że truchło leżało w ziemi przynajmniej kilka dni. Leśna zwierzyna postanowiła skorzystać z darmowego jedzenia i wyszarpała z okolic brzucha bardziej łakome kąski.

– Straszne – stwierdziła Marzena Gibała, podchodząc do ciała bliżej, gdzie pracowali lekarze medycyny sądowej.

– Spójrzcie! Ma na czole wyryty znak – stwierdził Tymon.

– Pan V – wymamrotał Rafał. – Krzysztof Kortyński siedzi w więzieniu – dodał. – A zatem grono podejrzanych robi się coraz mniejsze.

– Kortyński ma wyjść za kaucją. Nieoczekiwanie pojawiła się dziennikarka „Gazety Warszawskiej”, która zaświadczyła, że w dniu śmierci Waldemara Komara różnili się z Kortyńskim przez całą noc w hotelu – tłumaczył Suski.

– Dlaczego Kortyński nie powiedział tego wcześniej? – zapytała Marzena, próbując nie odwracać głowy od zwłok.

– Ponoć był pijany i nie pamiętał. Poza tym bał się Lucyny, że będzie miała dowody przeciwko niemu.

Tymon Foltyński nie wytrzymał widoku i fetoru rozkładającego się ciała. Odszedł kilka kroków, odwrócił się w stronę lasu i nabrał kilka głębszych oddechów.

– Rzucasz pawia? – zapytał Trygar z udawaną troską.

– Teraz mówi się, malujesz freski – poprawiła Marzena.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek przywyknę – wymamrotał starszy aspirant.

– Nie wierzę w zeznania tej dziennikarki – powiedział Suski. – Moim zdaniem jest podstawiona, aby wyciągnąć Kortyńskiego z więzienia.

– Jakby nie patrzeć. Kortyński nie mógł osobiście zabić swojej żony – stwierdził Trygar. – Co oczywiście nie wyklucza, że mógł się kimś posłużyć.

– Kto zostaje? Wędzikowski? – zapytała Marzena. – Te komiksy z panem V, które znalazł Tymon.

– Wrogiem Wędzikowskiego jest przede wszystkim Kortyński. Z Lucyną było mu po drodze – stwierdził Rafał.

– Konkluzja jest taka, że nadal niewiele wiemy. W tej sprawie coś śmierdzi na odległość – podsumował prokurator. – Kręcimy się w kółko.

Tymon Foltiński doszedł nieco do siebie, jednak cały czas wolał trzymać się z tyłu.

– Spójrzcie – powiedział Trygar, podchodząc bliżej do zmasakrowanego ciała Lucyny. – Ma na nodze stalowy potrzask.

– Wygląda jak myśliwskie sidła – stwierdziła Marzena.

– Czy można coś stwierdzić, jak zginęła? – Suski zwrócił się do lekarza medycyny sądowej, który pobierał z ciała próbki.

– Spójrzcie tu, na łydkę – powiedział medyk. – Widać ugryzienie. Niewykluczone, że znowu toksyna.

– Kobra królewska? – zapytał Trygar.

Policjanci i prokurator krążyli wokół dołu, próbując dostrzec jakieś istotne szczegóły, jak złamane gałęzie czy odciski butów. W pewnym momencie Suski zobaczył niewielkie wgniecenie w ziemi.

– Wzięliście to? – zapytał techników.

– Tak – odrzekł jeden z mężczyzn, patrząc na Mariana wskazującego ręką na leśną ściółkę. – Ciekawe czy traseologiczne wykażą podobieństwo do odcisków znalezionych przy zwłokach Jagny Filiańskiej.

– Po co nam traseologiczne? – zapytał Tymon. – Przecież od razu widać, że to ten sam sprawca, który zabił Filiańską i Komara.

– Musimy coś znaleźć, inaczej prokurator generalny mnie zabije. – Marianowi włączył się tryb narzekania.

– Poczekajmy na mikroślady – powiedział Trygar. – Mam przecucie, że tym razem coś znajdziemy.

ROZDZIAŁ 43

Informacja o śmierci Lucyny Kortyńskiej zadziałała na Krzysztofa w sposób nieoczekiwany. Śmiał się przez kilka minut, nie mogąc uspokoić. Organizm najwyraźniej tak odreagowywał stres, który nie opuszczał mężczyzny od kilku tygodni. Zaraz po zwolnieniu z więzienia, przyjechał do domu, gdzie jeszcze kilka miesięcy temu mieszkał wraz z rodziną, planując przyszłość. Z prawnego punktu widzenia po śmierci Lucyny, to Krzysztof był zarówno właścicielem posesji, jak i jedynym opiekunem córki. Również gosposia Nadieżda, która nie odstępowała Wiktorii na krok, wpuściła Krzysztofa do domu i jakby nigdy nic zapytała:

- Co przygotować na obiad?
- Marzę o ruskich pierogach – powiedział.
- Da się zrobić – powiedziała kobieta i udała się do kuchni.

Krzysztof nawet się z Wiktorią nie przywitał. Miał jej za złe, że oskarżyła go o czyny, których nigdy nie popełnił. Nie interesowało go nawet, czy córka żyje, po prostu ją zignorował.

Uczucie ulgi było jednak krótkotrwałe. Zginęły trzy osoby, a policja nadal nie złapała sprawcy, to jednak niewiele go obchodziło. We własnym domu był bezpieczny. Co innego nie dawało mu spokoju. Gdzie mogła podziać się Dominika Figiel? To pytanie rozbrzmiewało w jego głowie praktycznie od chwili, w której opuścił zakład karny. Teraz też, zabrał z lodówki piwo, usiadł na kanapie i ponownie pogrążył się w myślach. Sądził, że przywita go pod więzieniem, kiedy będzie wychodził na wolność, jednak ona się nie pojawiła. Co gorsze, nie przyszła również do pracy, nie wzięła urlopu, a od kilku dni słuch po niej zaginął. Kortyński był pełen najgorszych obaw. Przypomniał sobie o prowadzonym przez Dominikę śledztwie. Może wpadła na trop zabójcy albo co gorsze została zamordowana?

Krzysztof postanowił, że dłuższe czekanie nie ma sensu i należy powiadomić o wszystkim policję.

ROZDZIAŁ 44

Na komendzie w sali konferencyjnej w obecności policjantów Marian Suski przesłuchiwał Krzysztofa Kortyńskiego. Protokolantka zapisywała zeznania.

– Proszę mówić dalej – ponaglał prokurator. – Kazał pan Dominice Figiel śledzić Lucynę Kortyńską?

– Dokładnie tak. Wiedziałem, że Lucyna kazała córce oskarżyć mnie o molestowanie seksualne – tłumaczył Kortyński. Siedział za stołem i z zaangażowaniem opowiadał o więziennych spotkaniach z Dominiką Figiel. – Podobno śledził Lucynę dron. Sądziliśmy, że to policja albo CBŚP.

– Czy Dominika mówiła, gdzie zamierza pojechać? – zapytał Suski. Policjanci siedzieli nieco z tyłu i z zainteresowaniem przysłuchiwali się przesłuchaniu.

– Nie. Opowiadała jedynie, że Lucyna przesiaduje u adwokata Ignacego Lewartowskiego.

– Sprawdzimy dokładnie tę pana przyjaciółkę – powiedział Marian, dziękując Krzysztofowi za zeznania. Po opuszczeniu sali przez Kortyńskiego policjanci wraz z prokuratorem siedzieli w milczeniu, zastanawiając się, jakie konkluzje wynikają z przeprowadzonego właśnie przesłuchania.

– Kogo zatem szukamy? – zapytała Marzena Gibała.

– Miłośnika dronów i gadów, myśliwego, nożownika – podsumował Foltyski.

– Zastanówmy się spokojnie, co możemy powiedzieć na podstawie śladów zebranych z miejsca, gdzie odnaleźliśmy ciało Lucyny Kortyńskiej.

– Ślad traseologiczny z osiemdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem pasuje do odcisku buta znalezionej na panelu w domu Jagny Filiańskiej – powiedział Foltyski.

– To za mało. Mamy coś jeszcze? – zagrział Suski.

– Śmierć od bezpośredniego ugryzienia kobry królewskiej – dodał Tymon.

– Sprawdziliście właścicieli kobr z Warszawy i okolic? – zapytał prokurator.

– Tak, ale to, jak szukanie igły w dziesięciohektarowym polu zboża – powiedział Tymon. Po chwili zorientował się, że jego wymyślne porównanie, nie wywołało pozytywnego wrażenia. – Poza tym znaleźliśmy kilka mikronów syntetycznego włókna.

– Co to oznacza? – zapytała Marzena.

– To typowy materiał, jakim objiła się bagażniki samochodów.

– Jakich marek? – zapytał Trygar.

– Bardzo wielu. Sprawdzamy jeszcze ten trop – odpowiedział Tymon.

– Jednak najważniejszym śladem wydaje się DNA, które znaleźliśmy na ciele Kortyńskiej – dodał Tymon.

– A co z nim? – zapytał Suski.

– Sprawdzamy. Póki co, nie figuruje w żadnej bazie danych.

– A co z producentami potrzasków? – zapytał Marian. Wstał z krzesła i zaczął wędrowkę po sali. Bez przejścia kilku kilometrów dziennie czułby się nieswojo.

– Zostały kupione w Rosji. To największy producent tego typu urządzeń na świecie – dodał Foltyński. – Nie rejestruje się ich nigdzie, więc z tego sprzętu też niewiele się dowiemy.

Zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli na Mariana, który niezrażony przemierzał po sali kolejne metry.

– Mam jeszcze jedną ciekawostkę – przerwał Foltyński, zaglądając w teczkę z aktami sprawy. – Na łydkach i dłoniach Kortyńskiej widoczne są ślady po linie.

– Czyli zabójca ją związał? – zapytał Rafał.

– Najwyraźniej. Spójrzcie na zdjęcia przedstawiające znak V na czole – Tymon wyciągnął z teczeki fotografie i rozdał kolegom i koleżance.

– Misterna robota – stwierdziła Marzena, obracając zdjęcie.

– Podpis nie może być bardziej czytelny – podsumował Suski. – A co z osmologią?

– Wysłaliśmy psa, ale nie podjął tropu – podsumował Tymon. – Analizy palinologiczne pyłków odnalezionych na ubraniu Lucyny Kortyńskiej też niczego nie przyniosły. Tego typu roślinność występuje w większości lasów na terenie całej Polski.

– Kiedy dokładnie nastąpił zgon? – zapytał Suski.

Fołyński wyciągnął raport z sekcji zwłok i wczytywał się w niego przez chwilę.

– Z analizy wielkości larw trupnicy padlinowej i ilości zjedzonych przez nią protein wynika, że ciało musiało tam leżeć od czterech dni – powiedział Tymon, wykrzywiając usta w grymasie odzwierciedlającym obrzydzenie.

– Protein? – zapytała Marzena.

– Tak tu jest napisane – odpowiedział starszy aspirant, wzruszając ramionami.

– A słyszeliście, że mucha trumienna potrafi dostać się do wnętrza zakopanej trumny i złożyć w zwłokach jaja. Naiwni ludzie wierzą, że bukowa trumna i kilka metrów ziemi uchroni ich przed zjedzeniem przez robaki – powiedziała Marzena z entuzjazmem w głosie.

– Dlatego ja wolę być spalony – dodał Tymon, nie mając ochoty podejmować tematu trupów i zgnilizny.

– A co z tą Figiel? Sądzicie, że śledziła zabójcę? – zapytał Marian, zatrzymując się na środku sali.

– Trudno powiedzieć, ostatni raz obie kobiety widziane były cztery dni temu. Musimy się liczyć z możliwością, że znajdziemy ciało Figiel leżące gdzieś w lesie – stwierdził Tymon.

– Może zabójca gdzieś ją więzi? – zapytała Marzena.

Zanim ktokolwiek odpowiedział na kwestię podniesioną przez Gibałę, do pomieszczenia wszedł funkcjonariusz. Podeszedł do Mariana Suskiego i zameldował coś na ucho. Trwało to na tyle długo, że policjanci obserwujący całą scenę, poczuli się zaniepokojeni. Po twarzy prokuratora widać było, że

była to informacja niemałego kalibru. Suski spojrzął na funkcjonariuszy z uśmiechem wymalowanym na twarzy.

– Zidentyfikowaliśmy DNA odnalezione na ubraniu Lucyny Kortyńskiej. Badania jeszcze trwają, ale mamy osiemdziesiąt siedem procent podobieństwa.

Policjanci nie kryli podekscytowania. Czyżby po tylu niepowodzeniach wreszcie uśmiechnęło się do nich szczęście?

– Kto to taki? – nie wytrzymał Trygar.

Suski skinął głową na funkcjonariusza, który zaczął mówić.

– Niejaki Damian Tyrmanowski. Znaleźliśmy jego dane w medycznej bazie danych wydziału psychologii Uniwersytetu Warszawskiego.

– To mamy dostęp do takich baz? – zdziwił się Foltyński.

– Zwykle nie – włączył się Marian. – Wykorzystałem pewne znajomości, dzięki którym jeden z naszych techników sprawdził również bazy medyczne i szpitalne. I jak widać, opłaciło się.

– Co to za baza? – zapytała Marzena.

– Jeden z profesorów uniwersytetu przeprowadza na wydziale psychologii jakiś eksperyment – powiedział Suski. – DNA należy do jednego z uczestników.

W momencie, kiedy funkcjonariusz wychodził za drzwi pomieszczenia, rozemocjonowany Suski wypalił.

– Trygar idzie ze mną. Wy zostajecie.

Marzena i Tymon spojrzeli na siebie, niezadowoleni z faktu, że nie będą mogli uczestniczyć w przełomowym momencie śledztwa.

ROZDZIAŁ 45

Prokurator Suski i komisarz Rafał Trygar udali się na ulicę Stawki, gdzie mieścił się wydział psychologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Szef wydziału, profesor Władysław Stroiński był wysokim, postawnym mężczyzną koło sześćdziesiątki. Miał idealnie wystrzyżoną kocią brodkę i nieprzeniknione, świdrujące oczy. Naukowiec uśmiechnął się, zapraszając policjanta i prokuratora do gabinetu.

– Interesuje nas jedna z osób, biorących udział w pańskim eksperymencie – zaczął Suski, odbierając filiżankę kawy od sekretarki. – Nazywa się Damian Tyrmanowski.

Profesor otworzył laptopa stojącego na biurku, uruchomił program komputerowy i wpisał dane mężczyzny.

– Owszem, jest ktoś taki. Dlaczego się nim państwo interesują? – zapytał profesor, poprawiając się na fotelu za biurkiem.

– Mamy podejrzenie, że mógł być zamieszany w sprawę zabójstwa.

Profesor Stroiński uniósł brwi, nie kryjąc zdziwienia.

– Kiedy dokonano morderstwa? – zapytał.

– Kilka dni temu – odpowiedział prokurator.

Władysław uśmiechnął się, jego twarz przybrała pogodny wyraz, jakby przed chwilą wielki kamień spadł mu z serca.

– To nie mógł być Damian Tyrmanowski – powiedział.

– Dlaczego? – zapytał Marian.

– Wszyscy uczestnicy eksperymentu od kilku tygodni zamknięci są w specjalnie wydzielonych pomieszczeniach wydziału psychologii. Kamery obserwują ich dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nie mogą opuszczać terenu zakładu? Żadnych przepustek czy wizyt domowych? – zapytał Trygar.

– Mają podpisaną umowę, że nie mogą opuszczać terenu zakładu, aż do końca eksperymentu – dodał profesor. – Nie ma od tej reguły prawie żadnych wyjątków.

– Prawie? – zdziwił się prokurator.

– Raz na jakiś czas każdy z uczestników wzywany jest do mnie na sesję. Wtedy kamery ich nie kręcą – powiedział Władysław.

– To skąd możemy mieć pewność, że w tym czasie uczestnicy nie opuszczają terenu zakładu? – zapytał Trygar.

– Jest tylko jedno wyjście z zamkniętej strefy wydzielonej na potrzeby eksperymentu. Miejsce to jest pod obserwacją kamery. Wystarczy sprawdzić, czy w czasie, kiedy dany pacjent jest u mnie na sesji, nie wychodzi przez te drzwi. To załatwia sprawę.

– A czy w miejscach nieobjętych kamerami, nie ma żadnych okien, drzwi, wind czy ukrytych przejść? – zapytał Suski.

– Nie ma. Mogą panowie zobaczyć plany budynków albo najlepiej samemu przejść się po obiekcie – potwierdził Waldemar. – Nie wiem, dlaczego to dla panów takie ważne?

Marian spojrział z wyrazem bezradności na Rafała Trygara, który tylko wzruszył ramionami.

– Chcielibyśmy mimo wszystko zobaczyć zapisy z kamer – powiedział Trygar.

– Oczywiście – profesor zaprosił mężczyznę przed ekran komputera, gdzie można było odtworzyć zapis z urządzeń rozmieszczonych w kilku wydzielonych pomieszczeniach zakładu psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Film uruchomiony w przyspieszonym tempie upewnił prokuratora i policjanta, że Damian Tyrmanowski faktycznie przez sześć ostatnich tygodni nie opuszczał zamkniętego obszaru.

– Czy byłaby możliwość, abyśmy porozmawiali z Damianem Tyrmanowskim?

Profesor usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i wyduł usta w geście dezaprobaty.

– Czy to konieczne? Jakakolwiek styczność uczestników eksperymentu z osobami z zewnątrz może zakłócić wynik badań – tłumaczył.

– Na ubraniu jednej z ofiar zabójcy znaleźliśmy DNA Damiana. Chcielibyśmy wyjaśnić, jak ono się tam znalazło – nalegał Suski.

– Skoro tak – powiedział profesor, dochodząc do wniosku, że w zasadzie nie ma innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na propozycję stróżów prawa. – Każę go zawołać.

Czas oczekiwania na Damiana Tyrmanowskiego mężczyźni wypełnili rozmową.

– Czego dotyczy eksperyment? – zagadnął Suski.

– Słyszeli panowie o stanfordzkim eksperymencie więziennym albo eksperymencie Milgrama? – zapytał Władysław.

– Chyba coś czytałem – powiedział Rafał, gładząc się po brodzie. – Ale nie wiem, czy dobrze go wtedy zrozumiałem. Proszę nam opowiedzieć o tych eksperymentach, z chęcią posłuchamy.

– Ochotnicy do mojego eksperymentu wywodzą się z różnych klas społecznych. Zamknęliśmy ich na dwa miesiące w kilku wydzielonych pomieszczeniach zakładu psychologii. Wcześniej podzieliliśmy ich na trzy grupy – skazanych, nadzorców i naukowców.

Policjant i prokurator słuchali monologu profesora z dużym zainteresowaniem. Instykt Suskiego podpowiadał mu, że mimo miłej powierzchowności naukowca, coś jest z nim nie w porządku. Był elokwentny i stonowany, jednak pod płaszczykiem uprzejmości kryło się coś niepokojącego.

– Zgodnie z badaniami zapoczątkowanymi w 1971 roku przez Philipa Zimbardo zwykły szary człowiek, poddany presji autorytetu, skłonny jest postępować w sposób irracjonalny, niezgodny z własnym kodeksem zasad moralnych. W jego eksperymencie organizatorzy dawali nadzorcom bardzo delikatne wskazówki związane z potrzebą zachowania porządku wśród więźniów. Badania Zimbardo wskazały, że uczestnicy eksperymentu z grupy nadzorców dopuszczali się karygodnych zachowań w stosunku do więźniów, bijąc ich i znęcając się nad nimi emocjonalnie, choć wcale nie musieli tego

robić. Podobne przypadki, tyle że w realnych warunkach, miały miejsce w więzieniach i obozach koncentracyjnych, gdzie szeregowi żołnierze torturowali, a potem zabijali skazańców z zimną krwią, choć nie mieli wcale takich rozkazów.

– Dlaczego ci ludzie tak się zachowywali? – dopytywał Rafał.

– Wielu badaczy zadawało sobie pytanie, dlaczego człowiek postawiony w takiej sytuacji, zachowuje się niczym bestia, nie wykazując ani grama współczucia? Okazało się, że odpowiedzią jest autorytet, który pozwala usprawiedliwić bestialskie zachowanie strażników.

– To ciekawe – podsumował Suski.

– W moim wariacie eksperymentu, autorytet w postaci grupy naukowców ma być skorumpowany, chwiejny i ulegać presji otoczenia. Chciałbym zbadać jak bardzo, w takich okolicznościach, strażnicy skłonni są do agresywnych zachowań w stosunku do więźniów. Uniwersytet zgodził się na sfinansowanie badania, dlatego skorzystałem z szansy. Tego typu eksperymenty mogą nam bardzo dużo powiedzieć o ludzkiej psychice i zachowaniu. Są cennym źródłem wiedzy o naszych korzeniach i ewolucji.

– Sami panowie przyznają, że większość ludzi wykona polecenie policjanta, nawet jeśli jest ono sprzeczne z prawem. Ale wystarczy zamienić funkcjonariusza na menela, a polecenia nie wykona nikt – tłumaczył profesor.

– Fakt – potwierdził prokurator, rozglądając się po gabinecie.

Zanim w drzwiach pojawił się Damian Tyrmanowski. Władysław zwrócił się do Rafała i Mariana.

– Mam prośbę, aby nie wspominać o celu eksperymentu ani o jego zasadach. Oni niczego nie wiedzą i chciałbym, aby tak zostało. Jeśli jakkolwiek przeciek pojawi się wśród więźniów, może to zaburzyć ostateczny wynik.

– Jasna sprawa – potwierdził prokurator.

Chwilę potem do gabinetu wszedł wysoki dobrze zbudowany mężczyzna w szarym ubraniu więźnia.

– Przepraszam, ale czy moglibyśmy porozmawiać z Damianem na osobności? – zapytał Suski.

Profesor przytaknął, po czym opuścił gabinet.

– Witamy – zaczął Marian. – Jesteśmy z policji i prokuratury regionalnej. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa.

Neutralna początkowo twarz chłopaka zmieniła się radykalnie. Usiadł na krześle, położył dłonie na kolanach i wbił przerażony wzrok w prokuratora.

Suski dobrze znał się na ludziach i niemal od razu rozpoznawał kryminalistę. Ten chłopak był jednak zupełnie inny – nieśmiały i zakompleksiony. Życie zapewne nie szczędziło mu razów.

– Co robiłeś pięć dni temu? – zapytał Suski, przewidując z góry odpowiedź chłopaka.

– Od niemal sześciu tygodni jestem zamknięty. Mamy tu sypialnie, kuchnie. Żyjemy całą grupą – tłumaczył Tyrmanowski.

– Ile osób bierze udział w eksperymencie? – zapytał Rafał.

– Jest dwudziestu dwóch więźniów, z czego dziesięć kobiet. Poza tym siedmiu strażników i trzech naukowców. No i profesor, który sprawuje nad wszystkim pieczę.

– I nie macie możliwości wyjścia na zewnątrz? – zapytał Marian.

– Podpisaliśmy z uniwersytetem umowę, zgodnie z którą nie możemy opuścić terenu zakładu.

– I nie opuszczacie? – zapytał Trygar.

– Kamery śledzą nas całą dobę. Nie mamy nawet jak wyjść poza uniwersytet.

Marian Suski wyciągnął z aktówki kilka fotografii i wręczył je mężczyźnie.

– Proszę na nie spojrzeć. Czy rozpoznaje pan kogoś na tym zdjęciu?

Damian oglądał uważnie fotografie, na początku Jagny Filiańskiej, potem Waldemara Komara i Lucyny Kortyńskiej. Między nimi przewinęły się również wizerunki Dominiki Figiel, Krzysztofa Kortyńskiego i Wiktorii Kortyńskiej, a nawet Piotra Wędzickowskiego.

– Nie znam tych ludzi. Nigdy ich nie widziałem – odpowiedział Tyrmanowski.

– Jaki nosisz numer buta? – zapytał nieoczekiwanie Trygar.

Mężczyzna spojrział na policjanta z przestraczem w oczach, po czym odpowiedział:

– Czterdzieści pięć. Ale o co chodzi?

Suski spojrział na Trygara porozumiewawczo, po czym zaczął mówić:

– Powiem szczerze. Pięć dni temu zginęła ta kobieta. – Suski wskazał palcem na zdjęcie Lucyny Kortyńskiej. – Na jej ubraniu odnaleźliśmy twoje DNA.

W tym momencie mężczyzna zaniemówił. Cofnął głowę, jakby próbował uchylić się przed ciosem, a jego oczy zrobiły się wielkie jak pięcioletówki.

– Chyba nie podejrzewają mnie panowie o zabójstwo tej kobiety? – zapytał zdezorientowany Damian.

– Wygląda to dziwnie – tłumaczył Marian. – Ślady DNA jednoznacznie wskazują, że musiał pan mieć jakiś kontakt z Lucyną Kortyńską. Z drugiej strony ma pan alibi.

– Czy będą mi postawione jakieś zarzuty? – zapytał Tyrmanowski.

– Na razie nie – odpowiedział Suski. – Proszę jednak być na każde nasze wezwanie.

– Za udział w eksperymencie mam dostać całkiem niezłą kasę. Nie mogę zerwać warunków umowy. Muszę pozostać tu jeszcze dwa tygodnie – tłumaczył Damian.

Trygar podrapał się po brodzie, wstał i zaczął oglądać dyplomy i zdjęcia pozawieszane na ścianach gabinetu profesora.

– Proszę nam trochę o sobie opowiedzieć. Gdzie się pan urodził, co pan robił dotychczas? – zachęcał Rafał, przyglądając się zdjęciu, na którym profesor Stroiński stoi obok ministra zdrowia.

Chłopak przewrócił kilka razy oczyma, po czym zaczął opowiadać:

– Pochodzę z domu dziecka i nigdy nie poznałem swoich rodziców.

Już pierwsze zdanie zainteresowało Suskiego na tyle, że przerwał wypowiedź Tyrmanowskiego.

– Nie próbował pan nigdy sprawdzić, kim są pańscy rodzice? – zapytał.

Chłopak odpowiedział dopiero po chwili.

– Moje życie było trudne. Po tym, jak opuściłem dom dziecka, nie mogłem długo znaleźć pracy. Udało mi się zahaczyć dopiero na budowie i to po znajomości. Pomogła mi jedna z wychowawczyń z domu dziecka. I to właśnie w budowlance spędziłem najwięcej czasu jako pracownik. Sporo przebywałem na bezrobociu. Nie miałem żadnej rodziny ani znajomych, którzy mogliby mi pomóc, dlatego często było bardzo ciężko. Na ziemniaki z kefirem już nie mogę patrzeć.

– Czy to z tego powodu zgłosił się pan do eksperymentu? – zapytał prokurator.

– Była przerwa w pracach budowlanych, nie było roboty, to się zgłosiłem. Dwa miesiące hotelu za darmo, smaczne żarcie i jeszcze mi za to zapłacą – stwierdził chłopak.

– Czy przed eksperymentem byliście badani fizycznie albo psychicznie? – zapytał Rafał.

– Tak, pobierano od nas próbki krwi, sprawdzano stan naszego zdrowia, również psychicznego. Najwyraźniej wszystko ze mną było w porządku, skoro się dostałem. A chętnych było całkiem sporo. Wytrzymam jeszcze te dwa tygodnie, biorę kasę i wracam do roboty.

– Rozumiem. A czy ktoś pana ostatnio straszyl? A może wydarzyło się coś dziwnego? – zapytał Rafał, który nie do końca wiedział, jak sformułować otwarte pytanie.

Chłopak przecesał krótkie włosy, podrapał się po głowie i odpowiedział:

– W moim życiu nic się nie dzieje. Nawet dziewczyny nie mam.

– A jak odnajduje się pan w eksperymencie? – zapytał Rafał. Dopiero po chwili zreflektował się, że obiecali profesorowi Stroińskiemu, że nie będą pytali o przebieg doświadczenia. Było jednak za późno, aby się wycofać.

– Nie powiedzieli nam do końca, o co w tym chodzi. Mówili, że będą nas obserwować. Jak dla mnie ci strażnicy to jacyś sadyści, ale znoszę to dla pieniędzy. Życie przynosi znacznie gorsze rzeczy. Poza tym profesor przestrzegał nas, abyśmy nie rozmawiali z nikim z zewnątrz o eksperymencie, bo może się nie udać i nie dostaniemy pieniędzy. Dlatego musimy milczeć.

– Rozumiem – powiedział Trygar. Spojrzał na Suskiego porozumiewawczo, po czym wyciągnął rękę w kierunku Damiana. – Nie będziemy dłużej zatrzymywać. Proszę wracać do więźniów. – Ucisnął dłoń chłopaka.

Policjant i prokurator pożegnali się z profesorem Stroińskim i wrócili na komendę, aby zdać relację z wizyty w zakładzie psychologii.

ROZDZIAŁ 46

Do pokoju wbiegł podekscytowany Tymon Foltyński. Stanął na środku i obwieścił wszystkim zebrany sensacyjną wiadomość.

– DNA odnalezione na ubraniu Lucyny Kortyńskiej tylko w dziewięćdziesięciu procentach zgadza się z DNA Damiana Tyrmanowskiego.

Marzena Gibała skrzywiła głowę niczym zaciekawiony ptak, zastanawiając się, co wynika z informacji przekazanej przez Foltyńskiego.

– Jaka z tego konkluzja? – zapytał Rafał Trygar, który najwyraźniej też nie zdołał prawidłowo zinterpretować wypowiedzi starszego aspiranta.

– To ktoś z najbliższej rodziny – wypalił Foltyński. – Zdaniem lekarzy to może być DNA brata Damiana Tyrmanowskiego. Może nawet dwujajowego brata bliźniaka.

Na sali zapanowała cisza, którą jako pierwszy przerwał Marian Suski.

– Z rozmowy z Tyrmanowskim wynika, że wychowany został w domu dziecka. Jeśli nawet miał brata, to mógł o nim nie wiedzieć.

– A moim zdaniem nie powiedział nam prawdy – stwierdził Trygar.

– Ten chłopak to nieopierzony dzieciak. Boi się życia. Widziałeś jego zachowanie? To nie mogło być udawane – podsumował Marian.

– Widziałem już wielu zwyrodnialców, którzy doskonale odgrywali zagubione ofiary – odpowiedział Rafał.

– Ale nie ten chłopak – obstawał przy swoim Suski. – Niemniej jednak konkluzja jest taka, że zabójca nadal jest na wolności. Możemy też poczekać, aż pan V dopadnie Krzysztofa Kortyńskiego.

– Kortyński jest pod policyjną obserwacją – dodał Tymon.

Zapanowała krępująca cisza, która jednoznacznie wskazywała, że nikt nie ma pomysłu, w jakim kierunku poprowadzić dalsze śledztwo.

– Jak nic – przerwała Marzena Gibała – to robota dla mnie. Rozdziewiczę tego chłoptasia i dowiem się, co ukrywa.

Policjanci i prokurator spojrzeli na Marzenę wzrokiem bazyliuszka, sądząc, że to jeden z tych pomysłów, kiedy najpierw policjantka coś powie, potem pomyśli. Dopiero po dłuższym zastanowieniu Marian doszedł do wniosku, że propozycja funkcjonariuszki nie jest wcale taka głupia.

– Zgłosisz się do eksperymentu jako naukowiec? Magister psychologii stosowanej? – zapytał Tymon.

– Nie żartuj – odpowiedziała Marzena. – Aby zbliżyć się do Tyrmanowskiego, muszę zostać więźniem. Z tego, co opowiadaliście o przebiegu eksperymentu, tylko w ten sposób będę mogła się z nim spotykać. Zresztą, będąc strażnikiem albo naukowcem, na pewno nie zdobyłabym jego zaufania.

– Co chcesz tym osiągnąć? – zagadnął Suski.

– Mam dwa tygodnie do końca eksperymentu. Spróbuję wykorzystać swoje atuty, aby ten dzieciak mi zaufał i powiedział cokolwiek, co pozwoli nam trafić na trop brata.

Suski zastanawiał się przez chwilę, wreszcie z braku lepszego pomysłu, zgodził się na propozycję Marzeny Gibały.

– Niech będzie. Pogadamy z profesorkiem, aby wkręcił cię do eksperymentu – zawyrokował. – Mamy jakieś wieści o tej dziennikarce Dominice Figiel?

– Na razie cisza – odpowiedział Tymon. – Nie znaleźliśmy ciała, nikt nie zgłosił się z okupem.

– A co robimy z bratem? – zapytał Trygar.

– Wdrażamy procedurę standardową. Roześlijcie zdjęcia tego Tyrmanowskiego z listem gończym. Oczywiście, bez żadnych nazwisk.

– Zrobi się – odpowiedział komisarz.

– Udało się coś znaleźć, analizując miejsce porwania Lucyny Kortyńskiej? – zapytał prokurator.

– Ślady opon nigdzie nas nie doprowadziły – stwierdził Fołtyński.

Marian Suski wyszedł z pomieszczenia niepocieszony, co ostatnio było już niemal normą.

ROZDZIAŁ 47

Władysław Stroiński był przeciwny propozycji prokuratora Suskiego, aby umieścić w eksperymencie policjantkę.

– Przecież to mi rozwali cały projekt – mówił podniesionym głosem. – Podstawiona osoba będzie znała cel eksperymentu. A co, jeśli komuś coś powie?

– Będzie trzymała język za zębami – zapewnił Marian. – Chcemy jedynie zbliżyć się do Damiana Tyrmanowskiego. Nie zamierzamy wpływać na przebieg eksperymentu. Można to przedstawić uczestnikom w dowolny sposób. Zakładam, że robił im pan już niejedną niespodziankę. Wejście Marzeny można potraktować jako kolejną.

Profesor wstał z fotela i zaczął przechadzać się po gabinecie.

– To absolutnie wykluczone – powiedział wreszcie. – Przeznaczyłem na te badania wiele lat życia. Nie mogę teraz zaprzepaścić takiej szansy i zaufać obcej osobie.

– Policjantka dostanie nową tożsamość, będzie grała kogoś zupełnie innego. Nie będzie ingerowała w przebieg eksperymentu. Dodatkowo podporządkuje się wszystkim zasadom – przekonywał Marian.

– Czy mogę porozmawiać z tą osobą? – zapytał profesor.

Na znak Suskiego w gabinecie Władysława pojawiła się Marzena Gibała. Ubrana w krótką zwiewną spódnicę wyglądała promieniście, długie kształtne nogi zakończone czerwonymi szpilkami przykuwały uwagę. Niezadowolona twarz profesora Stroińskiego w jednej chwili zmieniła się w pogodną i skora do kompromisu. Jeśli wcześniej był przeciwny wprowadzaniu nowego uczestnika do eksperymentu, po zobaczeniu Marzeny Gibały skłonny był zmienić zdanie.

– Dobrze, niech tak będzie – powiedział wreszcie, patrząc na policjantkę siadającą na krześle. – Pewnie i tak nie miałbym innego wyjścia – podsumował Stroiński.

Rafał Trygar spojrział na Tymona Foltyńskiego i uśmiechnął się, dochodząc do wniosku, że zgodnie z teorią Marzeny, argument dupy i cycka pozwala przenosić góry.

ROZDZIAŁ 48

Kortyński siedział w domu, dopijając piąte piwo. Nie miał planów ani na przyszłość, ani na teraźniejszość. Znienawidzona żona nie żyła, córka z gospożą siedziały gdzieś w kącie domu. W BudMecie też był skończony. W zasadzie mógłby spróbować wrócić, aby odbudować straconą reputację i na nowo zaangażować się w sprawy firmy. Wiedział jednak, że będzie to powolna śmierć i nigdy już nie uda się odzyskać dawnej pozycji. Należało sprzedać udziały w BudMecie i zacząć budować coś nowego. Był jednak pewien problem. Najnormalniej w świecie, brakowało mu motywacji do działania. Wydarzenia ostatnich tygodni coś w nim złamały, jakiś żar, który nosił w sobie od urodzenia.

Myślał o wszystkich kobietach, które przewinęły się przez jego życie. Jakiś zwyrodnialec zabijał je po kolei z zimną krwią. Może na Krzysztofa też zapadł już wyrok? I jeszcze Dominika Figiel. Może potrzebowała pomocy, kiedy on siedział beczynnienie, topiąc smutki w alkoholu? Tylko gdzie jej szukać? Policja nie miała najmniejszego śladu, który pozwoliłby znaleźć trop.

Krzysztof wstał z kanapy i ruszył w stronę lodówki. Wyciągnął kolejne piwo i wyszedł przed dom, aby zobaczyć, czy samochód z tajniakiem, który od jakiegoś czasu stał przed posesją, nadal tam jest. Otworzył puszkę piwa i poirytowany ruszył w kierunku bramki. Otworzył ją i podszedł do czarnego opla. Zapukał w szybę. Uchyliły się drzwi i Kortyński ujrzał tęgiego mężczyznę w swetrze.

– Nie życzę sobie obstawy – wymamrotał.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedział tajniak.

– Wiem, że jest pan z policji. Jeśli natychmiast pan stąd nie odjedzie, wezwę prawników, którzy załatwią to w nieco mniej kulturalny sposób – zagroził Krzysztof.

– Jest pan w niebezpieczeństwie – zmienił front tajniak. – Jestem tu, aby pana chronić.

– Sam potrafię zadbać o własne bezpieczeństwo. Proszę stąd natychmiast odjechać – powiedział Kortyński, po czym wrócił na teren posesji.

Odprowadził odjeżdżający samochód wzrokiem, po czym ruszył do drzwi wejściowych. Wszedł do domu, usiadł na kanapie i wpatrywał się nieobecny wzrokiem w okna tarasu.

W pewnym momencie usłyszał czyjeś kroki. Spojrzał za siebie i zobaczył Wiktorię schodzącą ze schodów. Doznał dziwnego uczucia déjà vu. Przypomniał sobie traumatyczną scenę, kiedy dziewczyna próbowała popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły. Tym razem jednak chodziło o coś zupełnie innego. Młoda Kortyńska stanęła pośrodku pokoju. Z opuszczonymi wzdłuż tułowia rękami, podkrążonymi oczyma i bladą cerą przypomniała widmo z japońskich horrorów.

– Tato – wymamrotała. Po policzkach popłynęły jej łzy. – Ja nie chciałam.

Mężczyzna, zamroczony alkoholem, spojrzał na córkę, próbując powstrzymać fale emocji kotłujące się pod czaszką. Płacz własnego dziecka poruszył w nim ukryte pokłady współczucia i empatii. Potrząsnął głową, próbując pozbierać myśli.

– Mama mi kazała. To ona była wszystkim winna – tłumaczyła dziewczynka.

Krzysztof pękł, podszedł do dziewczynki i przytulił ją. Poczuł, że jeszcze kilka sekund i nie będzie w stanie opanować łez. Stali przytuleni do siebie i płakali. Nad losem, pokręconym życiem i chorym światem.

– Wiem, Wiktoria, że to ona zmusiła cię do tego. Wiem, córeczko. Nie gniewam się na ciebie – powiedział Kortyński, czując, jak ciężkie kowadło spada mu z serca. Czekał na ten moment od kilku lat. Doczekał się dopiero w chwili nieszczęścia, kiedy nie było już czego zbierać spośród wojennych zgłiszczy. Z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, że rany, jakie nosili w sercach, jeszcze długo się nie zabliznią.

– Kocham cię, tato. Czy będzie już dobrze? – zapytała Wiktoria.

– Tak, córeczko. Teraz będzie już dobrze.

ROZDZIAŁ 49

Marzena Gibała została wprowadzona do eksperymentu pod przybraną tożsamością. Nazywała się Anna Waltor i była kucharką. Policjantka sądziła początkowo, że zamknięty zakład będzie przypominał więzienie, jednak oprócz faktu, że mężczyźni i kobiety spali w osobnych pokojach, całe życie toczyło się w kilku pomieszczeniach, gdzie więźniowie mogli się swobodnie poruszać. Po porannym posiłku, wszyscy delegowani byli do pracy, gdzie wykonywano różnego rodzaju rękodzieła artystyczne. Marzenie przypadło w udziale wycinanie zwierzątek z papieru. W zasadzie nawet jej się to podobało. Czowała, jakby cofnęła się w czasie o dwadzieścia lat, a rodzice wysłali ją na obóz harcerski. Kłopoty zaczęły się nieco później, kiedy pomiędzy więźniami pojawili się strażnicy.

Przysadzista kobieta koło pięćdziesiątki obserwowała Gibałę uważnie. Ponieważ Anna Waltor została wprowadzona do eksperymentu na ostatnie dwa tygodnie, wszyscy zdawali sobie sprawę, że albo musi być szpiclem, albo ma jakieś specjalne zadanie, które zlecili jej naukowcy czy nawet sam profesor.

– Źle to robisz – odezwała się strażniczka, którą Marzena nazwała w myślach Helgą. – Musisz być bardziej uważna. – Gruba baba uderzyła Gibałę linijką po rękach. Policjantka syknęła z bólu. Przeszło jej przez myśl, żeby odwrócić się i uderzyć kobietę otwartą ręką z liścia. Powstrzymała się jednak i nie zareagowała. Wróciła do swoich zajęć, starając się przykładać więcej uwagi do wykonywanej pracy. Przede wszystkim jednak siadała blisko Damiana Tyrmanowskiego, aby wykorzystać okazję do zainicjowania kontaktu.

Po wymianie kilku zdawkowych zdań z chłopakiem doszła do wniosku, że cały arsenał kobiecych sztuczek, jakie zwykle działały na mężczyzn, w tym przypadku na niewiele się zda. Przyczyna była prozaiczna, ten człowiek był niedojrzały emocjonalnie. Zapewne był również prawiczkciem. Dużo bardziej potrzebna mu były opieka i matczyzna troska niż erotyczne uniesienia. Gibała

postanowiła uderzyć w nutę wyświechtanych truizmów, których z racji wieku, chłopak mógł jeszcze nie znać.

– Też masz czasem poczucie, że nikt cię nie rozumie? – zapytała Gibała. – Jakbyś zupełnie nie pasował do tego świata?

Początkowo mężczyzna był obojętny na słowa Marzeny i starał się utrzymywać dystans. Dopiero przy którejś próbie z kolei, udało się nawiązać nić porozumienia. Policjantka miała jakiś szczególny dar, który sprawiał, że ludzie nawet po dość krótkiej znajomości, chcieli jej się zwierzać ze swoich bolączek i tajemnic.

– Mam wrażenie, że jestem z innego świata. Wychodząc z domu dziecka, wyobrażałem sobie, że cała ta rzeczywistość zorganizowana jest zupełnie inaczej. Przede wszystkim myślałem, że będę miał na nią większy wpływ. Tymczasem okazało się, że wszędzie są układy, których nic nie jest w stanie zniszczyć.

Marzena przytaknęła, zastanawiając się, w którym momencie życia człowiek uświadamia sobie smutny fakt, że w świecie liczą się tylko koneksje. Jeśli nawet uda się wyzwolić z jednej pajęczyny zależności, zawsze wpada się w kolejną. Chyba tylko pustelnik na Saharze może powiedzieć, że jest wolnym człowiekiem. Choć z drugiej strony, musi przecież skądś zdobywać jedzenie i picie, a więc jest zależny od przyrody.

– Mam trochę więcej lat od ciebie – zaczęła Gibała – dlatego dam ci radę, która nieraz ułatwiła mi życie. Przywyknij do świata takiego, jaki on jest, w przeciwnym wypadku będziesz nieszczęśliwy. Jeszcze się taki nie znalazł, który poszedłby na zapasy z rzeczywistością i wygrał. Jeśli pogodzisz się z tymi wszystkimi ograniczeniami, które dają życie, i skupisz tylko na tych elementach, na które faktycznie masz wpływ, wtedy otaczający świat staje się znośny.

Mężczyzna po raz pierwszy od początku znajomości z Gibałą uśmiechnął się.

– Fajnie, że tu przysłaś – dodał.

Marzena miała wyrzuty sumienia. Czuła opory przed manipulowaniem chłopakiem, który tańczył w rytm jej muzyki. Cały czas pamiętała jednak

o wyższym celu, dla którego uczestniczy w tej szopce.

Kolejne godziny upływały grupie więźniów na posiłkach i jakichś dumnych ćwiczeniach fizycznych organizowanych tylko po to, aby strażnicy mogli się na więźniach wyżywać. W czasie kolacji Gibała była świadkiem dziwnego zajścia. Wśród więźniów i strażników pojawiła się dwójka naukowców, którzy zaczęli się spierać.

– Mówię ci, że powinni mieć dodatkową gimnastykę przed snem.

– Nieprawda. Zastosujmy medytację, to lepiej relaksuje – tłumaczył drugi z naukowców.

Cała scena wydawała się Marzenie dosyć kuriozalna, jednak już po chwili zorientowała się, jaki jest jej cel. Autorytet władzy miał być chwiefny. Strażnicy mieli widzieć, że naukowcy nie mają jednoznacznego planu, jak postępować z więźniami.

Profesor Stroiński, przeprowadzając eksperyment, chciał uzyskać odpowiedź na pytanie: jak ludzie sprawujący władzę wykonawczą, zareagują na niejednoznaczne sugestie autorytetu? Czy będą skłonni do większej empatii dla więźniów, czy wręcz przeciwnie, poczują legitymizację i szersze kompetencje do znęcania się nad podwładnymi?

Gibała nie miała ochoty uczestniczyć w tym spektaklu, dlatego podeszła do Damiana Tyrmanowskiego i zagadnęła:

– Wiesz, że ja też wychowywałam się w domu dziecka – powiedziała, czując, że rzucając kłamstwo tak dużego kalibru, trochę przesadziła. Na szczęście wypowiedziane zdanie szybko znalazło podatny grunt. Nie trzeba było długo czekać, żeby Damian zgodził się przejść do pomieszczenia, które można było nazwać świetlicą, aby spokojnie porozmawiać. Tyrmanowski opowiadał Gibale o przeżyciach z domu dziecka. O samotności, jaką odczuwa niemal codziennie i o całej beznadziei, jaka wypełnia jego mózg. Policjantka dowiedziała się również, że Damian próbował kiedyś odnaleźć rodziców, jednak ten interesujący Marzenę wątek, przerwała kolacja.

Nazajutrz po śniadaniu Gibała została poproszona do izolatki, gdzie czekał na nią profesor Stroiński. Zastanawiała się, co takiego ją tam spotka. Zakładała, że będzie to jakiś kolejny punkt eksperymentu. Może profesor chciał stworzyć

pozory przed pozostałymi uczestnikami, dlatego postanowił nie wykluczać Marzeny ze standardowej procedury, pod którą podlegali wszyscy członkowie testu? Nie było to wcale takie głupie, bo dzięki podobnemu ruchowi mniej osób będzie podejrzewało Marzenę o szpiegostwo.

Na białej sali stał ginekologiczny fotel. Profesor Władysław Stroiński przywitał pacjentkę w białym lekarskim kitlu. W tym właśnie momencie Marzena poczuła, że narasta w niej podniecenie, ponieważ dokładnie w taki sposób wyobrażała sobie jedną ze swoich fantazji erotycznych. Profesor niechcący trafił w podświadome pragnienia kobiety.

– Chciałbym przeprowadzić na pani kilka testów – zaczął Stroiński. – Inni uczestnicy eksperymentu też takie przeszli.

– Skoro zgodziłam się na uczestnictwo w eksperymencie, to nie widzę problemu, abym miała nie przechodzić tego, co wszyscy – powiedziała Marzena.

– Jednak chciałbym zastrzec, że niektóre z metod, jakie stosuję, mogą być nieco szokujące. Jeśli w którymkolwiek momencie, będzie pani chciała przerwać, proszę mi powiedzieć. Dobrze?

Gibała skinęła głową. Byli w pokoju zupełnie sami, mężczyzna wskazał, aby usiadła na fotelu. Ona wykonała posłusznie polecenie. Zapiął jej ręce i nogi skórzanymi pasami. Rozchylił nieco uda, przez co Gibała znalazła się w niekomfortowej pozycji.

– Co to ma być? – zapytała, choć w głębi umysłu bardzo jej się cała sytuacja podobała.

– Chciałbym, aby poczuła się pani niekomfortowo. Temu właśnie ma służyć ten fotel – odpowiedział Stroiński.

– Jeśli tak, to jak najbardziej uzyskał pan efekt zaniepokojenia – przyznała kobieta.

Profesor uśmiechnął się tajemniczo.

– Jak się pani zaaklimatyzowała wśród więźniów?

– Bardzo dobrze – odpowiedziała Marzena. Miała na sobie płócienną szarą koszulę i spodnie, jakie nosili pozostali więźniowie. Strażnicy ubrani byli w coś, co przypominało mundur, a naukowcy mieli białe fartuchy.

– Będę pani zadawał pytania – zaczął profesor.

Myśli Marzeny powędrowały w zakazane rejony. Przez chwilę przeszło jej przez myśl, że w zasadzie nic nie stałoby na przeszkodzie, aby wdać się z profesorem w mały romansik. Mimo wieku był całkiem atrakcyjnym mężczyzną. Dobrze zbudowany, doświadczony, znający zapewne wiele erotycznych trików. Rozmowy nie ułatwiał fotel, na którym Marzena czuła się zupełnie bezbronna. Czytała gdzieś, że sytuacja, w jakiej się znajdowała, była jedną z najczęstszych fantazji erotycznych kobiet. Ona drobna i ubezwłasnowolniona, on silny i męski. Kobieta niewolnica musi spełnić wszystkie zachcianki samca. Co gorsze, były to również ukryte pragnienie Gibały.

– Jaki jest pani stosunek do par homoseksualnych? – zapytał profesor, przerywając erotyczne fantazje Gibały.

– Słucham? – Marzena potrząsnęła głową. – Nie mam nic przeciwko. Jestem tolerancyjna – odpowiedziała zdawkowo.

– W takim razie, co pani sądzi o przemocy podczas aktu seksualnego? – zapytał Stroiński.

Pytania profesora były bardzo bezpośrednie, jednak w jakiś dziwny sposób idealnie wpasowywały się w nastrój Gibały. Z każdą sekundą napięcie erotyczne Marzeny wznosiło się na coraz wyższy pułap.

– Jeśli obie strony na to przystają, to nie mam nic przeciwko – odpowiedziała, zgodnie z własnym przekonaniem.

– Dobrze – profesor zapisał coś w notesie. – A co by pani powiedziała, gdybym jeszcze bardziej ograniczył pani strefę komfortu?

– A w jaki sposób? – zdziwiła się Marzena. – Siedzę tu jak kurczak przygotowany do rosołu, a pan chce mi jeszcze bardziej ograniczać komfort?

– Co by pani powiedziała, gdybym ściągnął pani bluzkę? – zapytał profesor.

Marzena udała zafrasowaną, jednak w głębi umysłu zacierała ręce z zadowolenia. Czyżby profesor przeświecił jej myśli?

– Czy ty profesorku czegoś nie kombinujesz? – zapytała, próbując wyczuć intencje Władysława. Albo faktycznie był to tylko naukowy eksperyment, albo

profesor po prostu sobie z nią flirtował.

– To jest standardowy test. Badam stan pani psychiki na zagrożenie i dysonans. Tak jak mówiłem, jeśli w którymkolwiek momencie czuje pani, że przekraczam granicę przyzwoitości, proszę mi o tym powiedzieć. Natychmiast przerwiemy eksperyment albo wycofamy się do akceptowalnych przez panią pułapów.

– W sumie – zamyśliła się Marzena. – Czemu nie? Rozumiem, że niczego pan tu nie nagrywa? Nie znajdę jutro swoich cycków na YouTube?

– Jesteśmy zupełnie sami. Ma pani zapewnioną pełną dyskrecję – odpowiedział profesor.

– W takim razie proszę mi trochę pomóc, bo jak pan widzi, jestem nieco skrzępowana – powiedziała Marzena. W jej głowie toczyła się wojna rozpusty z pruderią. W zasadzie nic takiego się jeszcze nie wydarzyło, a ona była tak podniecona, że niewiele brakowało, aby rzuciła się na profesora i zdarła z niego ubranie. Problemem były jednak więzy krępujące ruchy. Twarz profesora była niewzruszona, jakby naukowiec wykonywał zwykłą papierkową pracę. Może codziennie, w imię nauki, miał w zwyczaju rozbierać na krześle jakąś panienkę?

Stroiński rozpiął guziki szarej koszuli i zdjął ją z Marzeny. Jego oczom ukazał się biały stanik, idealnie dopasowany do krągłych sterczących piersi.

– Czy możemy kontynuować? – zapytał, kładąc koszulę Marzeny na krześle obok.

– Tak. Oczywiście – odpowiedziała Gibała. – Czy będzie mi pan jeszcze ograniczał komfort? – wypiliła, ganiąc się w myślach, że przyszło jej do głowy tak prowokacyjne pytanie.

Profesor nie odpowiedział, tylko przeszedł do odczytywania kolejnych kwestii z kartki.

– Czy miała pani kontakt seksualny z więcej niż jednym partnerem w tym samym czasie?

Marzena przełknęła ślinę, niemal zupełnie pociemniało jej w oczach. To była druga z fantazji, których nigdy dotychczas nie odważyła się zrealizować, choć raz była już całkiem blisko.

– A czy partnerki się liczą? – zapytała.

– Tak – odpowiedział profesor.

– W takim razie prawie miałam.

– Prawie? – zdziwił się Władysław.

– No takie tam babskie igraszki, wolałabym zostawić szczegóły dla siebie – powiedziała.

– Rozumiem – zanotował profesor. – Czy uprawiała pani seks oralny, analny albo używała zabawek w postaci wibratora, kajdanek czy kulek rozkoszy? – zapytał Stroiński.

– Owszem – odpowiedziała Marzena. Była tak podniecona, że jeśli profesor zaproponowałby jej kolejne ograniczenia strefy komfortu, nie byłaby w stanie ukryć krępującej plamy na majtkach. A pozycja, w jakiej się znajdowała, wcale nie sprzyjała ukrywaniu intymnych części ciała. Marzyła, aby profesor choćby musnął ją ustami albo dotknął, a najlepiej, aby zdjął z niej majtki i bez zastanowienia zanurkował między jej nogi.

– Dziękuję bardzo – urwał Władysław. – Na dzisiaj kończymy.

Odpiął Marzenę od fotela i podał jej koszulę. Zawiedziona kobieta siedziała jeszcze przez chwilę, oddychając ciężko. Kręciło jej się w głowie, sądziła, że za chwilę eksploduje. Mimo ogromnego pragnienia, rozsadzającego podbrzusze, ubrała koszulę i wróciła do więźniów. Od razu udała się do łazienki, gdzie próbowała nieco ochłonać. Przemyła twarz wodą, zastanawiając się nad swoim zachowaniem. Dopiero teraz doszło do niej, że profesor musiał przecież zachowywać pełny profesjonalizm. Nie mógł rzucać się na każdą pacjentkę niczym wygłodniały lew na jagnię. Gibąła wytarła twarz ręcznikiem i wróciła do Damiana Tyrmanowskiego.

ROZDZIAŁ 50

Rafał Trygar, Tymon Foltyński i Marian Suski siedzieli w prokuraturze i wsłuchiwali się w szumiące głośniki. Na biurku rozstawiony był sprzęt radiofoniczny obsługiwany przez dwóch techników.

– Macie coś? – w głośniku usłyszeli niewyraźny głos Marzeny Gibały.

– Nic – odpowiedział Suski. – A jak u ciebie?

Przed wejściem Marzeny Gibały do zakładu psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, technicy policyjni uzbroili kobietę w pierścionek, w którym zamontowana była pluskwa.

– Idzie mi chyba całkiem nieźle. Zaskarbiłam sobie przyjaźń tego chłopaka – szeptła Marzena.

– Nieźle – podsumował Trygar.

– Marian miał rację, to nieopierzony dzieciak, a nie zabójca. Staram się mu matkować, dzięki temu otwiera się coraz bardziej – dodała Gibała.

– Bądź ostrożna – powiedział Suski.

– Próbował odnaleźć rodziców, ale jeszcze nie wiem, czy coś odkrył. Muszę uważać, żeby mnie nie przyłapali, kiedy nadaję z ubikacji.

Trygar uśmiechnął się pod nosem, jednak gęsta broda ukryła skutecznie ten fakt.

– Rozłączamy się – podsumował Suski. – Będziemy w kontakcie.

Policjanci i prokurator po zakończeniu rozmowy z Marzeną patrzyli na siebie, wyczekując.

– Kortyński zauważył naszego człowieka – przerwał ciszę Foltyński. – Powiedział, że nie życzy sobie szpiegowania.

Suski wstał z krzesła i stanął szeroko na nogach.

– Co powiedział? – zapytał.

– Że naśle na nas prawników – dodał Tymon.

– Niech w takim razie, choć raz dziennie przejeżdża tam policyjny patrol. Przynajmniej tyle możemy zrobić – westchnął. – Mamy jakieś wieści w sprawie tej Figiel?

– Cały czas szukamy, ale opornie to idzie – podsumował Foltyński.

ROZDZIAŁ 51

Marzena Gibała w roli kreta czuła się nadzwyczaj dobrze. Odkąd znalazła się w policji kryminalnej, co w dużej mierze zawdzięczała wstawiennictwu ojca, zawsze marzyła o tajnej misji szpiegowskiej. Co więcej, nawet używała gadżetów – pierścionka-pluskwy – niczym James Bond. Przyłapała się jednak na tym, że zamiast rozmyślać, w którym kierunku poprowadzić śledztwo w sprawie Damiana Tyrmanowskiego, jej myśli zbaczały na zupełnie inne tory. Erotyczne fantazje plątały się po jej głowie niczym natrętne lipcowe muchy. Zastanawiała się, kiedy profesor Stroiński zaprosi ją ponownie do gabinetu. Może tym razem rozbierze ją do naga albo podda jakimś torturom? Będzie bił ją pejcem, sprawdzając odporność na ból. Skarciła się w głowie za lubieżne myśli. Może do jedzenia, które dostawali na stołówce, dodany był afrodyzjak? Gibała zdawała sobie sprawę, że nigdy nie była całkiem normalna, ale nagle metamorfoza w nimfomankę zakrawała na kpinę. Była już skłonna uwierzyć, że po przekroczeniu magicznej trzydziestki jej potrzeby seksualne zwiększyły się dziesięciokrotnie.

Podczas jednej z rozmów przeprowadzonych z Damianem Tyrmanowskim Marzena postanowiła zaryzykować i zadać chłopakowi niewygodne pytanie.

– Wspominałeś, że szukałeś rodziców. Wpadłeś na jakiś trop?

Tyrmanowski rozejrzał się, jakby chciał Gibale przekazać jakąś straszłą tajemnicę.

– Ufam ci, dlatego coś ci powiem – wyszeptał.

Marzena nadstawiła ucha. Czyżby wreszcie udało jej się dotrzeć do informacji, która okazałaby się przydatna w śledztwie?

– Starałem się odnaleźć swojego ojca i matkę. Udało mi się dotrzeć do pielęgniarki, która odbierała mnie z okna życia dwadzieścia cztery lata temu. Ponieważ było wtedy upalne lato, zdołała dostrzec kobietę, która miała na ramieniu wytatuowanego orła. Nawet mi go narysowała.

– I czego się dowiedziałeś? – dopytywała Marzena.

– Powęszyłem trochę i odkryłem, co to za symbol. Taki orzeł to znak elitarniej jednostki wojskowej.

Gibała słuchała z zainteresowaniem, potakując.

– Poszedłem dalej tym tropem. Próbowałem dowiedzieć się, kto i gdzie wykonuje podobne tatuaże. Zajęło mi ponad rok, ale ostatecznie odnalazłem takie osoby.

– I gdzie prowadził trop? – zapytała Marzena.

– Do mojej mamy, która wyjechała z kraju, i do profesora Władysława Stroińskiego – wypalił Damian.

Na twarzy Marzeny pojawiło się zdziwienie. Nagle dotarły do niej wszystkie fakty związane z DNA i oknem życia.

– Profesor Stroiński jest twoim ojcem?

– Tego nie wiem, ale właśnie dlatego zgłosiłem się do eksperymentu. Chciałem się przekonać. Pomyślałem, że po wszystkich pójdę do niego i zapytam wprost.

– Gdyby udało się zdobyć włos profesora, czy choćby kawałek naskórka, moglibyśmy potwierdzić w badaniu DNA, czy jest twoim ojcem – zaproponowała Marzena.

Chłopak potaknął, zgadzając się na propozycję Gibały. Przeszło mu jeszcze przez myśl, że kobieta musi mieć niezłe znajomości, skoro ma dojścia do nielegalnych badań DNA.

„Skoro profesor Stroiński był ojcem Damiana, a na ciele Lucyny Kortyńskiej znaleziono DNA brata Damiana, to Władysław bez wątplenia musiał mieć coś wspólnego z zabójstwami pana V” – zastanawiała się Marzena.

Mimo że cała sprawa mocno się komplikowała, wreszcie natrafili na trop, który mógł ich wyprowadzić na prostą. Pierwszą rzeczą, jaką należało zrobić, to poinformować o odkryciu Mariana Suskiego.

W pewnym momencie do pary siedzącej pod ścianą podeszła strażniczka Helga.

– Anna Waltor, proszę się zgłosić do profesora na kolejną sesję.

Marzena przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje. Otrzeźwiała dopiero po chwili, dochodząc do wniosku, że jeśli profesor miał coś wspólnego z panem V, to pójdzie teraz do gabinetu, może się wiązać z wielkim ryzykiem. Z drugiej strony, jeśli odmówi, będzie to wyglądało podejrzanie. Nagle przyszedł jej do głowy rozpaczliwy plan.

– Muszę pójść do toalety i zaraz zamelduję się u profesora – wymamrotała.

– Mam rozkaz osobiście cię przyprowadzić. Pójdę do toalety z tobą i poczekam – powiedziała Helga.

Marzena weszła do kabiny, usiadła na sedesie i zastanawiała się, co zrobić. Nie mogła przecież włączyć nadajnika w pierścionku, bo zdradziłaby się przed Helgą. Zanim jednak wejdzie do gabinetu profesora, musi w jakiś sposób powiadomić kolegów o odkryciu. Postanowiła zaufać nowemu przyjacielowi. Idąc w towarzystwie Helgi do Władysława Stroińskiego, podeszła do Damiana Tyrmanowskiego i szepnęła mu na ucho:

– Jeśli pojawią się tu moi koledzy, powiedz im, że profesor jest twoim ojcem. Niech go sprawdzą... i przepraszam – powiedziała i pocałowała go w policzek, jakby chciała się pożegnać.

Chłopak stał oszołomiony jeszcze przez chwilę, próbując przetrwać usłyszaną przed chwilą informację. Wreszcie odwrócił się, szukając kobiety wzrokiem. Jeszcze jakiś czas wpatrywał się w głąb korytarza, w którym zniknęła Anna Waltor.

ROZDZIAŁ 52

Profesor Władysław Stroiński zaprosił Gibałą do izolatki i podobnie jak za pierwszym razem wskazał ręką na fotel.

– Jesteś gotowa, aby kontynuować eksperyment? – zapytał.

Kobieta posłusznie potaknęła głową.

– Czy możemy od razu zacząć od stanu dyskomfortu?

– Chyba tak. Mam się rozebrać? – zapytała Marzena.

– Do bielizny – powiedział profesor.

Gibała wykonała polecenie i rozsiała się na fotelu. Tym razem jednak ani przez chwilę nie pomyślała o erotycznych uniesieniach. Zastanawiała się, jak podejść profesora, aby wyciągnąć od niego jakieś informacje w sprawie Tyrmanowskiego. Może powinna udawać podniecenie i wyrwać Władysławowi włos, aby oddać go potem do badań DNA? Dzięki niemu mogłaby się przekonać, czy faktycznie był ojcem Damiana?

Profesor podszedł do Marzeny i włożył jej na głowę coś w rodzaju opaski.

– Co to takiego? – zapytała.

– Chciałbym podczas eksperymentu rejestrować przepływ fal mózgowych – odpowiedział.

– Rozumiem – przytaknęła Gibała.

Podczas kolejnych minut zupełnie nie mogła się skupić na rozmowie. Nawet pytania o erotycznym zabarwieniu nie były w stanie zwrócić jej uwagi. Mówiła w sposób mechaniczny, nie przywiązując żadnej uwagi do odpowiedzi.

Wreszcie, po którymś pytaniu, odważyła się profesora zagadnąć.

– Czy ma pan dzieci?

Stroiński zdziwił się nieoczekiwaną zamianą ról. Jakby nie patrzeć, to on był tutaj od zadawania pytań. Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Jedno – wymamrotał.

– A żonę? – zapytała Marzena.

– Jestem singlem. Rozwodnikiem. Wychowuję samotnie dziecko.

– A ile lat ma pańskie dziecko? – dopytywała Gibała, która wyczuła swoją szansę.

– Dwadzieścia pięć. To całkiem duży chłopak.

– I mieszka z panem?

– Tak. A dlaczego to panią interesuje? – zapytał Stroiński.

W tym momencie Gibała postanowiła zagrać *va banque*, postawić wszystko na jedną kartę.

– Czy ma pan może drugie dziecko? – zapytała z pewnością w głosie.

ROZDZIAŁ 53

Marian Suski odebrał telefon. Z każdą kolejną sekundą na jego twarzy odmalowywał się coraz większy niepokój.

– Co się stało? – dopytywał, próbując zrozumieć chaotycznie mówiącego funkcjonariusza policji. – Marzena miała wypadek? Kurwa, jak? Jedźcie z nią do szpitala. Ja wsiedam w samochód i zaraz tam będę.

Gibała została odwieziona do Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii znajdującej się przy ulicy Lindleya. Trafiła tam nieprzytomna, a od dłuższego czasu lekarze utrzymywali ją w stanie śpiączki klinicznej. Diagnoza, którą postawiono po wykonaniu rezonansu magnetycznego, nie nastrajała optymistycznie. Uderzenie w głowę wywołało krwiaka, który spowodował obrzęk uciskający mózg. Kilka najbliższych dni miało rozstrzygnąć o dalszym losie Marzeny. Albo krwiak zostanie powoli wchłonięty przez komórki mózgowia, albo trzeba będzie wykonać trepanację czaszki w celu zmniejszenia ciśnienia wewnątrzczaszkowego i odsączenia krwi. Prokurator Marian Suski, jadąc do szpitala, powiadomił o wszystkim policjantów, którzy pojawili się niemal natychmiast. Dostali od lekarza zaledwie kilka minut, aby popatrzeć na śpiącą Marzenę.

– Kto jej to zrobił? – zapytał Trygar, zagryzając zęby i patrząc na nieprzytomną koleżankę.

– Nie wiem, ale nie spocznę, póki się nie dowiem – odpowiedział Suski.

Rozpoczęło się śledztwo związane z wyjaśnieniem przyczyn zajścia. Zdaniem profesora Władysława Stroińskiego pacjentka po wyjściu z izolatki przewróciła się i uderzyła głową o mebel stojący przy ścianie.

Trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy tak było faktycznie. Równie dobrze mogła zostać zaatakowana przez napastnika, który zadał cios tępym narzędziem. Niestety, świadków zdarzenia nie było, a Marzenę leżącą na

korytarzu odnalazł właśnie profesor Stroiński, co dodatkowo czyniło go głównym podejrzanym.

Policjanci zastanawiali się, co takiego mogło się stać, że wysportowana policjantka przewróciła się na prostej drodze. Folytyński uklęknął, przyglądając się dokładnie feralnej szafce. Okazało się, że technicy odnaleźli na niej mikroskopijne ślady naskórka Marzeny. Nie stwierdzono również śladów walki, co stawiało pod wielkim znakiem zapytania genezę całego zdarzenia.

W poszukiwaniu kolejnych wskazówek postanowili porozmawiać z Damianem Tyrmanowskim, jedną z ostatnich osób, z którą Marzena widziała się przed wypadkiem.

Wysoki mężczyzna usiadł na krześle i ze strachem w oczach spoglądał to na prokuratora, to na dwójkę funkcjonariuszy.

– Proszę nam powiedzieć, czy widział się pan z Anną Waltor przed wypadkiem? – zapytał Marian, który nie chciał jeszcze zdradzać, że Marzena pracowała dla nich.

Chłopak wiercił się przez chwilę na krześle, zanim wydusił z siebie pierwsze zdanie.

– Zwykle nie zawiązuje zbyt szybko przyjaźni, ale z Anną rozumieliśmy się doskonale. Przez te kilka dni zdążyliśmy się zżyć ze sobą – tłumaczył Damian.

– Czy profesor często zapraszał uczestników eksperymentu do izolatki? – zapytał Trygar.

– Tak. To była norma, że co kilka dni ktoś z nas szedł do profesora na sesję. Odpowiadaliśmy na dziwne pytania. Naukowiec notował nasze odpowiedzi.

– I Anna też uczestniczyła w takiej sesji u profesora? – zapytał Tymon.

– Tak – odpowiedział chłopak.

– A ile razy?

– Chyba dwa. Dzień wcześniej też miała sesję u profesora. Prawdę mówiąc, wróciła z niej jakaś taka dziwnie podekscytowana – tłumaczył Damian.

– Dlaczego? – zapytał Rafał.

– Nie wiem, ale ja też za pierwszym razem u profesora byłem podekscytowany – tłumaczył chłopak.

– Czy zwrócił pan uwagę na coś podejrzanego? Może Marzena o czymś wspominała? – zapytał Marian.

Damian wahał się przez chwilę, jakby walczył ze sobą, czy powiedzieć o ostatnich słowach, które usłyszał, zanim Anna została przez strażniczkę odprowadzona do izolatki profesora.

– Powiedziała takie dziwne zdanie – wypalił. – Jeśli pojawią się tu moi koledzy, powiedz im, że profesor jest twoim ojcem. Niech go sprawdzą... i przepraszam – odtworzył z pamięci bez żadnej pomyłki. – Potem pocałowała mnie w policzek, jakby chciała się pożegnać. Miała w oczach taki dziwny smutek.

Marian Suski spojrzał na policjantów i skinął głową.

– Czy Anna była policjantką? – zapytał Damian.

– Tak – odpowiedział prokurator. – Nazywała się Marzena Gibała. Jej celem było dotrzeć do twoich korzeni. Dowiedzieć się, czy masz brata albo rodzeństwo – powiedział Marian, który wciąż wołał nie wyjawiać chłopakowi całej prawdy.

– Anna, znaczy się Marzena... była kapusiem? – zapytał zawiedziony chłopak.

– Niestety tak – odpowiedział Marian.

– Zaprzyjaźniła się ze mną, bo miała w tym interes? Dlatego mnie przeprosiła?

Suski wołał nie wstępować na grząski grunt pytań zadanych przez Damiana.

– Do czego potrzebna wam moja przeszłość? – zapytał Tyrmanowski.

– To tajemnica śledztwa – powiedział Suski.

– Powiedzmy mu – zaproponował Tymon.

Marian zastanawiał się przez chwilę, rozważając ewentualne konsekwencje przekazania Damianowi informacji o sednie sprawy.

– Wyjaśniamy zabójstwa, które miały miejsce w Warszawie. Trop z DNA, które odnaleźliśmy na ubraniu jednej z ofiar, prowadzi do twojego brata. – Suski wypowiedział te słowa tak szybko, że nawet nie był pewien, czy Damian

cokolwiek zrozumiał. Chłopak przez chwilę nie reagował i wpatrywał się tępo w ścianę. Dopiero po chwili przechylił głowę i zapytał:

– Brata?

– Tak wychodzi nam z analizy DNA.

Tyrmanowski, po zastanowieniu, doszedł do wniosku, że to najlepszy moment, aby opowiedzieć, w jaki sposób trafił do eksperymentu i jak udało mu się wpaść na trop Władysława Stroińskiego. Jego relacja była zwięzła i dość chaotyczna, niemniej jednak zarówno prokurator, jak i policjanci nie mieli problemów ze zrozumieniem sedna przekazu. Po wszystkim Suski poprosił Damiana, by ten dalej uczestniczył w eksperymencie i spróbował nie zwracać na siebie uwagi, co pozwoliłoby prokuraturze i policji wykonywać czynności procesowe.

Gdy spotkanie z Tyrmanowskim dobiegło końca, Marian wyjął telefon.

– Namierzcie, gdzie mieszka profesor Władysław Stroiński. Wyślijcie tam patrol. Niech chłopaki się rozejrzą – powiedział.

– A co z profesorem? – zapytał Tymon.

– Siedzi w swoim gabinecie i czeka na naszą decyzję. Musimy go zatrzymać przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny, żeby wyjaśnić kilka spraw.

ROZDZIAŁ 54

Policyjny radiowóz zajechał do wsi Truskaw pod wskazany przez Mariana Suskiego adres. Dwójka funkcjonariuszy wysiadła z pojazdu i ruszyła w kierunku niewielkiego domu stojącego przy lesie. Po wstępnych oględzinach stwierdzili, że nikogo wewnątrz nie ma. Wrócili do radiowozu, połączyli się z centralą i zameldowali, że dom jest pusty.

– Spróbujcie rozejrzeć się po okolicy. Popytajcie sąsiadów, czy nie widzieli lokatorów – padł rozkaz przełożonego.

Ponieważ dom usytuowany był w względnym odludziu, nie za bardzo było kogo pytać. Jeden z policjantów dostrzegł niewielką dróżkę prowadzącą w stronę lasu. Funkcjonariusze, z braku lepszego pomysłu, postanowili udać się ścieżką w gęstwinę.

Szli przez jakiś czas, aż dostrzegli kontury domu majaczące pomiędzy drzewami.

– Ubezpieczaj mnie – powiedział policjant do kolegi i ruszył przed siebie.

Nie zdążył zrobić nawet kilku kroków, kiedy po lesie rozniósł się przeraźliwy krzyk. Idący przodem funkcjonariusz wpadł do wielkiego wilczego dołu, a jego udo przebił sterzący z ziemi zaostzony kij. Drugi z policjantów z przerażeniem spojrział na towarzysza.

– Żyjesz? – zapytał.

– Wyciągnij mnie stąd – wymamrotał ranny policjant.

Wnętrze wilczego dołu wypełnione było ostro zakończonymi palami.

– Miałeś sporo szczęścia – powiedział funkcjonariusz, podając rękę koledze. – Gdybyś spadł na środku, nie byłoby co zbierać.

– Strasznie się cieszę – odpowiedział ranny funkcjonariusz. Z pomocą kolegi wy dostał się na powierzchnię i pokuśtykał w kierunku radiowozu.

Policjanci zameldowali o całej sytuacji centrali, która natychmiast wysłała karetkę pogotowia i posiłki.

ROZDZIAŁ 55

Profesor Władysław Stroiński siedział w gabinecie i z podejrzliwością wymalowaną na twarzy patrzył na Mariana Suskiego i policjantów.

– Chcielibyśmy zbadać pańskie DNA, by sprawdzić ewentualne pokrewieństwo z Damianem Tyrmanowskim – powiedział wprost Suski.

Profesor podrapał się po brodzie i uniósł brwi ze zdziwienia.

– W jakim celu? – zapytał.

– Mamy podejrzenie, że Damian Tyrmanowski jest pańskim synem – dodał Trygar.

– Na jakiej podstawie tak panowie sądzą?

– Proszę nam powiedzieć, czy ma pan dzieci?

– Tak, syna.

– A żonę?

– Wychowuję go samotnie – odpowiedział profesor.

– Czy jest pan pewien, że nie ma pan drugiego dziecka? – zapytał Suski.

Na tak postawione pytanie Władysław nie odpowiedział od razu. Zawiesił głos, jakby potrzebował czasu na przywołanie w głowie wydarzeń z przeszłości. Wreszcie wolno, z namaszceniem zaczął mówić:

– Moja była żona urodziła bliźniaki – tłumaczył profesor. – Byliśmy wówczas w trakcie rozwodu. Ona dostała opiekę nad jednym z synów, ja dostałem drugiego chłopaka. Z tego, co wiem, wyjechali do Brazylii wraz z narzeczonym żony, teraz już pewnie mężem.

– Czy od tamtego czasu nie komunikował się pan z żoną? Nie utrzymywał kontaktów z drugim dzieckiem? – zapytał Foltyński.

– Żona była temu przeciwna. Chciała zerwać ze mną wszelkie kontakty. Prosiła, abyśmy nigdy się ze sobą nie komunikowali. Dzieci również miały się nigdy nie poznać – opowiadał Stroiński.

Suski podrapał się po głowie. Nie bardzo wierzył w historyjkę profesora.

– Co was tak bardzo poróżniło? – zapytał.

Stroiński poprawił się w fotelu, odchrząknął, po czym kontynuował opowieść.

– To było tak dawno temu, że pamiętam to jak przez mgłę. Generalnie nie dogadywaliśmy się z żoną.

– Tylko tyle? Czy może było coś znacznie gorszego? Możemy zanurkować w pańską przeszłość i bez wątpienia wszystkiego się dowiemy.

Stroiński zmrużył oczy, zacisnął pięści i spojrzał wyzywająco na Suskiego.

– Żona oskarżyła mnie o to, że ją biję. Ale sąd mnie uniewinnił – dodał profesor.

– Jak niemal wszystkich mężów oskarżonych o przemoc w rodzinie – wtrącił Foltyński.

– Konkluzja jest taka, że nie widział pan żony i dziecka od dwudziestu pięciu lat – rzucił prokurator.

Profesor skinął głową.

– Czyli istnieje prawdopodobieństwo, że Damian Tyrmanowski jest pańskim synem? – zapytał Suski. – Z jego relacji wynika, że został zostawiony w oknie życia jako roczne dziecko.

Żrenice profesora rozszerzyły się, a oddech przyspieszył.

– Słucham? – wymamrotał.

Suski nie odpowiedział, dając Stroińskiemu czas na dojście do siebie.

– Czyli – powiedział, rwanym głosem – ona go zostawiła. Ale jak? – profesor błędził wzrokiem po ścianach, jakby próbował znaleźć odpowiedź na nurtujące go pytania.

Na sali zapanowała niezręczna cisza przerywana tylko głośnymi westchnieniami Władysława.

– Sami panowie powiedzcie – powiedział wreszcie Stroiński z pretensją w głosie – czy sam fakt, że potrafiła zostawić własne dziecko, nie świadczy o tym, jaka była?

– Nie wiemy, co się stało. Może nie miała innego wyboru. Nie nam osądzać jej decyzje – powiedział Suski.

– Dowiedzcie się, dlaczego ona to dziecko tam zostawiła – poprosił Stroiński.

Suski skinął głową.

– Czyli Damian jest moim dzieckiem? – zapytał profesor.

– Wszystko na to wskazuje – odpowiedział Trygar. – Zastanawia mnie tylko jeden dziwny fakt. Jeśli są bliźniakami, to dlaczego nie rozpoznał pan Tyrmanowskiego?

– Byli bliźniakami dwujajowymi – tłumaczył Władysław. – Najwyraźniej jedno dziecko przejęło cechy po mnie, drugie po matce.

Profesor zagryzł paznokcieć, jakby nie mógł pogodzić się z natrętną myślą świdrującą głowę.

– Czuję, że coś z tym chłopakiem jest nie w porządku. Mogłem mu się bliżej przyjrzeć, wtedy dostrzegłbym podobieństwo. I ten głos. Jak mogłem tego nie zauważyć.

– Proszę nam powiedzieć, co robi dziecko, którym się pan obecnie zajmuje? – wtrącił Trygar.

– Nic nie robi. Jest na moim utrzymaniu – odpowiedział Stroiński.

W pewnym momencie zadzwonił telefon Mariana Suskiego. Prokurator odebrał i słuchał przez chwilę informacji o rannym policjancie, który wpadł w pułapkę niedaleko posesji profesora Stroińskiego. Schował telefon do kieszeni i zwrócił się w stronę Władysława.

– Policjant, którego wysłaliśmy do pańskiego domu, wpadł do wilczego dołu. Cudem uniknął śmierci. Może nam pan to jakoś wyjaśnić?

– Jestem myśliwym, wraz z synem zrobiliśmy pułapki, aby odstraszać nieproszonych gości. To nasza ziemia, nikt nam nie zabroni – tłumaczył Stroiński.

– Jaki numer buta nosi pański syn? – zapytał Foltyński.

Władysław cofnął głowę zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem. Odchrząknął, po czym odpowiedział:

– Czterdzieści pięć.

– A gdzie jest teraz pański syn? – zapytał Suski.

– Powinien być w domu, ale jest wolnym człowiekiem. Mógł pojechać do Warszawy.

– Czy posiadacie może węża? – zapytał Marian.

– Tak, Euzebiusz ma kobrę królewską. W wolnym czasie zajmuje się jej tresurą.

– Czy zgłosili państwo węża w urzędzie gminy? – zapytał Tymon.

– A jest taki obowiązek? – profesor udał zaskoczenie.

– To jadowity wąż. Mają panowie obowiązek to zgłosić – pouczał Marian tonem urzędnika.

– Zgłosimy go – powiedział profesor.

– Nie chce mi się wierzyć, że pan, światły człowiek, mógłby nie wiedzieć o potrzebie rejestracji jadowitego węża – powiedział Suski.

Profesor zbył uwagę starszego aspiranta milczeniem.

– Czy syn potrafi rzucać nożami? – zapytał Trygar.

– Tak, sam go tego nauczyłem. Lubimy militaria i myślistwo. Interesujemy się wojskowością. Traktuję te ćwiczenia trochę jak rehabilitację – tłumaczył Władysław.

– Rehabilitację? – zapytał Rafał. – Czy syn jest na coś chory?

– Tak. Od najmłodszych lat choruje na zaburzenie dysocjacyjne tożsamości.

– Co to takiego? – zapytał zaciekawiony Rafał.

– Osobowość mnoga – powiedział Władysław. – Mój syn od dziecka ma ataki. Na kilkanaście godzin, czasem nawet dni, zmienia mu się tożsamość.

– Tożsamość? – zdziwił się Suski.

– Tak. Po ataku zwykle niczego nie pamięta. Co gorsze, jego dwie osobowości nie wiedzą o sobie nawzajem. Jest tylko połączenie na poziomie podświadomości.

– Proszę nam opowiedzieć więcej o tym zaburzeniu. – Suski był wyraźnie zaciekawiony. Fakty w głowie zaczynały powoli układać się w całość.

– Leczyliśmy to przez wiele lat środkami farmakologicznymi. Również psychoterapią czy hipnozą. Efekt był mizerny – tłumaczył profesor.

– Czym charakteryzują się obie osobowości Euzebiusza? – zapytał Suski, który w międzyczasie sięgnął po telefon komórkowy i wysłał do komendy SMS, z poleceniem rozesłania listu gończego za Euzebiuszem Stroińskim. Był już niemal pewny, że znaleźli zabójcę Jagny Filiańskiej, Waldemara Komara i Lucyny Kortyńskiej. Wszystkie fakty aż nazbyt dobrze do siebie pasowały. Pozostał do rozwiązania jeszcze tylko jeden problem. Gdzie był Euzebiusz?

– W zasadzie przez większość czasu jest normalnym człowiekiem. Uczę go polować, ćwiczymy, staram się w miarę możliwości integrować go ze społeczeństwem. Ktoś, kto nie wiedziałby, że choruje, pomyślałby, że to normalny, spokojny chłopak.

– A co dzieje się po ataku? – zapytał Tymon.

– Wtedy jest załęczniony i zamienia się w małe dziecko. Ponieważ ta druga osobowość objawia się stosunkowo rzadko, nie ma ona zbyt rozległych doświadczeń życiowych. Dlatego jest bezradna wobec ludzi i świata. Jednak dzięki ćwiczeniom ciała, udało mi się uzyskać spore postępy. W tym gorszym stanie zalecam mu ćwiczenia fizyczne, które dają mu większe poczucie pewności siebie. Świadomość niczego nie pamięta, ale pamięć ciała sprawuje się doskonale. Zamiast faszerować go pigułkami, które przepisali mu psychiatrzy, lecę go ruchem.

– Jak często syn ma ataki? – zapytał Tymon.

– Ostatnimi czasy dość rzadko. Raz w miesiącu, może dwa – odpowiedział Stroiński.

Marian spojrział ukradkiem na policjantów, jakby szykował się do frontalnego ataku na profesora Stroińskiego.

– Mamy podejrzenie, że pański syn zamordował trzy osoby – wypalił Suski.

– To absolutnie niemożliwe – odpowiedział oburzony Władysław. Chwilę potem rozeźmiał się, uznając pomysł prokuratora za absurdalny.

– Jak często bywa pan w domu? – zapytał Foltiński.

– Prawie codziennie wieczorem. Czasami zdarza mi się, że nie ma mnie przez kilka dni, tak jak teraz, kiedy trwa eksperyment. Euzebiusz jest dorosłym człowiekiem i nie musi mieć zapewnionej opieki. Zresztą, nie jest ubezwłasnowolniony. Ma nawet prawo jazdy. Dodatkowo czasami proszę sąsiadkę, aby do niego zajrzała. Wychowuję go bardzo surowo, co przynosi dobre rezultaty.

– A czy syn ma samochód? – zapytał Tymon.

– Tak – odpowiedział profesor.

– Jaki?

– Bmw.

Ledwie profesor wymienił markę pojazdu, Fołtyński skinął głową, dając Suskiemu do zrozumienia, że mikroślady znalezione przy ciele Lucyny Kortyńskiej, spełniają wymagania dotyczące wykładziny bagażnika pojazdu.

– A co się dzieje, kiedy atak nastąpi akurat, gdy syn jest w mieście? – zapytał Marian.

– Ma telefon i dzwoni do mnie. Przyjeżdżam i zabieram go do domu – odpowiedział Stroiński.

– Czyli można zaryzykować stwierdzenie, że nie ma pan nad dzieckiem kontroli. Skoro jest samodzielny, może robić różne rzeczy, o których pan nawet nie wie – stwierdził Suski.

Profesor nie odpowiedział, przełknął tylko ślinę, jakby wyczekiwał złych wieści.

Tymon Fołtyński wyciągnął teczkę z aktami i wolno, spokojnie pokazywał zdjęcia z kolejnymi ofiarami Euzebiusza. Tłumaczył dokładnie, jak i kiedy zginęły, pytając profesora Stroińskiego, gdzie w tym czasie był syn. Widać było, że z każdą kolejną informacją przekazywaną przez funkcjonariusza, oczy Władysława gasły, jakby głowa podświadomie godziła się z faktem, że mężczyzna wychowywał pod dachem mordercę.

– Ale on nie jest groźny dla otoczenia – wymamrotał wreszcie, patrząc na zmasakrowane ciało Lucyny Kortyńskiej.

– Gdzie może być teraz Euzebiusz? – zapytał Trygar.

– Nie wiem, pewnie gdzieś wyszedł. Często jeździ do Warszawy, do miasta. Lubi kino – odpowiedział zrezygnowany Władysław.

– Może pan do niego zadzwonić? – poprosił Marian.

Stroiński wykonał polecenie, jednak telefon Euzebiusza był wyłączony.

Suski nie byłby sobą, gdyby nie zagadnął o jeszcze jedną dręczącą go kwestię. Doświadczenie podpowiadało mu, że teraz właśnie był najlepszy moment, aby przygwoździć przeciwnika do muru.

– Proszę nam powiedzieć, co się stało z naszą koleżanką Marzeną?

Profesor poprawił się na fotelu, spojrzał smutnymi oczyma na prokuratora i odpowiedział sucho:

– Już mówiłem, po przeprowadzeniu badania, wróciła do grupy. Idąc korytarzem, najprawdopodobniej, uderzyła się w głowę. To był nieszczęśliwy wypadek.

– Czy ma pan świadków, którzy mogliby potwierdzić pańską wersję wydarzeń? – zapytał Marian.

– Nie mam.

– Nie ma na korytarzu żadnych kamer? – zapytał Tymon.

– Już panom mówiłem, w tym miejscu ich nie ma. U mnie w gabinecie, gdzie prowadzę sesje, również.

– Skąd zatem mamy mieć pewność, że to nie pan uderzył policjantkę w głowę? – zapytał Suski bez ogródek.

– Zróbcie dochodzenie, sprawdźcie wszystko. A najlepiej zapytajcie tę policjantkę, jak się obudzi – rzucił poirytowany Władysław.

– Zapytamy – zawyrokował Suski, kręcąc głową. – A teraz chciałbym, żeby pojechał pan z nami.

Waldemar uniósł głowę i spojrzał na prokuratora.

– Nie chcielibyśmy, aby ktoś jeszcze wpadł w jedną z pańskich pułapek – wyjaśnił Marian, uśmiechając się ironicznie. – Kto wie, ile węży i skorpionów hodzi pan na posesji.

ROZDZIAŁ 56

Krzysztof Kortyński siedział w domu sam. Od rana wypił już kilka piw i postanowił zamienić złocisty płyn na mocniejsze trunki. Sytuacja, w której się znalazł, dawno temu go przerosła. Wiedział, że musi dać sobie trochę czasu na odpoczynek, na zastanowienie się, co zrobić dalej ze swoim życiem. Martwił się o Dominikę Figiel. Zdawał sobie sprawę, że związek z nią na dłuższą metę i tak nie miałyby szans. Ona była zbyt niezależna, aby wiązać się z kimś do końca życia.

Nalał sobie do szklanki whisky z lodem i pociągnął duży łyk, zastanawiając się, gdzie też podziała się gosposia Nadieżda i Wiktoria. Może poszły na zakupy albo na jakieś zajęcia dodatkowe w szkole? Kortyński zupełnie nie miał siły, żeby o tym teraz myśleć.

W pewnym momencie usłyszał jakiś dźwięk. Chwilę trwało, zanim zamroczony alkoholem umysł uświadomił sobie, że ktoś dzwoni do bramki przed posesją. Pomyślał, że może to listonosz albo obnośny sprzedawca. Usłyszawszy dzwonek po raz drugi, wyszedł na zewnątrz i spojrzął, kogo licho przyniosło.

Przetarł oczy ze zdumienia, sądząc, że może wypił dzisiaj zbyt dużo. Przed bramką stał klaun. Krzysztof, potrząsając głową, podszedł bliżej.

– Chyba się panu coś pomyliło – wymamrotał. Kątem oka zdołał spojrzeć jeszcze za furtkę w poszukiwaniu tajniaka. Na szczęście nikogo nie było.

– Poczta kwiatowa – odpowiedział klaun. – Mam dla pana przesyłkę i informację od Dominiki Figiel.

Ledwie mężczyzna wypowiedział nazwisko kobiety, oczy Kortyńskiego zrobiły się wielkie niczym księżycy w pełni. Po raz kolejny potrząsnął głową, próbując ochłonić. Otworzył bramkę i odebrał przesyłkę. Z trudem podpisał pokwitowanie, po czym spojrzął klaunowi w oczy, uśmiechając się głupkowato.

– Pod ubraniem mam broń. Idziemy do domu – powiedział błazen, rozglądając się, czy któryś z przechodniów albo sąsiadów ich nie obserwuje.

Kortyński początkowo sądził, że to żart. Chciał się już nawet roześmiać, jednak gdzieś z tyłu głowy zapaliła się czerwona żarówka. Zaskoczony podobnym obrotem spraw, ruszył w stronę domu. Klaun zamknął bramkę i siedł za Krzysztofem, aż dotarli do salonu.

– Czego chcesz? – zapytał Kortyński.

Błazen wyciągnął zza ubrania ostry nóż przypominający sztylet.

– Chcę dokończyć to, co zacząłem. To ja jestem panem V, aniołem zemsty.

– Kogo chcesz pomścić? – Kortyński wytrzeźwiał w kilka sekund. Głowa napędzana adrenaliną podpowiadała mu, że musi zyskać na czasie. Rozejrzał się dyskretnie po pokoju w poszukiwaniu potencjalnej broni. Najbliżej był stojący obok kominka pogrzebacz. Przeciwnik najwyraźniej dysponował tylko nożem, co zdecydowanie zwiększało szansę Krzysztofa.

– Jesteś słaby i bezbronny, dlatego musisz umrzeć – powiedział klaun, podrzucając w rękę sztylet. Potem zaczął mówić jakieś dziwne słowa, których Kortyński nie był w stanie zrozumieć.

– Każdy mężczyzna i każda kobieta to gwiazda. Czyń wedle swej woli, będzie całym prawem. Miłość jest prawem, miłość podług woli. Nie ma prawa, poza czyń wedle swej woli.

– Jesteś chory człowieku – powiedział Kortyński.

Choć Krzysztof czuł alkohol krążący w żyłach, z pewnością zakłócający jasną ocenę sytuacji, to mimo tego postanowił działać. Rzucił się w stronę pogrzebacza. Zdziwił się nieco, z jaką łatwością udało mu się zdobyć broń. Teraz należało podejść do przeciwnika i bić, ile sił w rękach. Najlepiej w głowę, aby od razu zabić albo przynajmniej pozbawić przytomności. Zanim zdołał zrobić krok, poczuł dziwną zgagę piekącą w okolicach splotu słonecznego. Spojrzał na klatkę piersiową i ze zdumieniem skonstatował, że z torsu wystaje mu stalowe ostrze noża. Przeciwnik zapewne celował w serce, jednak poruszający się Kortyński sprawił, że chybił celu. Nie było teraz czasu, aby się nad tym zastanawiać. Należało ratować życie. Krzysztof zdziwił się, że z ostrym przedmiotem wbitym w klatkę piersiową, czuje się nad wyraz dobrze.

Najwyraźniej alkohol rozluźnił mięśnie i znieczulił ciało. Podniósł rękę i uderzył klauna z całej siły. Mężczyzna w ostatniej chwili zdążył się jednak uchylić, przez co cios poszedł po barku i wylądował tuż obok ucha, zwalając błazna z nóg.

– To za Jagienkę, skurwysynu. – Kortyński zadał kolejne uderzenie, które wylądowało na plecach przeciwnika. Krzysztof triumfował, napawając się nienawiścią wylewającą się z każdego zadanego ciosu. Bił bez opamiętania, nie zważając, gdzie padają razy.

I nagle przyszła chwila refleksji. Przecież ten człowiek musiał wiedzieć, gdzie jest Dominika Figiel. To był moment zawahania się, z którego skorzystał klaun. Zebrał wszystkie siły i kopnął Krzysztofa w łydkę, zwalając go na podłogę. W dłoni fałszywego posłańca nieoczekiwanie zabłysnął drugi sztylet. Ledwie Krzysztof stanął na nogi, kolejne stalowe ostrze utkwiono w jego brzuchu. Tym razem siły opuściły Kortyńskiego na dobre. Upadł na ziemię i zaczął czołgać się w kierunku drzwi prowadzących na taras. Gdzieś w głowie pojawił się rozpaczliwy plan. Ostatkiem sił rzucił pogrzebaczem w balkonowe okno prowadzące na werandę. Huk tłuczonego szkła wypełnił pomieszczenie, a drobinki posypały się po podłodze.

Kortyński wiedział, że w ten sposób zaalarmuje firmę ochroniarską, która zgodnie z umową, powinna pojawić się w domu maksymalnie po dziesięciu minutach. Pluł sobie w brodę, że odesłał policjanta stojącego przed posesją, który mógłby w tym momencie bardzo się przydać. Najpewniej przepłoszyłyby przeciwnika, który nie odważyłby się nawet podejść do wejściowej bramki.

Krzysztof przekreślił się na plecy i spojrzał na klauna, w którego rękę załśnił kolejny nóż.

– Do trzech razy sztuka – powiedział. Szala zwycięstwa wyraźnie przechylała się na jego stronę. – Twoja żona też tak na mnie patrzyła, jak umierała.

W głowie Kortyńskiego kołatała się tylko jedna myśl. Przetrawić kilka minut do przyjazdu ochrony. W akcie rozpaczony ranny mężczyzna przewrócił się na brzuch i ruszył w kierunku rozbitej szyby. W jego głowie kołatała beznadzieja myśl, że jeśli będzie zanurzony w wodzie, nóż przeciwnika go nie

dosięgnie. Póki miał jeszcze trochę siły, wyczołgał się na taras, po czym zwałił do basenu. Przezroczysta ciecz natychmiast zabarwiła się na czerwono. Klaun wyszedł na zewnątrz za Krzysztofem, wziął mocny zamach i z pełnym impetem cisnął nożem w pływające ciało. Ostrze utknęło w plecach, na wysokości mostka. Kilka niezdarnych ruchów umierającego było dowodem na to, że ucieka z niego życie. Błazen nie czekał, aż Kortyński wyzionie ducha. Wrócił do niebieskiego bmw zaparkowanego przed posesją i wyciągnął z bagażnika linę holowniczą. Następnie udał się z powrotem do domu i przerzucił ją przez trawkę na schodach, tych samych, po których tak często chodziła Wiktoria Kortyńska. Zawiązał pętlę i ruszył do kuchni po taboret. Wgramolił się na niego, zacisnął linę na szyi i skoczył.

ROZDZIAŁ 57

Rafał Trygar, Tymon Foltyński i Marian Suski wraz z profesorem Stroińskim podjechali pod dom. Wysiedli z policyjnego vana i weszli do środka. Wnętrze było zapuszczone, gdzieś w kącie wały się jakieś ubrania, w kuchni na stole leżały resztki jedzenia. Na pierwszy rzut oka widać było, że mieszkali tu sami mężczyźni.

– Gdzie pokój Euzebiusza? – zapytał Trygar.

Mężczyźni udali się do niewielkiego pomieszczenia znajdującego się na poddaszu. W kącie stało łóżko, po przeciwnej stronie biurko z komputerem i obrotowy fotel. Jednak to, co przykuło uwagę policjantów, to plakaty wypełniające wszystkie ściany. Jeden z nich przedstawiał pentagram umieszczony w okręgu. Były tam również zdjęcia zespołów metalowych takich jak Venom, Slayer czy Behemoth. Po drugiej stronie widniały fotografie sprzętu wojskowego, broni krótkiej i karabinów maszynowych.

– Czy ma pan coś wspólnego z wojskowością? – zapytał Marian.

– Jak byłem młody, służyłem w jednostkach specjalnych piechoty morskiej – odpowiedział profesor Stroiński.

– A te plakaty? – prokurator wskazał planszę z trójką członków zespołu Venom. Palce ręki wokalisty ułożone były w znak V.

– Euzebiusz lubi ciężką muzykę. Mówi, że go uspokaja.

– Czy pański syn ma coś wspólnego z satanizmem? – zapytał Foltyński.

Na twarzy profesora odmalowało się zdziwienie.

– Raczej nie – odpowiedział nieśmiało. – Euzebiusz czyta dużo książek, ale podobnie jak ja jest raczej niewierzący – stwierdził Władysław.

– Chodzi mi bardziej o satanizm ateistyczny związany z kultem siły i człowieka, a nie religią – dodał Tymon.

– Zawsze wychowywałem go w poczuciu niezależności. Uczyłem polować, ale przede wszystkim starałem się wpoić, że to my sami jesteśmy kowalami naszego losu. Musimy brać sprawy w swoje ręce, a nie zdawać się na to, co nam los przyniesie.

– Czy syn kiedykolwiek pracował? – zapytał Trygar.

– Skończył technikum, chciał pracować, jednak przez chorobę nigdzie nie zagrzał miejsca.

– Co jest dalej, w stronę lasu? – zapytał Rafał, patrząc przez okno.

– Mamy tam kawałek ziemi. Ale stoi tam tylko szopa na drewno – tłumaczył Stroiński.

– To tam są te pułapki? – zapytał Suski.

– Tak. Nie chcieliśmy, aby ktoś się nam tu panoszył. Pułapki skutecznie odstraszą intruzów. Wystarczy, że jeden z sąsiadów w taką wpadł, a nikt się nigdy więcej nie pojawił na naszym terenie – tłumaczył Stroiński z uśmiechem na twarzy.

– Możemy tam pójść? – zaproponował Tymon.

Profesor zastanawiał się przez chwilę, wreszcie wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Oczywiście.

Władysław Stroiński szedł przodem, wskazując policjantom i prokuratorowi miejsca, gdzie nie powinni stawać.

– Po co wam te pułapki? Przecież to głupota – stwierdził Suski. – Co, jeśli kiedyś zapomnicie, gdzie je wybudowaliście i zdarzy się wypadek?

– To sposób na trening umysłu. Trzeba być czujnym, gotowym na każde zagrożenie. Taką wyznaję maksymę. Zresztą większość z tych pułapek to pomysł Euzebiusza.

Mężczyźni doszli do sporej stodoły leżącej kilkaset metrów w głębi lasu.

– Uważajcie, przed wejściem jest pułapka – powiedział profesor. Zdziwił się, kiedy zamiast zamaskowanego dołu, zobaczył rozgrzebaną trawę. Wyglądało tak, jakby ktoś niedawno wpadł we wnyki.

– Spójrzcie – krzyknął Tymon. – To krew.

Policjant uklęknął obok dołu i wziął do ręki kilka liści z brunatnymi plamami.

– Ciekawe czyja? – zapytał Rafał.

– Czy wewnątrz tego dołu był stalowy potrzask rosyjskiej produkcji? – zagadnął Suski.

Władysław spojrzął na prokuratora, jakby ten był jasnowidzem.

– A skąd pan wie? – zapytał.

– Nieważne. Wejdźmy do środka – powiedział Marian, wskazując na szopę.

Władysław otworzył drzwi i nagle odskoczył jak rażony prądem. Ze środka wypełził trzymetrowy wąż. Mężczyźni usunęli mu się z drogi, pozwalając, aby gad popęzł w głąb lasu.

– To kobra królewska – powiedział przestraszony Tymon.

– Kunegunda Euzebiusza – potwierdził profesor. – Tylko nie wiem, dlaczego nie siedzi w klatce.

– I co? Będzie tak pełzać po lesie? – zdziwił się Tymon.

– Wróci. Zawsze wraca – stwierdził profesor. – Euzebiusz dobrze ją wyszkolił.

Władysław ostrożnie otworzył skrzypiące drzwi i wszedł do pomieszczenia. We wnętrzu panował nieporządek. Uwagę Foltynskiego zwróciła szeroka deska wbita w ziemię.

– Tutaj Euzebiusz ćwiczył rzucanie nożami – odpowiedział Władysław, widząc zainteresowanie w oczach starszego aspiranta.

W rogu stała sporej wielkości sarta drewna, jakieś narzędzia ogrodowe. Po przeciwnej stronie leżały myśliwskie pułapki i wnyki na zwierzęta. Znaleźli nawet kilka kuropatw, które kruszały zawieszony na belce pod sufitem.

– Nikogo tu nie ma – podsumował Trygar, rozglądając się.

W pewnym momencie Suski poczuł, że w kieszeni coś mu wibruje. Odebrał telefon i słuchał przez chwilę. Wreszcie schował urządzenie do kieszeni i spojrzął na Trygara. Broda urosła komisarzowi tak bardzo, że teraz wyglądem nie przypominał menela, ale bardziej indyjskiego ascetę.

– Kortyński nie żyje. Zabito go we własnym domu. Na schodach powiesił się klaun, który najprawdopodobniej jest Euzebiuszem Stroińskim.

Profesor słysząc te słowa, ledwie był w stanie utrzymać się na nogach. Usiadł na krześle stojącym w rogu i tkwił nieruchomo z oczami wbitymi w ścianę. Suski, obserwując Władysława, doszedł do wniosku, że jeśli nawet profesorek miał z morderstwami coś wspólnego, to jego smutek wydaje się jak najprawdziwszy. Może faktycznie Euzebiusz miał na tyle dużo swobody, że zorganizował te wszystkie zabójstwa bez pomocy ojca. Najważniejsze pytanie nadal pozostawało bez odpowiedzi. Jaki motyw miał morderca? Dlaczego chciał zgładzić rodzinę Kortyńskich, z którą Stroińscy nie mieli absolutnie nic wspólnego? Gdzieś musiał być jakiś punkt zaczepienia, który prokurator przeoczył.

Nagle Foltyński odwrócił się. W pierwszym momencie pomyślał, że tylko się przesłyszał, jednak po chwili znów dobiegł go jakiś zduszony, trudny do nazwania dźwięk.

– Słyszeliście? – powiedział.

– Nie. A co? – zapytał Trygar.

– Co tam jest? – Tymon wskazał na małe drewniane drzwi tkwiące w rogu stodoły.

Profesor był tak rozbity, że nie odpowiedział na pytanie policjanta. Foltyński ostrożnie podszedł do skrzydła i odsunął drewniany skobel. Uderzył go zapach brudu i stęchlizny dobiegający z wnętrza. Odsunął się, chcąc przeczekać najgorszy moment. Zasłaniając twarz rękawem, ruszył w głąb ciasnego korytarza wyżłobionego w ziemi. Na końcu było tak nisko, że musiał kucać, aby się zmieścić. Światło wpadające z zewnątrz sprawiało, że z trudem dało się dostrzec zakończenie tunelu. Policjant musiał chwilę poczekać, aby oczy przyzwyczyły się do mroku.

– Tu jest metalowa kłapa – powiedział. – Zamknięta na kłódkę.

Profesor, który najwidoczniej usłyszał pytanie Tymona, krzyknął niczym wyrwany ze snu:

– Klucz jest na półce!

Foltyński obrócił się i dostrzegł niewielką deskę wbitą poziomo w ziemię. Sięgnął ręką i wymacał plastikową butelkę z wodą, pluszową zabawkę przypominającą Kubusia Puchatka i klucz.

Otworzył kłapę i zajrzał do wnętrza otworu. Nieprzyjemny zapach podrażnił nozdrza tak bardzo, że musiał się na chwilę odwrócić, aby nie wymiotować. Oczekał kilka sekund, aby nieprzyjemna woń nieco zelżała. Nagle usłyszał cichy kobiecy szloch. Zniżył głowę i zobaczył straszny widok. Jakiś brudny człowiek tkwił w dole. Poruszał rękoma, próbując się wydostać. Foltyński zawołał Trygara i we dwójkę z trudem wyciągnęli osobę, która okazała się kobietą. W jej oczach płonął paniczny strach. Patrzyła na policjantów niczym bezbronne zwierzę, na które wydano wyrok śmierci. Pomogli kobiecie przejść do stodoły i położyli ją na ziemi. Suski w tym czasie wezwał karetkę pogotowia.

– Kim jesteś? – zapytał prokurator, podchodząc do kobiety.

– Figiel – wymamrotała.

ROZDZIAŁ 58

W domu Kortyńskich pojawiła się policja, technicy i lekarze medycyny sądowej. Marian Suski wszedł do salonu i ujrzał ciało wiszące na linie holowniczej. Co ciekawe, ręce wisielca nie były związane, a zatem śmierć musiała nastąpić szybko i to na skutek złamania karku, a nie uduszenia. Policjanci weszli do mieszkania zaraz za prokuratorem, przeszli po zbitej szybie i udali się w stronę werandy. Woda w basenie zmieniła zabarwienie na kolor czerwony, a na powierzchni pływało ciało. Trygar podszedł bliżej i przykucnął, żeby przyjrzeć się topielcowi. Bez trudu rozpoznał Krzysztofa Kortyńskiego.

– Dlaczego pan V popełnił samobójstwo? – zapytał prokurator, dołączając do policjantów.

– Może to nie było samobójstwo? – zapytał Fołtyński.

Marian nie odpowiedział, tylko przebiegł wzrokiem po nienagannie urządzonym ogrodzie. Mężczyźni nie chcieli przeszkadzać technikom zabezpieczającym ślady, dlatego wrócili do salonu.

– Spójrzcie tam, widać stołek, z którego zeskoczył Euzebiusz Stroiński. Chciał się zabić, bo nie związał sobie rąk. Musiał wiedzieć, że jeśli spadnie z odpowiednio dużej wysokości, przetrąci sobie kark. W przeciwnym wypadku, gdyby zaczął się dusić, próbowaliby rękami podtrzymać się za linę – tłumaczył Suski.

– Musieli tu walczyć – zauważył Rafał, widząc rozgardiasz panujący dookoła.

– Jak widać, na niewiele się to Kortyńskiemu zdało – spuentował gorzko Tymon, patrząc na wiszącego klauna. Nagle przypomniał mu się pierwszy „wisiorek”, jakiego miał przyjemność widzieć, jeszcze jako nieopierzony dzielnicy. Najwyraźniej powoli przyzwyczajał się do widoku trupów, ponieważ jego ciało właściwie nie zareagowało na nieprzyjemny widok.

Do prokuratora podszedł policjant wraz z mężczyzną, który pracował w biurze ochrony strzegącej okoliczne domy.

– Proszę mi powiedzieć, co pan zobaczył po przyjeździe do domu Kortyńskich – poprosił Marian.

– Dostaliśmy wezwanie, że zbiła się szyba. Przyjechaliśmy po piętnastu minutach i zastaliśmy to, co widać. Niewiele jest do opowiadania – tłumaczył mężczyzna.

W pewnym momencie w drzwiach pojawiła się Wiktoria Kortyńska wraz z gospożą Nadieżdą Konsieł. Dziewczynka patrzyła przez chwilę na wisielca w przebraniu klauna. Chciała wejść głębiej, jednak drogę zatarasował jej Marian Suski.

– Kto ją tu wpuścił? – huknął na całe gardło. – Zabierzcie ją stąd!

Twarz dziewczynki wykrzywiła się w grymasie spazmu. Zaczęła się wrywać i wierzgać nogami, kiedy jeden z funkcjonariuszy próbował ją wyciągnąć na zewnątrz.

– Puść mnie! – krzyczała. – Chcę się zobaczyć z ojcem.

Gospoża podeszła do funkcjonariusza i szepnęła mu coś do ucha. Złapała dziewczynkę za rękę i odprowadziła w kierunku furki wyjściowej.

Suski patrzył jeszcze przez chwilę na kobiety, zastanawiając się, jaki los spotka teraz młodą Kortyńską, skoro dwójka jej rodziców nie żyła.

Wrócił do salonu i stał przez chwilę, wdychając zapach trupa.

– A co z Dominiką Figiel? – zapytał

– Jest pod kroplówką w szpitalu. Odwodniona i wycieńczona, ale przeżyje. Nie wiadomo tylko, jak zareaguje na to jej psychika – powiedział Foltynski.

– A Marzena?

– Na razie ciężko powiedzieć. Krwiak na mózgu nieco zszedł, ale nadal będzie utrzymywana w śpiączce farmakologicznej – tłumaczył Foltynski, który nie dalej jak godzinę temu rozmawiał z lekarzem. – Najważniejsze, że nie trzeba będzie otwierać czaszki.

– A kiedy zamierzają ją wybudzić? – zapytał Suski.

– Lekarze mówili coś o dwóch tygodniach, ale ciężko wyrokować – dodał Tymon.

– Coś mi tu nie pasuje – stwierdził Marian, drapiąc się po policzku.

Policjanci nie odpowiedzieli, zdając sobie sprawę, że Suski zaraz i tak wyjawia przyczyny swoich obaw.

– W zasadzie mógłbym w tym momencie zamknąć dochodzenie. Zabójca nie żyje. Niestety są również cztery ofiary – tłumaczył Suski. – Pozostaje jednak niedosyt.

– Brak motywu? – zapytał Tymon.

– Właśnie – odpowiedział prokurator.

– Euzebiusz był chory. Trudno w takiej sytuacji o racjonalny motyw – zauważył Rafał.

– Może tak, a może nie – odpowiedział zagadkowo Marian.

ROZDZIAŁ 59

Na pogrzebie Krzysztofa Kortyńskiego zebrał się spory tłum. Pojawili się wszyscy pracownicy BudMetu, przyszedł nawet Piotr Wędzikowski z Dabagu. W pierwszym rzędzie przed trumną stała Wiktoria Kortyńska z gosposią. Obie kobiety, ubrane w czerń, płakały. Ceremonia była krótka a jedynym elementem, który wyróżniał pogrzeb na tle innych, był trębacz, który odegrał nad grobem *My Way* Franka Sinatry.

W tylnych rzędach stali Marian Suski i policjanci kryminalni. Prokurator oglądał pogrzeb z dziwnym poczuciem porażki. Cały czas zastanawiał się nad związkiem międzyprofesorem Władysławem Stroińskim, wypadkiem Marzeny Gibały i śmiercią Euzebiusza, który ostatecznie okazał się panem V.

Tymon, stojący nieco z tyłu, odwrócił się w stronę Piotra Wędzikowskiego i zapytał:

– Jest pan zadowolony?

Piotr zrobił kwaśną minę.

– Nie jestem. Trzeba kochać swoich wrogów, bo zawsze można mieć gorszych.

– A ja sądziłem, że pół miasta czekało na jego śmierć – powiedział Foltiński, po czym zreflektował, że przynajmniej teraz powinien powstrzymać się od złośliwych komentarzy. Był jednak zły na całą sytuację. Tęsknił za Marzeną, która przypłaciła zaangażowanie w śledztwo zdrowiem. Oczyma wyobraźni widział te wszystkie kurki i urzędnienia, do których podłączona była policjantka. Początkowa niechęć do Gibały zamieniła się w dziwną, szorstką sympatię. Marzena była na tyle charyzmatyczną osobą, że można ją było albo kochać, albo nienawidzić. Być może Foltiński mógł coś zrobić, zapobiec wydarzeniom, które rozegrały się na wydziale psychologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Niedaleko trumny stał również Władysław Stroiński i Damian Tyrmanowski, którzy zaledwie wczoraj uczestniczyli w pogrzebie Euzebiusza.

Rafał Trygar szturchnął Tymona łokciem.

– Profesor trzymał w tej ziemiance Euzebiusza – szepnął. – To chore.

– Odczep się. Ty ze swoim synem też masz kosę – odparował Foltiński.

Rafał parsknął, zastanawiając się, dlaczego zawsze miły i uprzejmy starszy aspirant, na pogrzebie zachowuje się jak rozkapryszona blondynka.

Foltiński obserwował Wiktorię Kortińską, przyjmującą kondolencje od zgromadzonych. Nienawidził tego świata, pełnego zła, brudu i zgnilizny. Myślał o Andżelice, która trzy dni temu dostała skurczów, choć był to dopiero siódmy miesiąc ciąży. Lekarz co prawda powiedział, że to nic groźnego, i zalecił odpoczynek. Tymon był jednak pełen obaw. Starał się tłumaczyć sobie, że medycyna obecnie potrafi czynić cuda. Gdyby nawet okazało się, że urodzą wcześniaka, nie powinno być większego problemu z utrzymaniem zdrowia dziecka.

ROZDZIAŁ 60

– Jasna cholera – powiedział Trygar. – Dlaczego ona się nie budzi? Przecież krwiak ustąpił. Marzena wstawaj! – krzyknął.

Marian Suski, Tymon Foltińskim i Rafał Trygar stali nad łóżkiem Marzeny Gibały i patrzyli na odczyty z ekranów mierzących parametry życiowe.

– Myślisz, że nas słyszy? – zapytał Tymon.

– Lekarz powiedział, że nie wiadomo, kiedy pacjentka się obudzi – odparł Trygar. – To może być tydzień albo rok. Co gorsze, u pacjentów w podobnych przypadkach następują nieodwracalne zmiany w mózgu.

– Co to oznacza? – zapytał Tymon.

– Może jej się zmienić charakter – odpowiedział Rafał.

– Czyli po przebudzeniu może być zupełnie kimś innym? – zapytał Foltiński.

Trygar przytaknął, głośno wzdychając.

– Brakuje mi tej wariatki – dodał po chwili.

Suski spojrzał na komisarza zaskoczony wylewnością Rafała, który ostatnio zachowywał się dziwnie. Cały czas żuł gumę, co w zasadzie wystarczyło Suskiemu za wyjaśnienie. Marian zdawał sobie sprawę z problemów alkoholowych komisarza, jednak ze względu na wieloletnią przyjaźń, przymykał na to oko. Obawiał się tylko, że prędzej czy później wybuchnie z tego powodu jakiś skandal w prasie albo ktoś doniesie, że funkcjonariusze policji kryminalnej pracują na rauszu.

– A jak Dominika Figiel? – zapytał, chcąc skierować myśli na inne tory.

– To twarda sztuka. Wróciła nawet do pracy – powiedział Tymon.

– Mamy jakieś nowe informacje w sprawie pana V? – zapytał Suski.

– Sekcja zwłok Euzebiusza nic nie dała, poza niezaprzeczalnym faktem, że to jego DNA odnaleźliśmy na ubraniu Lucyny Kortyńskiej. Numer buta też się

zgardza. Jest kobra królewska, ślady włókien z bagażnika bmw i noże.

– Nadal brakuje tylko motywu. Trudno zwalić wszystko na chorobę – dodał Marian.

– Czytałeś raport psychiatry – wtrącił się Trygar. – Osobowość mnoga to bardzo rzadka choroba. Lekarze niewiele o niej wiedzą. Trudno powiedzieć, co ten młody człowiek przeżywał. Jakie miał myśli. Profesor Stroiński też mocno przeżył stratę dziecka.

– Ale dzięki śmierci Euzebiusza zacieśnił relacje z drugim synem. Spędzają ze sobą coraz więcej czasu – podsumował Suski.

– Stracił jedno dziecko, zyskał drugie. A co z matką Damiana, która uciekła do Brazylii? Udało się ją odnaleźć? – zapytał Foltyński.

– Kontaktowaliśmy się z Interpolem, ale ślad po niej zaginął. Ostatni raz widziano ją w Meksyku siedem lat temu – odpowiedział zaniepokojony Suski. – Cały czas się zastanawiam, czy profesor Stroiński nie miał czegoś wspólnego z wypadkiem Marzeny Gibały? – dodał po chwili.

– Brak dowodów. Dobrze wiesz, że w takiej sytuacji nie można kontynuować śledztwa, trzeba było przyjąć wersję Stroińskiego – powiedział Rafał.

– I to właśnie mnie martwi. Gdyby Marzena się obudziła, mogłaby nam o wszystkim opowiedzieć – wymamrotał Suski.

– No właśnie. Gdyby się obudziła – powtórzył Trygar, wzdychając.

ROZDZIAŁ 61

Dominika Figiel czytała „Gazetę Warszawską”, przeglądając artykuły napisane przez kolegów i koleżanki po piórze. Sama się sobie dziwiła, ale po tym wszystkim, czego doświadczyła, jakoś udało jej się dojść do siebie. Uczęszczała na sesję terapeutyczną do psychologa, który pomagał jej wrócić do równowagi. Nadal po nocach śnił jej się ten zwyrodnialec, który wsadził ją do dołu w ziemi, karmił byle czym, a na koniec zostawił na pastwę losu. Spędziła w dole ponad tydzień. W ciemności czas dłużył się niemiłosiernie, na szczęście ciepłe miesiące sprawiły, że nie zamarzła, choć kilka razy było naprawdę zimno.

Jeden z artykułów prasowych w gazecie wspominał o Wiktorii Kortyńskiej, która odziedziczyła po rodzicach fortunę. Jako niepełnoletnia nie mogła jednak zarządzać aktywami. Nie zdziwił Dominiki fakt, że gosposia Nadieżda Konsiel, do której tak bardzo przywiązana była Wiktoria, wystąpiła do sądu o opiekę nad dzieckiem. Ze względu na bliską, długoletnią relację z dziewczynką, dostała ją bez większych problemów. W uzasadnieniu wyroku sędzina wspominała coś o traumatycznych wydarzeniach w życiu młodej Kortyńskiej i potrzebie spokoju i stabilizacji.

Dominika Figiel zdążyła nieco poznać Wiktorię i zdawała sobie sprawę, że dziecko nie jest bez winy. Widziała jaki charakter miał Krzysztof, w końcu przez te wszystkie lata zdążyli się dobrze poznać. Przede wszystkim jednak nadawali na tych samych falach i rozumieli się bez słów. Jeśli Wiktoria przejęła choć część cech po ojcu, to bez wątpienia będzie z niej w przyszłości niezła suka.

Dziennikarka siedziała przed laptopem i stukała w klawiaturę, kończąc ostatnią część artykułu, który miał podsumować skomplikowaną sprawę Kortyńskich. Dostała w „Gazecie Warszawskiej” trzy strony na cykl artykułów poświęconych pokręconej rodzinie i panu V. Dzięki tej sprawie i tekstom

Dominiki sprzedaż dziennika poszła w górę, a Figiel zyskała status lokalnej gwiazdy prasowej.

Właśnie szykowała się do napisania ostatniego akapitu, który miał stanowić kropkę nad i. Po godzinie patrzenia w ekran komputera stwierdziła, że czegoś jej brakuje. Jakiegoś spoiwa, które pozwoliłoby połączyć rodzinę Kortyńskich i Stroińskich.

Spojrzała raz jeszcze na wypisy z dokumentów lekarskich Euzebiusza Stroińskiego, które udało jej się, nie bez wysiłku, zdobyć. Wczytała się w medyczne analizy zapisane fachowym językiem niezrozumiałym dla zwykłego śmiertelnika. Przyszło jej do głowy, że powinna wspomnieć coś o chorobie psychicznej, o biednym chłopcu wychowywanym w wojskowym drylu przez ojca. W pewnym momencie jej uwagę pochłonęła adnotacja wystawiona przez jednego z psychologów ze szpitala bielańskiego.

Był tam opis dziecięcej osobowości chłopaka, która była bardzo podatna na sugestie. Euzebiusz jako piętnastolatek poddany został ciekawym badaniom psychologicznym. W stanie ataku lękowego powiedziano dziecku, aby ułożył z klocków jak największą wieżę. Niechętny początkowo Euzebiusz dał się przekonać dopiero, kiedy obiecano mu nagrodę w postaci słodyczy. Po zmianie osobowości, kiedy rozwojem emocjonalnym przypominał zwykłego piętnastolatka, gdzieś z tyłu głowy nadal dręczyła go myśl związana ze słodką nagrodą. Ostatecznie doszło do tego, że żadna siła nie była go w stanie oderwać od układania klocków. Dopiero odwołanie rozkazu, wydane po ponownej zmianie osobowości na dziecięcą, sprawiło, że Euzebiusz się uspokoił i przestał myśleć o zabawie.

Tak, to tego szukała. Natychmiast sięgnęła po telefon i zadzwoniła do zaufanej osoby, która czasami, dzięki licznym dojsćiom, pomagała dziennikarce zdobyć poszukiwane informacje.

– Cześć – rzuciła Figiel do telefonu.

Po drugiej stronie usłyszała piskliwy głos. Trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy to kobieta, mężczyzna, czy może dziecko.

– Dawno nie dzwoniłaś.

– Sprawdź mi niejaką Nadieżdę Kosię. Skąd przyjechała, co robiła, wszystko, rozumiesz? – tłumaczyła Figiel.

Przez chwilę trwała cisza, przerywana sporadycznym klikaniem myszki i stukaniem w klawiaturę. Wreszcie w słuchawce rozbrzmiał głosik.

– Ukrainka. Zameldowana w domu na Ursynowie. Ostatnio sąd przyznał jej prawa do opieki nad niejaką Wiktorią Kortyńską.

– Zgadza się, to ta osoba – potwierdziła Figiel.

– Rodzice Wiktorii zostali zamordowani. Nie podoba mi się to, ale dobrze, spróbuję powęszyć – powiedziała, po czym rozłączyła się.

Dominika przygryzła paznokcie, zastanawiając się, czy cała ta sprawa nie ma czasem drugiego dna. Przeanalizowała wszystkie wydarzenia, od śmierci Jagienki Filiańskiej do zabójstwa Kortyńskich. Wszystko aż nazbyt dobrze układało się w jedną całość. Czyżby prokuratura i policja coś przeoczyła?

Godzinę później piskliwy głos ponownie rozbrzmiał w telefonie Figiel. Z każdym słowem oczy Dominiki robiły się coraz większe.

ROZDZIAŁ 62

Marian zdziwił się nieco, widząc dziennikarkę, jednak przyjął ją bez wahania. Sądził, że kobieta chce przeprowadzić z nim wywiad, aby dowiedzieć się czegoś, o szczegółach śledztwa w sprawie pana V. Niemal każdy w Warszawie słyszał o artykułach pisanych przez Dominikę Figiel w „Gazecie Warszawskiej”. Suski miał już tłumaczyć, że obowiązuje go tajemnica i niestety nie może dziennikarce pomóc. Kobieta usiadła na krześle przed biurkiem, założyła nogę na nogę i opowiedziała pokrótce o tym, czego udało jej się dowiedzieć podczas swojego śledztwa.

Suski słuchał z coraz większym zainteresowaniem.

– Nadieżda Kosiół była żoną profesora Władysława Stroińskiego? – wykrztusił wreszcie.

– Urzędowe papiery nie kłamią – stwierdziła Figiel. – Można to łatwo sprawdzić.

– Oczywiście, sprawdzimy to. Zastanawia mnie tylko, dlaczego nie dotarliśmy do tych informacji podczas śledztwa prowadzonego przeciwko profesorowi w sprawie wypadku Marzeny Gibały.

– Najwyraźniej nikt nie skojarzył nazwisk. Ukrainka wróciła do swojego pańskiego nazwiska. Zresztą, to było ponad dwadzieścia pięć lat temu – stwierdziła Figiel.

Suski poprawił się w fotelu, wyduł usta i zwrócił się w kierunku Dominiki.

– Czy ma pani coś jeszcze? – zapytał.

– Proponuję sprawdzić, czy Wiktoria Kortyńska albo Nadieżda Kosiół komunikowały się z Euzebiuszem Stroińskim, albo Władysławem Stroińskim przez Internet.

– W jakim celu miałyby to robić? – zdziwił się Suski.

– Nie wiem. Moim zdaniem Wiktoria Kertyńska miała jakiś związek z zabójstwami Euzebiusza Stroińskiego. Należy tylko sprawdzić jaki. Z tego, co wiem, dziewczyna bardzo często rozmawiała z ludźmi przez komunikator internetowy.

– To się da zrobić – zamyślił się prokurator. – Komputer Euzebiusza w domu profesora powinien być łatwy do sprawdzenia. Może nasi informatycy coś z niego wyciągną – stwierdził.

– Jedno jest pewne – podsumowała Figiel. – Ta sprawa bez wątpienia ma dalszy ciąg.

ROZDZIAŁ 63

Marian zorganizował nadzwyczajne spotkanie w prokuraturze, na którym wyłuszczył policjantom fakty odkryte przez Dominikę Figiel.

Funkcjonariusze siedzieli, popijając kawę i czekając w skupieniu. Była wśród nich również Dominika Figiel, która przysłuchiwała się rozmowie.

– Nasi informatycy rozkodowali skasowane dane z dysku z komputera należącego do Euzebiusza Stroińskiego. Są tam zapisy kilku rozmów internetowych – tłumaczył Suski.

– Jak zareagował profesor Stroiński na fakt, że chcemy sprawdzić komputer jego syna? – zapytał Tymon.

– Nie miał nic do gadania. Powiedzieliśmy, że to standardowa procedura podczas dochodzenia – odpowiedział prokurator. – Niestety, nie udało się zdobyć wszystkiego. Mamy tylko niewielki procent zapisów z rozmów – powiedział Marian.

– Czy nie da się poprosić producenta komunikatora internetowego, aby udostępnił zapisy rozmów? Przecież takie rzeczy muszą być składowane na serwerze – stwierdził Foltiński, który całkiem sprawnie poruszał się po świecie informatyki, bitów i logów.

– Niestety, producent komunikatora internetowego nie zapisuje na serwerze przebiegu rozmów. Dlatego ten program jest taki popularny wśród użytkowników sieci – wyjaśnił prokurator.

– Przecież w Internecie nic nie ginie. Wszystko da się odnaleźć, to tylko kwestia czasu – powiedział Tymon.

– Którego nie mamy – urwał Suski. – Zobaczcie, co udało nam się odzyskać – powiedział, po czym wręczył Tymonowi wydrukowane zapisy rozmów Euzebiusza.

– Przeczytaj. Ułożone są chronologicznie – poprosił Marian.

– Nienawidzę, życia. Chciałabym umrzeć. To napisała Wiki666 – zaczął Tymon.

– Ja również. Czasami zastanawiam się, czy gdyby ktoś zrobił to ze mną, czy bym się nie odważył. Te słowa napisał Ezik1200.

Kolejny zapis rozmowy był o tydzień później.

– Brakuje mi rozmowy z tobą.

– Mnie również, przynajmniej wiem, że czujesz to samo, co ja.

– Nienawidzę rodziców, są źli, obłudni i fałszywi.

– Mój ojciec jest całkiem w porządku, choć bije mnie, kiedy jestem niegrzeczny.

Trzecia, przedostatnia rozmowa miała datę o miesiąc później.

– Zrobisz to? – zapytał Ezik1250.

– Zrobię, jeśli ty też to zrobisz.

– Udowodnij mi, że to zrobisz.

– Udowodnię – odpowiedziała Wiki666.

Ostatnia rozmowa przeprowadzona była tydzień później.

– Nie żartowałaś – stwierdził Ezik1250

– Mówiłam przecież. Teraz ty powinieneś się wywiązać z obietnicy.

– Ale obiecujesz, że zrobimy to razem. Kiedyś?

Tymon zawiesił głos, zastanawiając się, jak zinterpretować zapisy rozmów internetowych. Konkluzja, jaką można było wysnuć na podstawie korespondencji, była tak zaskakująca, że policjanci, prokurator i dziennikarka obawiali się wypowiedzieć ją na głos.

– Zastanówmy się wspólnie, co to wszystko oznacza – zaczął ostrożnie Suski.

– Wiktoria Kortyńska rozmawiała przez Internet z Euzebiuszem Stroińskim. To wiemy na pewno – powiedział Tymon.

– Nasi informatycy potwierdzili, że komputery Wiktorii Kortyńskiej i Euzebiusza Stroińskiego komunikowały się ze sobą wielokrotnie – potwierdził Marian.

– Z przebiegu rozmów można domniemywać, że znaleźli ze sobą wspólny język – dodała Figiel.

– Jak widać, nie silili się nawet, żeby używać specjalnie wyszukanych ników – zauważył Tymon.

– Ja się tylko zastanawiam, co takiego Wiktoria obiecała Ezikowi? – zapytał Suski.

– Zauważcie, że ta wiadomość została wysłana w przeddzień próby samobójczej Wiktorii Kortyńskiej – dodał Tymon.

– Sądźcie, że ona się pocięła, aby mu coś udowodnić? – zapytała Figiel.

– To możliwe – zamyślił się prokurator. – Oczekiwała, że potem to on wywiąże się z obietnicy. A wszyscy wiemy, jakie wydarzenia nastąpiły później.

– Zabójstwa – rzucił Trygar.

– Załóżmy, że Wiktoria prowokowała Euzebiusza, aby zabijał. Obiecywała mu, że popęlnią wspólnie samobójstwo – tłumaczył Suski.

Zebrani siedzieli w zamyśleniu, wyczekując kolejnych słów prokuratora.

– Spróbujmy przeanalizować wspólnie nowe informacje pod kątem poszczególnych zabójstw – zaproponował Marian.

– Jagna Filiańska była kochanką Krzysztofa Kortyńskiego. Wiktoria Kortyńska z Nadieżdą Konsiel musiały się o tym dowiedzieć. Nasłaly Euzebiusza Stroińskiego na Filiańską – myślał głośno Foltynski.

– Wiedziały przy tym, że podejrzenia zostaną skierowane na małżeństwo Kortyńskich – dodał Trygar. – Wiktoria i Nadieżda podsycaly zapewne konflikt Krzysztofa i Lucyny. Potem była jeszcze śmierć Waldemara Komara.

– A kto miał dostęp do kluczy Krzysztofa Kortyńskiego do salonu SPA Maryli Kotowicz? – zapytał Trygar.

– Nadieżda i Wiktoria – dodał Trygar bardziej, aby usystematyzować wiedzę.

– Kobiety znały wszystkie brudne sprawy Kortyńskich. Zapewne śledziły również ich ruchy – stwierdziła Figiel.

– Mówcie dalej – zachęcał Suski.

– Ciekawe, w jakim stopniu oskarżenie o molestowanie seksualne było pomysłem Wiktorii Kortyńskiej? – zapytał Tymon.

– Z reakcji Lucyny i Krzysztofa można wnioskować, że faktycznie sami tego nie wymyślili – stwierdził Rafał.

– Po śmierci Kortyńskich przedpole zostało wyczyszczone. Cały majątek można było mieć dla siebie – powiedział Marian. – I jeszcze ta prawna opieka nad Wiktorią. One to musiały wspólnie zaplanować. Co więcej, zmusiły biednego Euzebiusza, aby się zabił, dzięki czemu zatarły większość śladów.

– Zwróćcie uwagę na wyniki badań Euzebiusza. On był bardzo ufny i podatny na wpływy. Można nim było łatwo manipulować – zauważyła Figiel. – Nadieżda Konsiel wiedziała bez wątpienia, że jej były mąż ma dziecko, które ma problemy z osobowością – dodała po chwili Dominika. – Postanowiła wykorzystać ten fakt, może namówiła Wiktorię, aby się z Euzebiuszem zaprzyjaźniła.

Na sali zapanowała cisza. Wszystkie wypowiedziane dotychczas sugestie były wielce prawdopodobne i zdawały się potwierdzać rzeczywiste wydarzenia.

– Nie mogę tylko zrozumieć jednej rzeczy – wtrącił się Suski. – Jak córka mogła pozbawić życia swoich rodziców?

– Mało mamy takich przypadków w aktach śledczych? Miała prawo ich nienawidzić – westchnął Trygar. – Na pewno nie byli wzorem rodziców.

– To fakt – powiedział Tymon. – Z drugiej strony, może to gospoia urobiła Wiktorię, aby ta wykorzystała Euzebiusza? Czy trzeba wiele, żeby wmówić dziecku, że nienawidzi własnych rodziców, tak bardzo, że życzy im śmierci. Tym bardziej, że obie kobiety znały się niemal od urodzenia. Widać, że Nadieżda miała i nadal ma ogromny wpływ na Wiktorię.

– Nie wiemy – zauważył Suski – jaką rolę odegrała w tej sprawie Nadieżda, a jaką Wiktoria. Choć obstawiałbym, że to właśnie gospoia była prowodyrem większości zdarzeń. Może chciała się zemścić na byłym mężu albo na Kortyńskich? Albo wzbogacić się kosztem swoich pracodawców? Zauważcie zresztą, że jakkolwiek byłby to plan, udało się go zrealizować z nawiązką.

– Wiktoria była zbyt młoda, aby to wszystko zaplanować – zauważył Trygar.

– Ta dziewczynka jest bardzo sprytna – powiedziała Figiel.

– Musimy zdemaskować matactwa tych pań – zawyrokował Suski.

– Tylko jak tego dokonać? – zapytał Rafał.

– Wszyscy świadkowie, którzy mogliby coś powiedzieć, nie żyją.

– Nie wszyscy – rzucił Suski. Spojrzał na ścianę z dziwnym wyrazem zamyślenia wymalowanym na twarzy.

– Jak to? – zdziwił się Tymon.

– Profesor Stroiński nie powiedział nam całej prawdy – stwierdził prokurator. – Musimy go przycisnąć.

ROZDZIAŁ 64

Profesor Władysław Stroiński siedział w gabinecie prokuratora Suskiego i przebierał palcami ze zdenerwowania.

– Co ma pan do powiedzenia w sprawie byłej żony Nadieżdy Kosiel? – zapytał prokurator. – Nie podzielił się pan z nami informacjami z przeszłości.

Profesor zastanawiał się, jak zacząć, wreszcie wolno, z namaszczeniem odpowiedział:

– A czym tu się chwalić – zawiesił głos. – To były błędy mojej młodości. Trochę z kolegami popiliśmy, przespałem się z Ukrainką. Pech chciał, że zaszła w ciążę od pierwszego razu. Nie wiedziałem co robić, dlatego się z nią ożeniłem. Ot i tyle, cała prawda o mojej przeszłości.

Marian zmrużył oczy zadowolony, że profesor nie tai prawdy. Coraz częściej wydawało mu się, że Władysław jest czysty i nie miał z wypadkiem Marzeny Gibały nic wspólnego.

– Ona była dziwna, nie zrównoważona – kontynuował Stroiński. – Bałem się jej. W akcie desperacji zmusiłem ją, aby usunęła dziecko, a potem się z nią rozwiodłem. Wcale nie jestem z tego faktu dumny. Załatwiłem i opłaciłem klinikę, w której wykonano zabieg.

– Rozumiem – mruknął Suski. – Czy rozstaliście się w przyjaźni? – zapytał.

– Nie za bardzo – powiedział profesor. – W międzyczasie, jeszcze jak byliśmy małżeństwem, poznałem moją byłą żonę. Bardzo dobrze się dogadywaliśmy, oboje interesowaliśmy się wojskowością. Potem urodziły nam się bliźniaki.

– Czy to dlatego rozstaliście się z Nadieżdą? – zapytał Marian.

– Tak. Ona mnie nienawidziła. Miała mi za złe, że zabiłem jej dziecko i zniszczyłem życie. Podczas skrobanki uszkodzono jej narządy rodne. Lekarze

powiedzieli, że już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Zniknęła mi wtedy z oczu, więcej o niej nie słyszałem.

Marian odchrząknął, trawiąc w myślach słowa Stroińskiego.

– Wiedział pan, że zatrudniła się u Kortyńskich jako niania, a potem gosposia? – zapytał Suski.

– Nie wiedziałem – odpowiedział Władysław. – Wiem, że nie jestem dobrym człowiekiem, ale nie cofnę czasu – tłumaczył.

– Czy Nadieżda mogła wpłynąć na Euzebiusza, kazać mu zabić Kortyńskich? Może chciała się w ten sposób na pana zemścić? – stwierdził Trygar.

Profesor przygryzł paznokcie, zastanawiając się nad pytaniem Mariana.

– Teoretycznie to możliwe, choć nie chce mi się w to wierzyć – zamyślił się Stroiński. – Z drugiej strony – zawiesił głos – Nadieżda miała sporo czasu, aby zaplanować zemstę. Wrosła w rodzinę Kortyńskich i kiedy poczuła się pewnie, zaczęła wendettę.

– Dziękuję – powiedział Suski, po czym pożegnał się ze Stroińskim.

Tuż po wyjściu profesora z gabinetu, wykonał telefon na komendę.

– Śledźcie Władysława Stroińskiego. Chciałbym wiedzieć, czy czasem nie będzie się kontaktował z Wiktorią Kortyńską albo Nadieżdą Konsieł.

Odłożył słuchawkę, a jego wzrok zawisł w przestrzeni. Wiedział, że sprawa weszła w decydującą fazę. W obecnej sytuacji należało działać niczym saper, niczego nie mogli przeoczyć.

ROZDZIAŁ 65

Prokurator wraz z policjantami siedzieli w sali konferencyjnej komendy i zastanawiali się, jak rozegrać delikatną sytuację, w której utknęło śledztwo.

Trygara męczył kac, dlatego siedział w kącie z założonymi rękami i niewiele się odzywał. Trudno było powiedzieć, czy w taki sposób przeżywał wypadek Marzeny, czy może miał zbyt dużo wolnego czasu, który najłatwiej było zalać alkoholem.

– Jak u Gibały? – zapytał Marian.

– Chujowo, ale stabilnie, czyli bez zmian – odpowiedział Trygar. – Co zamierzacie zrobić? – zapytał, aby nie rozwijać wątku związanego z Gibałą.

– Te dwie kobiety wodzą nas za nos. Musimy je jakoś podejść. Dowieść, że to one pośrednio stały za zabójstwami dokonаныmi przez pana V – tłumaczył prokurator.

– Może gdyby zdobyć komputer Wiktorii Kortyńskiej dałoby się z niego coś odczytać? – zaproponował Folyński.

– Nadzieжда i Wiktorija przygotowały wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Sądziш, że nie pozbyły się zapisów rozmów z laptopa? – bardziej stwierdził, niż zapytał Suski.

– Sam mówiłeś, że specjaliści informatycy potrafią czynić cuda – zauważył Folyński.

Marian podrapał się po brodzie, zastanawiając, jaki podstęp wymyślić, aby przeświecić komputer Wiktorii Kortyńskiej.

– Jakiś propozycje? – rzucił wreszcie, zdając się na inwencję twórczą podwładnych.

– Proponuję niewielką mistyfikację – rzucił Folyński.

– Co przez to rozumiesz? – zapytał Trygar.

– Wyślemy technika, który pod pretekstem sprawdzania łącza internetowego, zainstaluje na komputerze Kortyńskiej jakiś soft szpiegujący. Dzięki niemu sprawdzimy zawartość dysku, nawet tę skasowaną – zaproponował Tymon.

Suski pokiwał głową, zastanawiając się nad propozycją starszego aspiranta.

– To nawet niegłupie – odpowiedział, uśmiechając się.

ROZDZIAŁ 66

Dwa dni później nastroje zebranych na komendzie były minorowe.

– Ona usunęła wszystkie dane z tego komputera – powiedział poirytowany Tymon.

– Czy to nie dowodzi, że miała coś do ukrycia? – zapytał Trygar.

– Jasna cholera. Jak te baby przyskrzynić? – narzekał Suski, chodząc po pokoju. – Może trzeba je przycisnąć, aż puszcza farbę.

– Obstawia się prawnikami i dupa zbita. Nic im nie zrobimy – podsumował Rafał.

Myśli zebranych krążyły wokół przeróżnych kuriozalnych pomysłów jak podrobienie dowodów czy podstawienie fałszywych świadków. Starszy aspirant przeglądał zdjęcia, zastanawiając się, co mogli jeszcze przeoczyć. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na fotografii przedstawiającej osobę Damiana Tyrmanowskiego.

– Bliźniak dwujajowy, szkoda cholera, że nie są podobni – powiedział Tymon po cichu, jakby do siebie.

– Co mówisz? – zapytał Marian, który nie dosłyszał, co takiego Foltiński wymamrotał pod nosem.

– Mówię, że gdyby Damian Tyrmanowski był bliźniakiem jednojajowym Euzebiusza Stroińskiego, to moglibyśmy go wysłać do Wiktorii i Nadzieży, aby je trochę postraszyć. Zakładam, że obie kobiety nie wiedzą nic o bracie bliźniaku. Pomyślałyby, że chłopak wstał z grobu, aby się zemścić.

Suski początkowo puścił wypowiedź Tymona mimo uszu. Przetwarzał coś w głowie, będąc w dziwnym stanie zawieszenia. Wreszcie zatrzymał się na środku pokoju i wybałuszył oczy, jakby doznał olśnienia.

– A dlaczego by go nie ucharakteryzować? – zapytał Marian.

– Czy to zgodne z prawem? – odpowiedział pytaniem Rafał.

– Podciągniemy to pod policyjną prowokację – wypalił prokurator.

Słowa Mariana brzęczały w uszach policjantów, którzy pomału dochodzili do wniosku, że pomysł może nie być taki najgorszy.

– Nafaszerujemy sobowtóra podsłuchami i wyciągniemy z kobiet prawdę – powiedział Tymon.

– Ta Nadzieźda to stara wyga, nie da się łatwo podejść. Wyczuje podstęp – dodał Rafał.

– Dłatego musimy zastraszyć Wiktorię. Jest na tyle młoda, że da się zrobić w intrygę. Musimy jedynie sugestywnie to zorganizować – powiedział Marian, po czym zagryzł wargi. Cały ten podstęp był ewidentnie szyty grubymi nićmi. Jednak jedyne, co teraz mogli zrobić, to zaryzykować.

– Coś cię trapi? – zapytał Trygar.

– Wiecie, co nam grozi, jeśli nie uda się z Wiktorii niczego wyciągnąć? Groźba karalna podchodzi pod artykuł sto dziewięćdziesiąty kodeksu karnego. Prawnicy Wiktorii i Nadzieźdy mieszej nas z gównem. Zwolnią mnie dyscyplinarnie z pracy, a potem dostanę jeszcze dwa lata w zawieszeniu i zakaz wykonywania zawodu – narzekał Suski.

Mimo obaw prokuratora postanowili zrealizować karkołomny plan. Policjanci obserwowali dom Kortyńskich dzień i noc, aby poznać zwyczaje i harmonogram życia tej dwuosobowej dysfunkcyjnej rodziny. Wiktoria Kortyńska szła do szkoły, a w tym czasie Nadzieźda Kosieli robiła zakupy i załatwiała urzędowe sprawy związane z domem, spadkiem i opieką nad małoletnim dzieckiem. Oczywiście nie podjęła pracy zarobkowej, uznając najwyraźniej, że majątek Kortyńskich, którym pośrednio dysponowała, był na tyle duży, że pozwalał prowadzić spokojne i dostatnie życie.

Po kilku dniach policjanci i prokurator doszli do wniosku, że najlepszym miejscem, w którym można by zorganizować policyjną prowokację, jest szkoła. Tam Wiktoria była sama, bez obstawy nadgorliwej Nadzieźdy.

Kolejnym problemem do pokonania był Damian Tyrmanowski. Przekonanie chłopaka, aby wcielił się w rolę zmarłego brata, Euzebiusza nie było wcale łatwe. Prokurator zastanawiał się nawet, czy sobowtóra nie powinien zagrać zawodowy aktor. Przeważały jednak cechy wspólne, których

Damian miał z bratem dość dużo. Głos, wysokość czy budowa ciała, a nawet sposób poruszania sprawiały, że był najlepszym kandydatem.

Największym problemem okazała się wrodzona nieśmiałość Damiana. Wcielenie się w rolę psychopaty, który morduje bez cienia litości i skrupułów, było dla chłopaka nie lada wyzwaniem. Dopiero po setce prób i godzinach odegranych scenek Tyrmanowski poczuł się na tyle pewnie, że można go było wysłać do akcji.

Prokurator Suski wszedł do pokoju, gdzie wykonywano charakteryzację Damiana Tyrmanowskiego.

– O kurwa – powiedział, widząc mężczyznę w bluzie z kapturem, dzinsach i wysokich głanach, siedzącego na krześle przed lustrem.

– To chyba oznacza, że jest nieźle – podsumował Tyrmanowski, uśmiechając się.

ROZDZIAŁ 67

Wiktoria, jak co dzień, założyła słuchawki z odtwarzaczem mp3 na uszy i podrygując w rytmie ciężkich metalowych brzmień, wyszła z domu. Ruszyła w stronę szkoły, która na szczęście oddalona była niecały kilometr od posesji Kortyńskich. Pierwszą lekcją był język polski, którego dziewczynka wprost nienawidziła. Ledwie nauczycielka rozpoczęła sprawdzanie listy obecności, poczuła pojedynczą wibrację telefonu w kieszeni.

„Spotkajmy się w kiblu.

Wielbiciel”

Kortyńska poczuła dziwny dreszcz podniecenia. Numer był nieznanym. Kortyńska nie była w klasie zbyt lubiana, dlatego krótka informacja tekstowa była dla niej nie lada zaskoczeniem. Nigdy jeszcze nie otrzymała podobnego SMS-a. Wiktoria była chuda, biała i brzydka, dlatego niewielu chłopców kręciło się po jej orbicie. Teraz poczuła się podbudowana i dowartościowana. Zastanawiała się przez chwilę, co zrobić. Ostatecznie jednak ciekawość zwyciężyła.

– Pani profesor, czy mogę na chwilę wyjść? – zapytała, podnosząc dwa palce do góry.

– A co się dzieje? – zapytała gruba, brzydka baba z wystającymi zębami.

Dziewczynka skinęła głową na dolne partie ciała, sugerując dyskretnie, że chodzi o kobiece sprawy. Choć wszystkie dziewczyny w klasie miały już miesiączkę, temat był zakazany i poruszano go tylko w dziewczęcym zaufanym gronie.

Nauczycielka skinęła głową, pozwalając Kortyńskiej wyjść do ubikacji.

Wiktoria szła korytarzem, ciesząc się, że uda jej się uniknąć przynajmniej części zniechęconej lekcji. Weszła do damskiej toalety i rozglądała się przez chwilę. W pewnym momencie drzwi do jednej z kabin uchyliły się i pojawił się w nich mężczyzna w szarej bluzie. Kortyńska zbladła tak bardzo, że

przypominała mima wymalowanego białym pudrem. Próbowala coś powiedzieć, jednak jej język zamienił się w drewniany kołek.

– Wróciłem, aby się zemścić – powiedział, ucharakteryzowany na Euzebiusza, Damian Tyrmanowski. – Pamiętasz, co mi obiecałaś?

– Ale jak... – wymamrotała dziewczynka. – Przecież ty nie żyjesz. – Cofnęła się kilka kroków, aż uderzyła nogą o kaloryfer.

– Upozorowałem tylko śmierć. Teraz wracam, żeby odebrać to, co mi obiecałaś. Pamiętasz? – zapytał.

– Pamiętam – powiedziała dziewczynka, zastanawiając się, co zrobić. Mężczyzna zatarasował jej jedyną drogę ucieczki. Kortyńska, w akcie desperacji, postanowiła uderzyć w nutę, która do tej pory zawsze przynosiła dobre rezultaty w rozmowach z Ezikiem.

– Kocham cię. Będziemy razem. Zrobimy to, ale nie tu i teraz...

– Dlaczego nie? – zdziwił się mężczyzna. Wyciągnął z kieszeni długi sztylet i zaprezentował go Kortyńskiej. – Przecież też tego chcesz. Po co się dłużej męczyć, skoro życie nas nie kręci.

Dziewczynka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Mimo że widziała Euzebiusza na własne oczy zaledwie dwa razy, to przecież godzinami rozmawiali o śmierci, bezsensie istnienia i beznadziei ogarniającej świat. Przynajmniej część z tych rozmów była szczerą.

Potem ich internetowe pogadanki zboczyły na tematy filozoficzne. Oboje zafascynowani byli osobami Aleistera Crowleya i Antona Szandora LaVeya. Bezapelacyjnie zgadzali się z głoszonymi przez nich tezami. Choć Kortyńska nienawidziła życia, w głębi duszy, nie chciała umierać.

– Zabijałem dla ciebie – powiedział Euzebiusz.

– To miało być dla naszego wspólnego dobra – powiedziała, próbując odciągnąć chłopaka od wyjścia. Euzebiusz trzymał w ręce nóż i okręcał go w dłoni, pokazując na przemian lewą i prawą stronę rękojeści.

– Nie obawiaj się. Zabiję najpierw ciebie, potem siebie. Obiecuję. Wiesz, że ja zawsze dotrzymuję obietnicy.

Mężczyzna złapał Wiktorię za rękę i przycisnął do ściany.

– Mieliśmy być szczęśliwi, razem w nicości. Miałem się tylko pozbyć tych, których nienawidzisz – powiedział, przybliżając twarz do ust dziewczynki.

– Tak miało być – powiedziała. – Jednak teraz nie jest najlepszy czas, aby odejść.

– Dlaczego? – zapytał mężczyzna. – Przecież sama mówiłaś, że nic cię tu nie trzyma. Kazałaś mi ich zabić. Wykorzystałaś mnie.

– Tak. Wykorzystałam – powiedziała, po czym uderzyła mężczyznę w krocze. Damian zwinął się w kłębek i osunął się na podłogę, próbując opanować ból. Wiktoria tymczasem zdołała dobiec do klasy, otworzyła drzwi i zajęła swoje miejsce. Oddychała ciężko, starając się dojść do siebie.

Choć nie udało się w pełni zrealizować misternego planu, który sobie założyli, Damian Tyrmanowski był z siebie zadowolony.

ROZDZIAŁ 68

Wiktoria Kortyńska została wezwana do prokuratury, aby złożyć zeznania. Jako osoba niepełnoletnia pojawiła się wraz z Nadieżdą Kosięł i mecenasem Ignacym Lewartowskim.

Zebrane dowody pozwoliły Marianowi Suskiemu postawić Wiktorii zarzuty z artykułu osiemnastego paragraf pierwszy, związane z podżeganiem do zabójstwa. Zgodnie z kodeksem postępowania karnego tego typu zbrodnie podlegały takiej samej karze jak czynne zabójstwo.

Prokurator uruchomił nagrania zarejestrowane podczas policyjnej prowokacji zorganizowanej w szkole Wiktorii Kortyńskiej. Nadieżda Kosięł, słysząc słowa dziewczynki, zdawała się niezwykle poruszona. Jeśli nawet o wszystkim wiedziała, to udawała zaskoczenie nad wyraz sugestywnie. Nie odzywała się jednak, zdając się na prawnika. Równie zdziwiony był mecenas Ignacy Lewartowski, choć wieloletnie doświadczenie pozwoliło mu zachować twarz pokerzysty. Wysłuchał w spokoju nagrania, poprawił się na krześle, po czym odpowiedział:

– Sąd nie uzna zeznań zdobytych pod przymusem. To nielegalne – tłumaczył Ignacy.

– Pozwoli pan, że to sąd zdecyduje, czy należy wziąć nagrania pod uwagę, czy nie – odpowiedział Suski.

Lewartowski tylko odchrząknął, dając tym samym do zrozumienia, że nie zamierza komentować tej kwestii.

– Co pan w takim razie powie o zapisach z rozmów internetowych przeprowadzonych między Wiktorią Kortyńską a Euzebiuszem Stroińskim? – ciągnął Suski.

– Nie ma jednoznacznych dowodów, że to moja klientka to napisała. Obale również i tę tezę – powiedział.

Prokurator uznał, że dalszy spór nie ma większego sensu, a kolejne spotkanie z Ignacym Lewartowskim będzie miało miejsce dopiero w sądzie.

Prasa spekulowała na temat dowodów zebranych przez prokuraturę, wydając na Kortyńską przedwczesny wyrok skazujący. Dziewczyna szybko stała się osobą powszechnie nienawidzoną. Doszło do tego, że przestała chodzić do szkoły i uczyła się w domu pod opieką prywatnego nauczyciela. Wiktoria, poinstruowana przez prawnika, starała się nie komentować plotek związanych ze stawianymi jej zarzutami. Miała sobie za złe, że była tak naiwna, że dała się zrobić w policyjną prowokację. Po miesiącu medialnej nagonki przyszedł wreszcie czas rozprawy sądowej.

ROZDZIAŁ 69

W dniu rozprawy Marian Suski poprawił krawat, przyglądził włosy i stwierdziwszy, że nie wygląda jeszcze najgorzej, wyszedł z łazienki i ruszył w kierunku sali sądowej.

„Udup te pizdy” – brzęczały mu w głowie słowa Trygara, wypowiedziane podczas wczorajszego spotkania na komendzie.

Upewnił się jeszcze, czy na wokandzie figuruje jego sprawa, usiadł na ławce i czekał cierpliwie. Pod togą włożony miał stary garnitur, który przynosił mu zwykle szczęście. Koledzy i koleżanki z pracy wielokrotnie zwracali mu uwagę, że może czas najwyższy go zmienić. Staromodny fason i lekko przechodzony materiał sprawiały, że goszczący niekiedy na pierwszych stronach gazet prokurator nie prezentował się najlepiej. Suski ani myślał wymieniać go na nowy, tłumacząc, że toga i tak wszystko zasłania.

Przed salą rozpraw zgromadził się spory tłum dziennikarzy oraz telewizja. Oczywiście była tam również Dominika Figiel, która dostała specjalne zezwolenie na uczestnictwo w rozprawie.

Punktualnie o godzinie dziewiątej protokolant ogłosił rozpoczęcie sprawy i wszyscy zainteresowani, z wyjątkiem dziennikarzy, zostali wpuszczeni przez strażników do środka.

Marian Suski pełnił w procesie rolę oskarżyciela publicznego. Po prawej stronie sali naprzeciwko prokuratora siedzieli mecenas Ignacy Lewartowski, Wiktoria Kortyńska i jej prawna opiekunka Nadieżda Konsień.

Za wysokiego biurka spoglądał spod okularów sędzia Miłosz Trębacz. Miał koło pięćdziesiątki, przerzedzone włosy i sumiaste wąsy dodające dostojności. Po jego obu stronach siedzieli ławnicy, kobieta wyglądająca niczym zawodowa bibliotekarka i pomarszczony mężczyzna sprawiający wrażenie poczciwego dziadunia.

Marian Suski, po zapoznaniu sędziego z zarzutami wobec nieletniej, przedstawił dowody w postaci wydruków rozmów między Wiktoria Kortyńską a Euzebiuszem Stroińskim. Zaprezentował również nagrania, jakie zarejestrowali podczas policyjnej prowokacji.

– Proszę zwrócić uwagę – zaczął – że we wszystkich zabójstwach, o których mowa, w sposób pośredni pojawia się Wiktoria Kortyńska. Dziewczyna miała dostęp do klucza do salonu masażu, gdzie zabito Waldemara Komara. Znała obyczaje rodziców, wiedziała jak żyją i co robią. Potem jeszcze śmierć Kortyńskich – tłumaczył Suski.

Sala sądowa była dla Suskiego niczym woda dla rekina. Obsesyjne chodzenie w trakcie mówienia wyniósł właśnie z rozpraw, w czasie których niemal cały czas był w ruchu.

– Proszę wysokiego sądu – kontynuował – czy nie wydaje się dziwnym, że zabójca w przebraniu klauna przyszedł do Krzysztofa Kortyńskiego do domu dokładnie wtedy, kiedy Nadieżda Konsiel i Wiktoria Kortyńska udały się wspólnie na zakupy?

Marian Suski był prawdziwym mistrzem krasomówstwa. Słowa, które wypływały z jego ust, potrafiły zahipnotyzować niejednego. Na sali panowała zupełna cisza. Prokurator zakończył mowę wprowadzającą i przeszedł do ogłoszenia aktu oskarżenia.

– Zgodnie z artykułem osiemnastym paragraf pierwszy kodeksu karnego, odpowiada za sprawstwo nie tylko ten, kto wykonuje czyn zabroniony sam albo wspólnie i w porozumieniu z inną osobą, ale także ten, kto kieruje wykonaniem czynu zabronionego przez inną osobę lub wykorzystując uzależnienie innej osoby od siebie, poleca jej wykonanie takiego czynu. Na podstawie przedstawionych dowodów widać dobitnie, że oskarżona podlegała Euzebiusza Stroińskiego do zabójstwa. Zdobyła jego zaufanie, a nawet miłość. Wykorzystała chorobę biednego chłopaka, który podporządkował się jej woli. Być może pierwszy raz w życiu poczuł, że ma w kimś wsparcie. Życie Euzebiusza nie rozpieszczało, traumatyczne przejścia w dzieciństwie, surowy ojciec wychowujący go w wojskowym drylu. I nagle pojawia się Wiktoria Kortyńska, u której Ezik znajduje zrozumienie. Powiem więcej, znajduje w niej

własne odbicie. Podświadomość chłopaka, tak podatna na wpływy, poszła na ten układ bez najmniejszego wahania.

W tym momencie Marian zrobił pauzę, chcąc, aby ostatnie słowa zapadły w pamięci zebranych.

– I co z tym zaufaniem zrobiła Wiktoria Kortyńska? Pytanie pozostawiam bez odpowiedzi. – Marian odczekał kilka sekund, po czym oznajmił: – Wnioskuje zatem o skazanie nieletniej Wiktorii Kortyńskiej na rok zakładu poprawczego. Drugą część wyroku w liczbie czternastu lat, odbyłaby już w zakładzie karnym po uzyskaniu pełnoletniości.

Wszyscy na sali sądowej zdawali sobie sprawę, że Suski zawnioskował o niski wymiar kary, bo możliwości, jakie dawał kodeks postępowania karnego, były dużo większe. Takim podejściem prokurator chciał jednak pokazać opinii publicznej, że bierze pod uwagę zarówno ciężką sytuację Wiktorii, jak i trudną przeszłość, która bez wątpienia wpłynęła na postępowanie dziewczynki.

Marian po zakończeniu płomiennej przemowy usiadł na ławie. Sędzia Trębacz skierował wzrok na mecenasa Lewartowskiego, dając mu do zrozumienia, że nadeszła jego kolej. Ignacy podniósł się, wyszedł na środek i odchrząknął. Spojrzał na wszystkich zgromadzonych na sali i uśmiechnął się. W pewnym momencie odwrócił się gwałtownie i wbił wzrok w sędziego. Podobną scenkę miał opanowaną do perfekcji, a jej celem było przykucie uwagi.

– Zgodnie z artykułem sto sześćdziesiątym ósmym kodeksu postępowania karnego, niedopuszczalne jest wykorzystywanie dowodu uzyskanego za pomocą czynu zabronionego – wypalił Lewartowski, cytując przepisy z prędkością karabinu maszynowego. – Jak inaczej nazwać prowokację policyjną, którą zorganizowała warszawska prokuratura? – Mecenas spiorunował wzrokiem Mariana Suskiego. Wytrzymał kilka sekund, po czym kontynuował monolog.

– W majestacie prawa szantażowali, a nawet grozili nożem nieletniej, która jak wszyscy wiemy, ma problemy z tożsamością. Za chwilę posłuchamy pani psycholog, która potwierdzi me słowa. Pan prokurator – Lewartowski znowu wbił wzrok w Mariana – zorganizował szopkę, która miała coś udowodnić.

Gratuluje panu metod działania. Już niedługo zacznie pan grozić nożem dwulatкови, aby zeznał przeciwko swoim rodzicom, że źle przewinęli pieluchę.

Na sali rozległy się śmiechy, które natychmiast zostały zgromione przez sędziego. Miłosz Trębacz spojrział na Lewartowskiego, dając mu do zrozumienia, że przeholował nieco ze słowami. Ignacy pogładził się po brodzie i kontynuował wypowiedź.

– To biedne dziecko – wskazał na Kortyńską – próbowało targnąć się na swoje życie, bo miało dość wiecznych kłótni rodziców i wzajemnego obwiniania o wszystko. Brakowało jej miłości, której musiała szukać u niani, a obecnie gosposi i prawnej opiekunki. Co w takiej sytuacji zrobił pan prokurator? Zmusił moją klientkę, aby w stanie zagrożenia i wzburzenia przyznała się do podżegania do zabójstwa. Każdy z was – Lewartowski wskazał na ludzi zgromadzonych na sali – zareagowałyby tak samo. Obiecałoby terroryście wszystko, co ten chciałby usłyszeć.

Ignacy ponownie zrobił przerwę. Nabrał powietrza w usta i powiedział:

– Jeśli chodzi o zapisy z rozmów internetowych, nie ma jednoznacznego dowodu, że słowa te napisała moja klientka. W związku z powyższym wnoszę o uniewinnienie Wiktorii Kortyńskiej od postawionych zarzutów.

Lewartowski chciał, aby to na prokuratorze ciążył obowiązek udowodnienia, że jego klientka prowadziła internetowe rozmowy z Euzebiuszem Stroińskim.

Obie strony zostały wysłuchane. Sędzia Trębacz ogłosił kolejny punkt, którym było przesłuchanie świadków. Na salę rozpraw został poproszony profesor Władysław Stroiński, który po zaprzysiężeniu, zajął miejsce na krześle. Zgodnie z procedurą pierwszy na środek sali wyszedł Marian Suski.

– Jakie powinowactwo łączy pana z Nadeżdą Konsieł, obecnie prawną opiekunką Wiktorii Kortyńskiej?

Profesor poprawił się na krześle, przełknął ślinę i odpowiedział:

– Przez krótki czas byliśmy małżeństwem.

Kolejne pytania prokuratora dotyczyły trudnej przeszłości Nadeжды Konsieł i Władysława Stroińskiego. Profesor dokładnie opowiedział, jakie

relacje łączyły go w przeszłości z gospożą Kortyńskich. Mówił o usuniętej ciąży Nadieżdy i o bliźniakach, które miał z nową żoną.

Z każdym kolejnym zdaniem profesora, na twarzy Nadieżdy odmalowywał się coraz większy niepokój. Jakby widząc znieawidzonego człowieka i słuchając historii sprzed lat, odżyły w jej głowie demony przeszłości. Górna warga jej drgała, a zmrużone oczy pały nienawiścią.

Ignacy Lewartowski przesłuchiwał profesora Stroińskiego jako drugi. Ponieważ nie miał do Władysława żadnych pytań, zwrócił się do prokuratora.

– W jakim celu świadek został wezwany, skoro nie ma żadnego związku ze sprawą? – zapytał mecenas.

– Proszę wysokiego sądu – odpowiedział Suski, unosząc się z miejsca. – Odpowiedź na pytanie pana mecenasa zostanie udzielona po zakończeniu przesłuchania świadków. Proszę o jeszcze chwilę cierpliwości.

Słowa Suskiego wywołały na sali poruszenie. Czyżby prokurator miał w zanadrzu jakąś bombę, o której nikt nie wiedział?

Kolejnym przesłuchiwanym świadkiem była Alicja Matel, która opowiadała o sesjach terapeutycznych przeprowadzanych z Wiktorią Kortyńską.

Marian Suski wpatrywał się w kobietę, jakby próbował przeświecić jej myśli. Była to jedna ze standardowych prokuratorских sztuczek mających na celu poirytowanie świadka.

Po zadaniu kilku prostych pytań dotyczących Wiktorii Kortyńskiej prokurator przeszedł do kwestii o większym kalibrze.

– Rozumiem, że zarzuty wobec Krzysztofa Kortyńskiego o molestowanie seksualne córki okazały się nieprawdziwe? – zapytał Marian.

– Tak – potwierdziła Matel.

– Co się zatem wydarzyło? Czy mogłaby nam pani o tym opowiedzieć – poprosił prokurator.

– Zdaniem Wiktorii Kortyńskiej Lucyna Kortyńska zmusiła ją do składania fałszywych zeznań – powiedziała psycholog.

– Czy te zarzuty się potwierdziły? – zapytał Suski.

– Nie ma jednoznacznych dowodów, aby potwierdzić albo obalić tę tezę – stwierdziła Matel.

– Pragnę również dodać – wtrącił się Suski – że nie odnaleziono pieniędzy, którymi Lucyna Kortyńska rzekomo przekupiła Wiktorię Kortyńską.

– Proszę się skupić na pytaniach, a nie na przedstawianiu wniosków – sędzia Trębacz zwrócił uwagę prokuratorowi.

Suski potaknął, po czym zwrócił się w stronę świadka.

– Czy można zatem powiedzieć, że w tej konkretnej sytuacji Wiktoria Kortyńska manipulowała swoimi rodzicami? – zapytał Marian.

Po sali przeszła fala szeptów. Sędzia uspokoił zebranych, grożąc, że opróżni salę, jeśli nie będzie zachowany spokój.

– Trudno jednoznacznie stwierdzić, ale w tej sytuacji mogło tak być – potwierdziła Alicja.

– W jakim celu Wiktoria Kortyńska manipulowała rodzicami? – zapytał Marian.

– Nie wiem. Cierpi na zaburzenia osobowości, które mogły powodować tego typu zachowania.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań – powiedział Marian.

Ignacy Lewartowski wstał ociężale z miejsca i podszedł do Alicji Matel. Uśmiechnął się do niej, po czym zapytał:

– Proszę nam powiedzieć, czy obraz Wiktorii bezwzględnej morderczyni, jaki odmalowuje nam prokurator, może być prawdziwy? – zapytał.

– Nie wydaje mi się. Jej zaburzenia oczywiście sprawiają, że może mieć zakłamy obraz rzeczywistości. Osobiście jednak uważam, że Wiktoria na swój sposób kochała rodziców – tłumaczyła Matel.

– A zatem jest mało prawdopodobne, aby Wiktoria celowo i z premedytacją podżęgała Euzebiusza Stroińskiego do zabójstwa Kortyńskich?

– Moim zdaniem tak.

Ignacy zadał jeszcze kilka pytań, które miały ukazać Wiktorię jako biedną i pokrzywdzoną ofiarę medialnej nagonki.

Na salę wezwany został kolejny świadek. Był nim szczupły mężczyzna w okularach i flanelowej koszuli w kratę. Szedł niczym kowboj na rauszu i niósł pod pachą laptopa. Po zaprzysiężeniu rozłożył komputer na stoliku i uruchomił go, następnie odwrócił się w stronę Mariana Suskiego.

– Proszę nam się przedstawić – zaczął prokurator.

– Wojciech Krata. Jestem administratorem sieci komputerowych.

– Ile ma pan lat doświadczenia w zawodzie? – zapytał Suski.

– Ponad dwanaście – odpowiedział mężczyzna.

– Proszę nam powiedzieć, jakie wnioski można wysnuć z analizy logów serwera, na którym działał komunikator internetowy, którym posługiwała się Wiktoria Kortińska?

– Komunikator internetowy wymaga uwierzytelnienia. Oznacza to, że należy podać login i hasło, aby połączyć się z serwerem i rozpocząć rozmowę sieciową – tłumaczył informatyk.

– Dobrze – powiedział Suski. – Czy można jednoznacznie stwierdzić, że rozmowy, które udało się odtworzyć z komputera Eugeniusza Stroińskiego, prowadzone były z komputerem Wiktorii Kortińskiej?

– Tak. Da się to jednoznacznie stwierdzić.

– Proszę nam powiedzieć, na jakiej podstawie może pan stwierdzić, że te dwa komputery, o których mowa, komunikowały się ze sobą?

– Adresy kart sieciowych komputerów przypisywane są do tymczasowych adresów IP, które zostają wpisane w logi serwera. Na tej podstawie da się jednoznacznie stwierdzić, że te dwa komputery się ze sobą komunikowały. Co więcej, można na tej podstawie wywnioskować, że czas połączenia między dwoma komputerami wynosił ponad tysiąc dwieście godzin.

Poza mętnym wywodem informatyka, którego większość zgromadzonych na sali osób nie rozumiała, przekaz związany z ilością godzin połączenia między komputerami Wiktorii a Euzebiusza zrobił na wszystkich wrażenie.

– Czy można jednoznacznie stwierdzić, kto siedział przy komputerze podczas rozmów internetowych, o których pan opowiadał? – zapytał Lewartowski.

– Gdyby komputer posiadał skaner linii papilarnych, dałoby się to jednoznacznie stwierdzić. Niestety, te laptopy nie posiadały takiego mechanizmu – odpowiedział informatyk.

W pewnym momencie Marian Suski podszedł do sędziego i szepnął mu na ucho kilka słów. Na sali od razu rozległy się pomruki niezadowolenia. Suski najwyraźniej miał coś do ukrycia i nie chciał, aby zostało to zapisane w protokole.

Prokurator następnie wręczył informatykowi kabel od rzutnika. Ekran z laptopa przyniesionego przez administratora został wyświetlony na bocznej ścianie sali w taki sposób, żeby wszyscy zebrani mogli bez problemu obserwować przekazywany obraz.

– Czy laptop Wiktorii Kortyńskiej posiadał kamerę internetową? – Suski kontynuował zadawanie pytań.

– Tak. Co więcej, udało się odtworzyć zapis z kamery zarejestrowany podczas przebiegu jednej z sesji, które prowadzone były między dwoma komputerami – tłumaczył szczerpły mężczyzna.

– Proszę nam to bliżej wyjaśnić – zachęcał Marian.

– Rozmowa przebiegała poprzez komunikator tekstowy, ktoś jednak przez przypadek włączył kamerę internetową w laptopie, która nagrała kilkanaście sekund materiału. Film został usunięty, jednak udało nam się go odtworzyć.

– Czy może nam go pan uruchomić? – poprosił Suski.

Na sali zapanowała konsternacja. Wszyscy w tylnych rzędach podnieśli się, chcąc lepiej widzieć nagranie.

Przez chwilę ekran był czarny, potem w kadrze pojawiła się Wiktoria Kortyńska pisząca coś na klawiaturze. W pewnym momencie zza dziewczyny wyszła Nadieżda Konsień, która z furią wymalowaną na twarzy wykrzyczała zdanie:

– Odpisz mu, że go kochasz! Słyszysz!

– Ale ja go nie Kocham – tłumaczyła Wiktoria ściszym głosem.

– Mów, kurwa, co ci każę, bo popamiętasz – syknęła kobieta.

W tym momencie obraz się urwał.

Nadieżda Konsiel, siedząca na ławie poderwała się z miejsca, po czym wrzasnęła na całe gardło.

– Nie wiercie tej suce. To wcielone zło. Ona wszystkich zmanipulowała. Na każdego ma haki. To zdanie jest wyrwane z kontekstu. – Kobieta wyszła z ławy i ruszyła w stronę drzwi.

– Całe to przedstawienie, to czysta farsa. Chyba nie zamierzacie wierzyć tej kurwie! – wykrzyczała. Chciała otworzyć drzwi, aby wyjść z sali, jednak sędzia Trębacz ją powstrzymał.

– Proszę zatrzymać tę kobietę!

Policjny strażnicy zareagowali natychmiast. Złapali Nadieżdę Konsiel i wyprowadzili z sali. Sędzia zastanawiał się przez chwilę, czy czasem nie przerwać rozprawy albo przynajmniej nie ogłosić pauzy technicznej. Marian Suski wykazał się jasnością umysłu. Przeszedł na środek sali i krzyknął donośnie, aby przebić się przez hałas panujący wśród zebranych.

– Chciałbym przesłuchać oskarżoną Wiktorię Kortyńską!

Sędzia, słysząc wniosek prokuratora, poczuł się zwolniony z odpowiedzialności za sytuację i z satysfakcją przystał na propozycję Mariana.

Wiktoria Kortyńska wstała z miejsca i ruszyła w stronę podwyższenia. Ubrana w niebieską sukienkę wyglądała niczym Sierotka Marysia z bajki. Chude nogi wystające spod materiału, blada cera i podkrążone oczy jednoznacznie sugerowały, że nie jest okazem zdrowia.

Dziewczynka zajęła miejsce na krześle i podniosła łabędzią szyję.

– Opowiedz nam wszystko od początku – powiedział Suski. – Tak własnymi słowami.

– Moja niania była dla mnie wszystkim. Tak naprawdę zastępowała mi matkę i ojca. Dopiero kilka lat temu jakby się zmieniła. A może to ja dorosłam? – opowiadała dziewczynka. Lekkość zdań, które płynęły z jej ust, sugerowała, że albo musiała sobie wszystko wcześniej przygotować, albo w tak młodym wieku była już mistrzynią słowa. – Odniosłam wrażenie, że ona nienawidziła moich rodziców. Jakby chciała się na nich zemścić za krzywdy, których w życiu doświadczyła.

– Jakich krzywd doświadczyła Nadieżda od twoich rodziców? – zapytał Marian.

– Poniżali ją, wysługiwali się. Ona się całe życie przed kimś ukrywała. Przed przeszłością. A moi rodzice chyba o tym wiedzieli i wykorzystywali ten fakt – tłumaczyła Wiktoria.

– Jak to się stało, że poznałeś Euzebiusza Kortyńskiego? – zapytał Suski.

– To ona, moja niania mi o nim opowiedziała. Dość szybko go odnalazłam, wykorzystując media społecznościowe. Zaprzyjaźniliśmy się. Mieliliśmy wspólne zainteresowania, rozumieliśmy się bez słów. Opowiadałam mu o wszystkim. O kłótniach mamy i taty, o tych wszystkich kochankach. Żałował mnie, zaproponował, że będzie śledził moich rodziców. Potem, że nastraszył kochanków, żeby się odczepili. Zgodziłam się, bo chciałam, aby rodzina była na powrót razem.

– Czyli wiedziałaś, że rodzice się zdradzają?

– Oczywiście, każdy głupi by to zauważył. Tylko oni, moi rodzice, jakoś nie chcieli tego widzieć – odrzekła Wiktoria, spuszczając głowę.

– A wiedziałaś, że Euzebiusz jest chory i ma problemy natury osobowościowej? – zapytał Marian.

– Mówił mi o tym, ale nie wiedziałam wszystkiego.

– I co działo się potem?

– Po jednej z kłótni rodziców, nie chciałam dłużej żyć. Miałam tego wszystkiego dosyć. Ale nie chciałam się zabić, bardziej zwrócić na siebie uwagę rodziców.

– A co zrobiłaś, kiedy dowiedziałaś się, że nie żyje Jagna Filiańska? – zapytał Suski.

– Przestraszyłam się. Początkowo myślałam, że to tylko zbieg okoliczności, że to nie Ezekiel ich zabił. Dopiero kiedy zginął ten Komar, byłam pewna, że to Euzebiusz za tym stoi.

– Co działo się potem? – zapytał Suski.

– Nadieżda, której o wszystkim mówiłam, kazała ciągnąć to wszystko dalej. Mówiła, że jeśli pozbedziemy się moich rodziców, będziemy żyły szczęśliwie.

Groziła mi, że mnie zabije. Bałam się... – zamilkła dziewczynka.

Suski wytrzymał chwilę, aby Kortyńska doszła nieco do siebie.

– Czy to ona kazała ci oskarżyć Krzysztofa Kortyńskiego o molestowanie seksualne i zrobić w oskarżenie twoją mamę?

– Tak – mówiła Wiktoria ściszym głosem. – Powiedziała, że muszę to zrobić dla naszego dobra. Potem wszystko wymknęło się spod kontroli. Chciałam uciec, wyswobodzić się, jednak nie mogłam – dodała, łkając. – Ta kobieta mnie do wszystkiego zmusiła. Musicie mnie od niej uwolnić. Boję się jej.

Po policzkach Wiktorii spłynęły łzy. Dziewczynka zasłoniła twarz rękoma. Po sali rozniosły się szepty.

– Spokojnie. Nikt nie zrobi ci już krzywdy – powiedział Suski. – Nie mam więcej pytań.

ROZDZIAŁ 70

Nadziezda Konsieł została zatrzymana. Marian Suski, w obecności protokolantki i dwójki policjantów, siedział za szerokim stołem i przesłuchiwał Ukrainkę. Kobieta piła kawę i spoglądała spod oka na prokuratora, zdając sobie sprawę, że stoi na przegranej pozycji. Nie mogła uwierzyć, że to małe wredne dziecko tak łatwo wrobiło ją w podżeganie do zabójstwa. Jak mogła być aż tak głupia, aby zaufać genom Kortyńskich, które skumulowały się w postaci Wiktorii? Aby zmniejszyć wyrok, który jej groził, zgodziła się na współpracę z prokuraturą. Za weneckim lustrem siedziało kilku zainteresowanych, wśród których był również Tymon Foltyński i Rafał Trygar.

– Znamy zeznania Wiktorii Kortyńskiej. Proszę nam opowiedzieć, jak to wszystko wyglądało od pani strony – zachęcał Suski.

– To dziecko to diabeł wcielony – wymamrotała Nadziezda. – Ona jest dużo sprytniejsza i bardziej niebezpieczna, niż na to wygląda. Gra ofiarę, ale w rzeczywistości jest wyrachowana i zdradziecka.

– Jak to się stało, że postanowiliście wykorzystać Euzebiusza Stroińskiego? – zapytał Suski.

– To był impuls – zaczęła Konsieł. – Mój były mąż, Władysław Stroiński, którego zresztą szczerze nienawidziłam, piął się coraz wyżej w szczeblach kariery. Po wojsku został przyjęty na Uniwersytet Warszawski. Zrobił doktorat, potem habilitację.

– Dlaczego go pani nienawidziła? – zapytał Marian.

– Zniszczył mi życie. Poza tym, że mnie bił i znęcał się nade mną, to przede wszystkim przez niego nie mogłam mieć dzieci. Wysłał mnie do jakiegoś konowała, który nie dość, że zabił moje ukochane dziecko, to uszkodził mi drogi rodne.

– Zmusił panią do usunięcia dziecka? – zapytał prokurator.

Nadzieżdza przytaknęła. Otarła łzę, wisząc pod okiem, po czym kontynuowała wypowiedź.

– Schowałam się przed nim u Kortyńskich i pokochałam ich jedynaczkę. Widziałam, jak rodzice ją traktują. W szczególności Lucyna była wredna i wyrachowana. Wiktorია też taka jest. Boże, strzeż nas przed kobiecą nienawiścią. – Nadzieżdza przeżegnała się.

– I co było dalej? – dopytywał Suski.

– Wiedziałam, że kochanka Władka jest w ciąży. Rozwiódł się ze mną i wyrzucił mnie na bruk. Postraszył, że naśle na mnie biuro migracyjne, które odeśle mnie na Ukrainę. Bałam się go, dlatego zatrudniłam się u Kortyńskich. Schowałam się przed całym światem, którego szczerze nienawidziłam. Patrzyłam, jak Wiktorია dorasta w nienawiści. Dopiero kiedy miała dwanaście lat, przyznała mi się, że ma samobójcze myśli. Czuła się niekochana. Staralam się, jak mogłam, aby otoczyć ją miłością. Pewnego dnia powiedziała, że musimy jakoś ukarać jej rodziców za to, co jej robią. Do takiego wniosku doszła po jednej z ich kłótni.

– I co wymyśliliście? – zapytał Suski.

– Wiedziałam, że mój były mąż ma dziecko, które zostawiła mu kochanka, późniejsza żona. Opiekował się nim. Niechcący dowiedziałam się, że chłopak jest bardzo podatny na wpływy i ma problemy z osobowością.

– Jak się pani dowiedziała, że Euzebiusz Stroiński jest podatny na wpływy? – zapytał Marian.

– Byłam niedaleko ich domu. Chciałam się dowiedzieć, gdzie mieszkają, co robią? Spotkałam sąsiadkę, która opowiedziała mi o Stroińskim i jego dziecku.

– Po co pani tam poszła? – zapytał Suski, spoglądając z podejrzliwością na Ukrainkę.

– Nie wiem. Z sentymentu, z nudów. To był jakiś impuls. Może chciałam się z nim spotkać po tylu latach. Spróbować mu wybaczyć, zobaczyć, co powie. Nie odważyłam się. Wróciłam do domu. Opowiedziałam o wszystkim Wiktorii, z którą nie mieliśmy wtedy tajemnic. Jakimś cudem znalazła tego Euzebiusza w sieci. Rozmawiali ze sobą, początkowo nawet nie wiedziałam o czym. Nasłała go na kochanków rodziców. Chciała, aby ich śledził. Kupiła

mu nawet drona z kamerą, aby łatwiej mógł nadzorować to, co robią. Wiktoria całkowicie omotała Euzebiusza. Ja niczego nie wiedziałam. Przysięgam! – tłumaczyła Nadieżda.

– Skąd zatem wziął się film, na którym mówi pani do Wiktorii, aby napisać, że go kocha? – zapytał Suski.

– Po tym, jak zginęła Jagna Filiańska, domyśliłam się, że Wiktoria wykorzystuje Euzebiusza do własnych celów. Wtedy zabroniłam jej kontaktować się z nim. Myślałam nawet, czy nie powiadomić o wszystkim policji. Bałam się jednak, że będę w to zamieszana. Jakby nie patrzeć, to ja jej opowiedziałam o Euzebiuszu. Podśledzałam jedną z ich rozmów. Euzebiusz groził, że zabije Lucynę, jeśli Wiktoria nie wyzna mu miłości. Chciałam zapobiec nieszczęściu, dlatego kazałam jej powiedzieć wszystko, co będzie chciał.

Konsiel zawiesiła na chwilę głos, próbując dojść do siebie. Widać było, że wewnątrz głowy buzują jej emocje rozsadzające czaszkę.

– Ta wredna suka nagrała film, aby mieć na mnie haki. Ona to wszystko zaplanowała – narzekła Nadia.

– Czyli nie miała pani nic wspólnego z podżeganiem Euzebiusza do zabójstwa? Czy nie planowała pani w ten sposób zemścić się na Stroińskim? – zapytał Suski.

– Przecież nie mogłam wiedzieć, że Euzebiusz popełni samobójstwo. Wybaczyłam Władysławowi wszystkie krzywdy. To Wiktoria tym wszystkim sterowała. Mówię wam, to diabeł wcielony. Ta dziewczyna jest zła. Nawcisnęła temu chłopakowi jakichś głupot do głowy. Nawet Thelemę czytali – tłumaczyła Nadieżda.

– Co to jest Thelema? – zdziwił się Suski.

– Wiktoria wyczytała gdzieś, że osobowości podatne na wpływy, są bardziej skore do uległości, jeśli działają dla wyższej sprawy. Ona sprąła mu mózg satanizmem, wolnością jednostki i władzą człowieka nad światem. On w to wszystko wierzył, tym bardziej że było to zgodne z filozofią, którą wyznawał również Władysław Stroiński. Problem pojawił się wtedy, kiedy Euzebiusz zaczął zabijać. Wtedy doszło do mnie, że oni tak na serio.

– Działali w spisku? – zapytał Suski.

– Tak – przytaknęła Konsiel.

– Wie pani, że dowody świadczą przeciwko pani – powiedział Marian. – Trudno będzie udowodnić w sądzie, że to ona za wszystkim stała. Wiktoria może, co najwyżej, odpowiadać za nieumyślne podżeganie do zabójstwa.

– Wiem, że ona spadnie na cztery łapy. Mając władze i pieniądze, wyrządzi jeszcze wiele zła – powiedziała Nadieżda, po czym skryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

ROZDZIAŁ 71

Odwiedziny u Marzeny Gibały stały się dla funkcjonariuszy i prokuratora swoistą mantrą. Choć policjantka nadal pogrążona była w śpiączce, koledzy z wydział kryminalnego przychodzili, aby w jej towarzystwie rozmawiać o przebiegu prowadzonych śledztw. Opowiadali zarówno o sprawach istotnych, jak i o kompletnych pierdołach związanych z drugim daniem wydawanym na policyjnej stołówce. Czasami celowo powtarzali rzeczy oczywiste, jakby chcieli w ten sposób zmusić Marzenę, aby pomogła im w dedukcji.

– Czuję się dziwnie – powiedział Suski.

– Dlaczego? – zapytał Trygar, wrzucając kilka miętowych cukierków do ust.

– Z jednej strony śledztwo zostało zamknięte, z drugiej mam poczucie, że sprawiedliwości nie stało się zadość – tłumaczył Marian.

– Nadieżda Konsień dostała osiemnaście lat za podżeganie do zabójstwa – powiedział Trygar. – Wiktoria Kortyńska jest w poprawczaku i pod nadzorem psychologa.

– W przyszłym roku będzie miała weryfikację, czy może wyjść na wolność – dodał Tymon. – W obliczu dowodów, sąd dał wiarę w słowa młodej Kortyńskiej i niemal całą winą obarczył Nadieżdę.

– Nie wierzycie w jej winę? – zapytał Rafał.

– Uważam, że obie są winne. Działyły razem. Chciały upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zemścić się na Władysławie Stroińskim i na Kortyńskich – powiedział Marian.

– Tylko w tym wszystkim dziecko okazało się sprytniejsze niż stara Ukrainka – powiedział Rafał. – Mam wrażenie, że ta dziewczyna zaplanowała wszystko w najdrobniejszym szczególe. A stara była tylko ofiarą, która przystała na propozycję nie do odrzucenia.

– To możliwe – potwierdził Marian.

– Skąd wzięłeś ten film, który uruchomiłeś w trakcie rozprawy? – zapytał Rafał.

– Dostałem anonima, w którym ktoś powiedział mi, jak ze strzępów danych z dysku Kortyńskiej rozkodować zapis kamery – rzucił Marian.

– Anonima? Wiesz, kto go wysłał? – zapytał Tymon.

– A jak sądzicie? – prokurator uśmiechnął się głupkowato, spoglądając na spokojną twarz Marzeny Gibały.

– Wiedziałeś, że Kortyńska będzie zeznawała przeciwko Konsiel? – zapytał Trygar.

– Po tym, jak dostałem maila, spodziewałem się, że ta przebiegła dziewczucha zechce kontynuować grę. Domyśliłem się, o co jej chodzi, dlatego zaryzykowałem i zorganizowałem tę szopkę w sądzie.

– I co dalej? – zapytał Tymon.

– Mogłem zapuszkować młodszą, choć pewnie Wiktoria, mając film, sama by się wybroniła. Pomógłby jej ten mecenas Lewartowski – tłumaczył Suski.

– To dlaczego wzięłeś udział w grze Wiktorii Kortyńskiej? – zapytał Tymon.

– Żeby wiedziała, że ja wiem. Zapuszkowałem starą, a teraz czekam, aż młodej podwinie się noga. Kiedyś jeszcze popełni błąd – odpowiedział prokurator. – Właśnie dlatego, nie czuję satysfakcji – zawiesił głos Marian. – I jeszcze Marzena.

– A co ze Stroińskim? – zapytał Tymon.

– Sprawdzamy jego powiązania ze starymi sprawami, ale najprawdopodobniej się wywinie. Wyratuje go szacunek społeczny dla instytucji naukowca – powiedział prokurator. – Chyba że Marzena się obudzi i opowie nam o profesorku coś ciekawego.

– A co z drugą instancją? Adwokat Nadzieży złożył już wniosek – powiedział Tymon.

– Bez szans – odpowiedział Suski. – Druga instancja podtrzyma wyrok pierwszej instancji.

Prokurator obszedł łóżko Marzeny Gibały i złapał ją za rękę.

– A jak dziecko? – zapytał Foltińskiego.

– Badania wypadły dobrze. Andżelika ma czasami skurcze, które leczymy no-spą. No i czekamy na poród – odpowiedział starszy aspirant.

– A twój syn Rafał? – zapytał Suski. – Co z nim? – Policjanci zdziwili się nieco, że prokuratora naszło nagle na rozpytywanie o ich prywatne życie. Zwykle nie interesował się takimi sprawami.

– Bez zmian. Brakuje mi salsy z Marzeną – wypalił Trygar, nie chcąc rozmawiać o prywatnych sprawach. – Dlaczego zawsze te najlepsze i najbardziej radosne jednostki spotyka niezasłużona kara?

Wszyscy milczeli, patrząc na wyświetlacz, który niczym strażnik życia, odmierzał tętno Marzeny Gibały. Pozostawało im mieć nadzieję, że koleżanka wkrótce się obudzi.

ROZDZIAŁ 72

– Kortyńska, ktoś do ciebie – zawołała wychowawczynie.

Chudziutka dziewczyna udała się do zamkniętego pokoju, gdzie po drugiej stronie szyby siedział mecenas Ignacy Lewartowski.

Widząc dziewczynkę, uśmiechnął się delikatnie. Potem jednak mina mu zrzedła. Można było odnieść wrażenie, że ten doświadczony prawnik, który wiele już w życiu widział, najnormalniej w świecie boi się drobniutkiej Kortyńskiej. Wiktoria podniosła słuchawkę i powiedziała:

– Dzień dobry.

– Witaj, dziecko. Jutro twój wielki dzień. Osiemnaste urodziny i ostatni dzień w poprawczaku – powiedział Lewartowski, wskazując oczami na słuchawkę.

Wiktoria potaknęła, dając Lewartowskiemu do zrozumienia, że nie są podsłuchiwani.

– Załatwił pan wszystko? – zapytała wreszcie.

Mecenas kiwnął głową.

– Kto ze strony kuratorium będzie sprawował nade mną opiekę? – zapytała. Mecenas uśmiechnął się tajemniczo, po czym odpowiedział.

– Alicja Matel.

Dziewczynka odwzajemniła uśmiech.

– Rozumiem, dostała wynagrodzenie za swoją ciężką pracę.

– Dostała. Zresztą jak inni.

Mecenas odchrząknął, jakby zastanawiał się, jak przejść do tych mniej przyjemnych kwestii.

– Czy ureguluje pani jutro wszystkie koszty, które musiałem ponieść? – zapytał Ignacy.

– Panie mecenasie, czy ktokolwiek z mojej rodziny kiedykolwiek pana zawiódł?

Lewartowski poprawił się na krzesło i uśmiechnął delikatnie.

– No niby racja – wymamrotał.

– A jak z Nadieżdą? – zapytała Wiktoria.

– Za osiemnaście lat będzie staruszką, wrakiem człowieka, o ile w ogóle doczeka tego momentu – powiedział mecenas.

– A co z wnioskiem o wcześniejsze zwolnienie? – zaniepokoiła się dziewczynka.

– Z pani pieniędzmi, nie powinno być problemów z jego odrzuceniem – odpowiedział Lewartowski.

– Bardzo dobrze. Jeśli będzie pan lojalny wobec mnie, daleko pan zajdzie – powiedziała dziewczynka, patrząc w oczy Lewartowskiego.

Koniec

O AUTORZE

Pisanie traktuje jak przygodę życia. Inspiracje czerpie z dalekich podróży i nocnych rozmów z ciekawymi ludźmi, którzy mają ambicję robić w życiu coś więcej, niż pić piwo i oglądać telewizor. Uważa, że wiedza zgromadzona w książkach, to najcenniejszy skarb ludzkości.

Nie zamyka się w jednym nurcie literackim, eksperymentując z horrorem, science-fiction, kryminałem a nawet literaturą obyczajową, thrillerem czy sensacją. Mieszka w malowniczym Rzeszowie. Wraz z innymi pasjonatami tańczy Tango Argentyńskie, Bachatę i Kizombę, chłonec optymizm i energię Latynosów. Jednak największą życiową pasją autora jest realizowanie się w roli ojca, męża i syna. Pracuje w dużej podkarpackiej korporacji działającej w branży IT. Przez kilka lat udzielał się również jako recenzent portalu ArenaHorror.

Chciałby tworzyć coraz lepszą prozę, która dostarczyłaby czytelnikowi nieco wytchnienia i zapomnienia w zabieganym, współczesnym świecie. Nie ukrywa, że ma również aspirację, aby w swoich tekstach stawiać trudne pytania, oraz przemycać uniwersalne zasady, którymi stara się kierować w życiu.

Zadebiutował dwoma opowiadaniem *Rąbanko* i *Pojedynek na szosie* w antologii *Przedświt* wydanej przez Portal Literacki w 2010 roku. Laureat licznych nagród i wyróżnień w konkursach literackich m.in. Poznań Fantastyczny, Literacki Debiut Roku, Międzynarodowy Festiwal Kryminału czy Międzynarodowy Festiwal Opowiadania.

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[O autorze](#)

[Polecamy również](#)

[Karta redakcyjna](#)

POLECAMY RÓWNIEŻ

NOWE POLSKIE KRYMINAŁY

Kryminały Warszawskie

Wojciech Kulawski

- Lista sześciu. Tom 1.
- Między udręką miłości a rozkoszą nienawiści. Tom 2.
- Zamknięci. Tom 3
- Poza granicą szaleństwa. Tom 4

Komisarz Ireneusz Waróg

Stefan Górawski

- Sekret włoskiego orzecha. Tom 1
- W cieniu włoskiego orzecha. Tom 2

Kapitan Jan Jedyna

Igor Frender

- Człowiek Jatka - Mroczna twarz dwulicowa. Tom 1
- Mordercza proteza. Tom 2

Tim Mayer

Wojciech Kulawski

- Syryjska legenda. Tom 1
- Meksykańska hekatomba. Tom 2

KLASYKI POLSKIE KRYMINAŁY

Kryminały przedwojennej Warszawy

- *Marek Romański*, Mord na Placu Trzech Krzyży. Tom 1
- *Stanisław Antoni Wotowski*, Demon wyścigów. Powieść sensacyjna z za kulis życia Warszawy. Tom 2
- *Stanisław Antoni Wotowski*, Tajemniczy wróg przy Alejach Ujazdowskich. Tom 3
- *Stanisław Antoni Wotowski*, Upiorny dom w Pobereżu. Tom 4
- *Marek Romański*, W walce z Arsène Lupin. Tom 5
- *Marek Romański*, Mister X. Tom 6
- *Marek Romański*, Miss o szkarłatnym spojrzeniu. Tom 7
- *Marek Romański*, Szpieg z Falklandów. Tom 8
- *Marek Romański*, Tajemnica kanału La Manche. Tom 9
- *Marek Romański*, Pająk. Tom 10
- *Marek Romański*, Znak zapytania. Tom 11
- *Marek Romański*, Prokurator Garda. Tom 12
- *Marek Romański*, Złote sidła, pierwsza część. Tom 13
- *Marek Romański*, Defraudant, druga część. Tom 13
- *Marek Romański*, Małżeństwo Neili Forster. Tom 14
- *Marek Romański*, Serca szpiegów, pierwsza część. Tom 15
- *Marek Romański*, Salwa o świcie, druga część. Tom 15
- *Marek Romański*, Życie i śmierć Axela Branda. Tom 16
- *Kazimierz Laskowski*, Agent policyjny. Papiery po Hektorze Blau. Tom 17
- *Walery Przyborowski*, Czerwona skrzynia. Tom 18
- *Walery Przyborowski*, Widmo na kanonii (pierwsza i druga część). Tom 19
- *Antoni Hram*, Upiór podziemi. Tom 20

Inspektor Bernard Żbik

Adam Nasielski

- Alibi. Tom 1
- Opera śmierci. Tom 2
- Człowiek z Kimberley. Tom 3
- Dom tajemnic w Wilanowie. Tom 4
- Grobowiec Ozyrysa. Tom 5

- Skok w otchłań. Tom 6
- Puama E. Tom 7
- As Pik. Tom 8
- Koralewy sztylet i inne opowiadania. Tom 9

Najciekawsze kryminały PRL

- *Tadeusz Starostecki*, Plan Wilka. Tom 1
- *Zuzanna Śliwa*, Bardzo niecierpliwy morderca. Tom 2
- *Janusz Faber*, Ślady prowadzą w noc. Tom 3
- *Kazimierz Kłóś*, Listy przyniosły śmierć. Tom 4
- *Janusz Roy*, Czarny koń zabija nocą. Tom 5
- *Zuzanna Śliwa*, Teodozja i cień zabójcy. Tom 6
- *Jerzy Żukowski*, Martwy punkt. Tom 7
- *Jerzy Marian Mech*, Szyfr zbrodni. Tom 8
- *G.R Tarnawa*, Zakręt samobójców. Tom 9
- *I. Cuculescu (pseud.)/Iwona Szynik*, Trucizna działa. Tom 10

Klasyka angielskiego kryminału

Edgar Wallace

- Tajemnica szpilki. Tom 1
- Czerwony Krąg. Tom 2
- Bractwo Wielkiej Żaby. Tom 3
- Szajka Zgrozy. Tom 4
- Kwadratowy szmaragd. Tom 5
- Numer Szósty. Tom 6
- Spłacony dług. Tom 7
- Łowca głów. Tom 8

Detektyw Asbjørn Krag

Sven Elvestad

- Człowiek z niebieskim szalem. Tom 1
- Czarna Gwiazda. Tom 2
- Tajemnica torpedy. Tom 3

- Pokój zmarłego. Tom 4

LIND&CO

www.lindco.se

e-mail: info@lindco.se

lindcopl (facebook & instagram)

Tytuł oryginału:

Wojciech Kulawski

Między udręką miłości a rozkoszą nienawiści

Seria: Kryminały warszawskie, tom 2

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Lind&Co.

Wydanie I, 2018

Współpraca: Wydawnictwo CM, Warszawa

Projekt okładki: Studio Karandasz

Zdjęcia na okładce: trgowanlock, Станислав Толочко / Adobe Stock,
GeorgyGirl / Pixabay.com

Copyright © dla tej edycji: Wydawnictwo Lind & Co, Stockholm, 2021

ISBN 978-91-8019-001-5

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)